

MIKE ZAJKO ALGORYTMY
W SŁUŻBIE PAŃSTWAWSPOMNIENIE
O **WITOLDZIE OLEJARZU**PRZEKRĘTY POLSKIEJ
FUNDACJI NARODOWEJROLNICY, ULICA
I GRANICA

OSTATNI PARTYZANT RP

JÓZEF FRAN CZAK „LALEK”

1918 - 1963

**Dlaczego Józef Franczak „Lalek”
ukrywał się do 1963 r.****FAŁSZYWY MIT
„WYKŁĘTEGO”**Uchwała Sejmu RP
z dnia 14 marca 2001 rokueszenie - Wolność i Niezawisłość
Obszar Wschodni - Lublin

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311409

W ROLI GŁÓWNEJ GWIAZDA GWIEZDNYCH WOJEN
DAISY RIDLEY

UROCZA OPowieŚĆ
O NASZYCH LĘKACH

IndieWire

DUŻO CZUŁOŚCI
I UWAGAŃ

FILMWEB

ODŚWIEŻAJĄCY
I PEŁEN HUMORU

Hollywood
REPORTER

Czasem myśle o umieraniu



AURORA

W KINACH OD 1 MARCA



Adam Bodnar – w drodze po prawo i sprawiedliwość

W galerii postaci, których PiS nienawidzi szczególnie mocno, Adam Bodnar zajmuje miejsce czołowe. To jasne – wystarczy spojrzeć, jak kruszy okopy dawnej władzy, ziobrystów, zbudowane w Ministerstwie Sprawiedliwości i prokuraturze.

Poprzedni rządzący tam się zabetonowali, poprzyjmowali – w złej wierze – różne ustawy, które miały ich chronić na zawsze. I oto Bodnar, człowiek spokojny i konsekwentny, łapie ich na prawnych błędach, na różnych kruczkach. Jak profesor niedouczonego studentów.

Powie ktoś, że nie wypada, że nie powinien sięgać do takich metod. Zapytajmy więc: co by było, gdyby tego nie robił?

Odpowiedź jest oczywista. Gdyby nie działania Bodnara, mielibyśmy nadal zabetonowaną prokuraturę i zabetonowane sądy. Prokuraturę, której symbolem są idące w setki tysięcy złotych zarobki nominatów Ziobry w Prokuraturze Krajowej i garaż szefa lubelskiej prokuratury Jerzego Ziarkiewicza ze zmagazynowanymi aktami niewygodnych spraw. Bo to do Lublina kierowane były śledztwa, w których przewijali się ludzie PiS, i tam przepadały jak kamień w wodę. Przykład pierwszy z brzegu: tak prostą sprawą jak rozliczenie europościa PiS Ryszarda Czarneckiego z tzw. kilometrówek, czyli dojazdów na posiedzenia europarlamentu

zezłomowanym kabrioletem, prokuratura zajmuje się od ponad trzech i pół roku. I nic.

Przykład drugi – od 2021 r. prokuratura bada sprawę śmiertelnego potrącenia na przejściu dla pieszych 60-letniej kobiety przez wiceszefa służby więziennej, zaufanego Ziobry.

Przykłady kolejne to choćby bezczynność prokuratury w sprawie afery zbożowej, wybuchu granatnika w Komendzie Głównej Policji, milionów wyprowadzanych ze spółek skarbu państwa czy wydawanych na partyjne przedsięwzięcia środków z Funduszu Sprawiedliwości. Tak dzielno świat na naszych i wrogów. Naszych krzywda spotkać nie mogła, a wrogom policja wjeżdżała do domów o szóstej rano.

Taka jest rzeczywistość – albo Bodnar, albo ludzie Ziobry. Innego wyboru nie mamy.

Owszem, oni krzyczą – w obawie, że ich brudne sprawy będą ujawniane – że to zemsta polityczna, zamach stanu itd. To prymitywny rodzaj obrony, który pokazuje, jakie są strachy i intencje krzyczących.

Adam Bodnar nie ma łatwego życia, ze wszystkich ministrów nowego rządu ma najtrudniejsze, wymagające wielkiej wiedzy i charakteru zadanie. Zdaje ten egzamin. Wie, w którym kierunku ma zmierzać. Wypada mu życzyć, by nie zatrzymał się w połowie drogi.



PODCAST PRZEGLĄDU:
ROBERT WALENCIAK
I KORNEL WAWRZYNIAK
 i cotygodniowy
INNY
PUNKT WIDZENIA
 na najważniejsze wydarzenia
 Znajdziesz nas na Spotify, iTunes, YouTube i stronach internetowych tygodnika

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Nie damy się zaorać**
Największe protesty rolników
- 12 Fundacja propagandy PiS**
Przekręty Polskiej Fundacji Narodowej
- 48 Dziwna sprawa**
Jak pomagać z sensem

HISTORIA

- 18 Fałszywy mit „wykłętego”**
„Lalek” – bohater antysemita

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 22 Urzędnik bez serca**
– rozmowa z Mikiem Zajko

OPINIE

- 26 Paul Hockenos**
AfD jest gorsza od wszystkich
prawicowych partii w Europie

ZAGRANICA

- 28 Trumpizm z nową twarzą**
O niedemokracji w USA
- 32 Bliżej do Słonecznego Brzegu i Konstancy**
Bułgaria i Rumunia o krok od Schengen
- 34 Jak być cool na pierwszej linii frontu**
Wilno buduje miejską markę
- 52 Rywalizacja na pomniki**
Macedonia Północna szuka tożsamości

KULTURA

- 38 Konkurs chopinowski**
może odmienić życie
– rozmowa z Jakubem Piątkiem
- 41 Życie wygrane w teatrze**
Wspomnienie o Witoldzie Olejarzu
- 42 Pojedynek Casanovy z Mickiewiczem**
Bardzo warszawskie spektakle
- 44 Kulturia**
- 46 Kolory nieznanego świata**
Malarstwo Marka Rothko
- 66 Artur Sochan. Caravaggio – sztuka**
narodzin, umierania i trwania

ZDROWIE

- 56 Ożywczy stres**
Kortyzol – skupienie, ekscytacja czy panika?

ZWIERZĘTA

- 58 Życie na piachu**
Ptaki nad Bugiem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Robert Walenciak**
Adam Bodnar – w drodze po prawo
i sprawiedliwość
- 17 Jan Widacki**
Podróż afrykańska prezydenta Dudy
- 25 Andrzej Szahaj**
Demokracja liberalna w odwrocie
- 37 Roman Kurkiewicz**
Pustostłowie na podglebiu pustogłównia
- 45 Tomasz Jastrun**
Na granicy
- 51 Wojciech Kuczek**
Strach czytać
- 55 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Straszak na blokowisku

38

KULTURA



KONKURS CHOPINOWSKI MOŻE ODMIENIĆ ŻYCIE

– rozmowa z Jakubem Piątkiem



56

ZDROWIE

OŻYWCZY STRES

Kortyzol – skupienie, ekscytacja czy panika?



58

ZWIERZĘTA

ŻYCIE NA PIACHU

Ptaki nad Bugiem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAP/WOJCIECH PACEWICZ

eprasa.pl 515ef5dfcb





✉ Po co głosować na SLD?

Rozbawił mnie przedostatni akapit tekstu „Każdy sobie rzepkę skrobie” (PRZEGŁĄD nr 7), w którym autor pisze, że „najlepszym wyjściem byłaby reanimacja Sojuszu Lewicy Demokratycznej”, bo z tym szyldem ludzie kojarzą sukces lewicy. Naprawdę autor tak sądzi? Gdyby SLD kojarzył się z sukcesem lewicy, partia ta nie tra-

ciłaby po swoich rządach poparcia do tego stopnia, że nie była reprezentowana w następnej kadencji Sejmu. Doprowadziła do tego kontynuacja przez SLD neoliberalnej polityki gospodarczej, podczas gdy ludzie mieli nadzieję, że lewicowy rząd przywróci normalność. No i ta uniżoność wobec Kościoła katolickiego... Takim działaniem ta pseudolewica spowodowała, że jest tam, gdzie jest, a jej elektorat socjalny przeszedł do PiS.

Po rządach AWS-UW lewica miała bardzo silny mandat, aby odwrócić tzw. reformy Buzka, i nie zrobiła z tym nic. Tak się zaczęło – słuszny! – koniec tego ugrupowania. Jeśli nie można wskazać różnic między PO a SLD, to po co głosować na SLD?

Piotr Robecki



Czas na polski bank rolny

Rolnictwo padło ofiarą neoliberalnej prywatyzacji wszystkiego i jedynego przykazania: zysk ponad wszystko. Był sobie BGŻ wespół z bankami

spółdzielczymi, były kredyty na 1% dla rolników, dodatkowo umarzane warunkowo, a teraz są komercyjne kredyty na maszyny za milion złotych. I tym sposobem chłopci karmią bożka mamony. Banki hodują swoich żywicieli jak mrówki mszyce. I nie dotyczy to tylko rolnictwa. W końcu neokonserwatyzm to powrót do pierwotnych korzeni.

Marek Głowinkowski

To u nas jest jeszcze rolnictwo? To, co widzę, można raczej określić jako przemysł rolny. Na dodatek oparty na niesprzyjającej naturze i monokulturowy. W mojej okolicy to monokultura kukurydzana z domieszką zbóż. Plus masa chemii. Działają tutaj największa ongiś w kraju cukrownia Ropczyce (kiedyś im. XXXV-lecia PRL, obecnie zakład produkcyjny niemieckiego Südzucker), ale upraw buraka cukrowego w okolicy nie uświadczysz. Za to w sezonie jadą transporty buraków spod oddalonej o 100 km Bochni czy ze Świętokrzyskiego. Hodowla zwierząt, nie licząc kilku krów, praktycznie nie istnieje. Tak na marginesie – jak można płakać, że się bankrutuje, a tydzień później kupować sobie wypasione auto za kilkaset tysięcy? Tajemnicą poliszynela pozostaje i to, że rolnicy z Austrii czy Włoch przyjeżdżali kupować dwu-, trzyletnie traktory i inne maszyny od naszych producentów rolnych. Czyżby te zakupione w ramach unijnej pomocy? Myślę, że trzeba nieco odwagi, aby przyjrzeć się problemowi z wszystkich stron, bo różne bywają i same intencje protestujących. Rolnik rolnikowi nie jest równy.

Robert Kisiel

ZDJĘCIE TYGODNIA



Aktywiści demonstrują przed konsulem brytyjskim w Mediolanie przeciw planom ekstradycji do USA założyciela WikiLeaks Juliana Assange'a. 20 lutego 2024 r.

Tylko 10% Europejczyków wierzy w zwycięstwo Ukrainy. 27% uważa, że będzie kompromis Ukrainy z Rosją, a 20%, że wygra Rosja (**raport Europejskiej Rady Stosunków Zagranicznych**).

31 mld zł wyniosła strata NBP w 2023 r.

W Polsce przebywa ok. 1 mln Ukraińców ze statusem uchodźcy wojennego. Pomoc państwa gwarantuje im wyżywienie i zakwaterowanie, opiekę zdrowotną, dostęp do edukacji oraz pełny pakiet pomocy socjalnej. Kosztuje to 6,2 mld zł. Poparcie Polaków dla tej polityki ciągle spada.

Fundacja DKMS świętuje 15-lecie. Gdy zaczynała w 2009 r., idea dawstwa szpiku była mało znana. Dziś w rejestrze potencjalnych dawców jest 2,2 mln osób. 13 tys. oddało szpik, by ratować życie „bliźniaka genetycznego”.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ministra rodziny, pracy i polityki społecznej, zakazała Urzędowi ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych organizowania uroczystości ku czci Józefa Kurasia „Ognia” oraz Brygady Świętokrzyskiej. Nareszcie mordercy nie będą honorowani przez państwo. Szacunek dla ministrowi za stan w prawdzie historycznej.

Przemysław Sypniewski, były prezes Poczty Polskiej, zeznając przed sejmową komisją ds. wyborów kopertowych, opisał okoliczności, w jakich złożył rezygnację z funkcji. Wicepremier Sasin nadzorujący Poczta nigdy z nim się nie spotkał. Nikt z rządu nie chciał poznać problemów Poczty z wyborami.

Sypniewski zachował się odpowiedzialnie i złożył rezygnację. Ale za jego czasów Poczta Polska nie była w stanie dostarczyć PRZEGLĄDU czytelnikom, którzy wykupili prenumeratę i czekali nawet dwa tygodnie.

Jakub Dymek, nasz redakcyjny kolega, wygrał w Sądzie Okręgowym w Warszawie sprawę przeciwko Rafałowi Madajczakowi (redaktorowi naczelnemu Gazety.pl) i wydawcom portalu ASZdziennik o naruszenie dóbr osobistych. Sąd za „skandaliczne” i „niezweryfikowane” publikacje nakazał im przeprosić i zapłacić 100 tys. zł zadośćuczynienia. Wyrok jest nieprawomocny.

Gen. dyw. w st. spocz. prof. Bogusław Pacek został nowym dyrektorem Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Był m.in. rektorem Akademii Obrony Narodowej, profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego i jest autorem ponad 20 książek.

Zmarł Tomasz Komenda, który 18 lat spędził w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił. Sędzia, który go skazał, nie poniósł żadnych konsekwencji, podobnie jak fałszywi świadkowie i nierzetelni biegli.

W ciągu trzech lat samorządy lokalne przeznaczyły na budżety obywatelskie i sołeckie **3,7 mld zł.**

Według ukraińskich mediów **właściciel holdingu rolnego UkrLandFarming** (670 tys. ha) przekazał byłemu szefowi ukraińskiej administracji skarbowej **łapówkę w wysokości 77 mln dol.** Czy to jest największa łapówka, czy najwyższa ujawniona?

PRZEBŁYSKI

Duda z Sasem pod pachą

Gdzie spojrzeć, tam wołają o kasę. Nauczyciele, rolnicy, cała budżetówka, górnicy. I tak dalej i dalej. A co na to prezydent? Żyje jak maharadża. Obsługuje go monstrualnie rozdęta kancelaria. Głowę mebluje mu Mastalerek. Nie dziwota, że prezydencką główkę zajmuje odbudowa badziewia zwanego pałacem Saskim. Według PiS jej koszt to prawie 3 mld zł. Wiemy, jak dojna zmiana liczy. Może się skończyć na 5 mld zł. Duda z powodów, które trzeba będzie wyjaśnić, pilnuje realizacji właśnie tej pałacowej ustawy. Grozi wetem, gdyby chciano ją odesłać na śmietnik. Jak źle pójdzie, to Duda doprowadzi do demolki będącej już symbolem placu z Grobem Nieznanego Żołnierza.



Szpieg wiecznie żywy

Nikt nie przebiję Filipa Frąckowiaka w celebrowaniu wszelkich okazji związanych z Ryszardem Kuklińskim. Frąckowiak to syn Józefa Szaniawskiego, człowieka – delikatnie mówiąc – mocno kontrowersyjnego. A Kukliński? Amerykański szpieg w Wojsku Polskim. Mało jest na świecie państw, które fetują takich ludzi. Frąckowiak dostaje kasę z różnych źródeł i ma się całkiem dobrze. Nie narobi się zbytnio przy muzeum, któremu nadał pompatyczną nazwę Muzeum Zimnej Wojny. Mieszka w głowach uczniom szkół podstawowych i średnich. Może któreś dziecko, kiedy dorośnie, będzie szpiegować dla jakiegoś państwa? I będzie jak Frąckowiak dostawać wsparcie od amerykańskich instytucji. Na wystawki, krążenie po świecie i lunch.

Zabrali ofiarom przestępstw

Wpływ kasy z Funduszu Sprawiedliwości do krewnych i znajomych dojrzej zmiany został przerwany. Mają czego żałować. Nie tylko zresztą oni. Wśród hojnie obdarowanych był też Kościół i organizacje z nim związane. Na czele oczywiście Tadeusz Rydzyk. Fundacja Lux Veritatis dostała 14,3 mln zł. Caritas Diecezji Siedleckiej obdarowano ponad 3,4 mln zł. Caritas Diecezji Koszalińsko-Kołobrzesckiej i Gdańskiej dostały od Ziobry po przeszło 3 mln zł. Fundacja Czyste Serce – 1,178 mln zł, Fundacja Światło-Zycie – ponad 1,2 mln zł, Fundacja Arka Noego – 1 mln zł, Fundacja Ochrony Życia z Opola – w dwa lata ponad 3 mln zł, jezuita Fundacja Mocni w Duchu przygarnęła 9 mln zł, Fundacja św. Benedykta – 2 mln zł, Towarzystwo Salezjańskie – 2,9 mln zł, katolicka rozgłośnia Radio Warszawa – 1,7 mln zł, Fundacja Pro Futuro Theologiae w Toruniu – 4,6 mln zł itd. Piekla, widać, nie ma.



Doradczynie z kanału

Słodkie jest życie doradcy. A życie doradcy zarządu TVP to było spełnienie marzeń. Na liście płac widzimy m.in. Lilianę Sonik, żonę byłego posła PO Bogusława Sonika. Jako doradca Kurskiego zarabiała lepiej od męża. A co robiła? Według biura prasowego TVP „doradzała w kwestiach programingu i budowania pasm skierowanych do konkretnych grup odbiorców, CRS i realizacji misji publicznej”. Konkretne to jak woda rozlana na pustyni. A inna doradczyni Kurskiego? Marzena Paczuska „odpowiada za doradztwo przy budowie i funkcjonowaniu newsowego portalu anglojęzycznego, który w przyszłości może zostać przekształcony w kanał telewizyjny”. I jeszcze jedna gwiazda, Małgorzata Raczyńska. Zanim dostała kasę za doradzanie Kurskiemu, pracowała w partyjnej telewizji PiS TV, nie mylić z TVPiS, i kandydowała do Sejmu. Oczywiście do list PiS. I oczywiście bez skutku.





PYTANIE TYGODNIA

Czy powinna powstać armia europejska?

DR JANUSZ ZEMKE,

były wiceminister obrony narodowej

Trzeba jednoznacznie zdefiniować, jakie misje ta armia miała by realizować. Czy byłby to udział w operacjach Unii Europejskiej poza kontynentem, czy też obrona Europy. Co do tego nie ma jasności. Obrona kontynentu to zresztą obowiązek NATO. Fundamentalne znaczenie będą miały zmiany w USA. Jeśli nie będziemy mieli absolutnej pewności, że w awaryjnej sytuacji Europa będzie mogła liczyć na Amerykanów, to nie będzie wyjścia. Trzeba będzie tworzyć różne wspólne siły. Dzisiaj budowanie większej europejskiej armii to odległy cel. Można jednak wiele zrobić w kontekście wspólnych działań. Fundamentalne znaczenie miałyby wspólna europejska obrona przestrzeni powietrznej. Zakupy sprzętowe i programy modernizacyjne powinny być scalane i synchronizowane między państwami. Tutaj wszyscy mają spójne cele. Z kolei formalne tworzenie dużej armii jest właściwie niewykonalne, choćby ze względu na ambicje poszczególnych państw.

DR MICHAŁ PIEKARSKI,

politolog, Instytut Studiów Międzynarodowych i Bezpieczeństwa UWR

Zależy, co rozumiemy przez armię europejską. Jeżeli mówimy o zamianie wszystkich istniejących formacji narodowych w jedną ponadnarodową, to taki proces jest nie tylko zbędny, ale też praktycznie nierealny. Natomiast już teraz istnieją pewne

formy współpracy państw europejskich, np. w ramach NATO istnieje wspólna jednostka samolotów wczesnego ostrzegania. Ten program istnieje od dekad. Część sprzętu wojskowego jest bardzo kosztowna, dlatego łączenie sił i zdolności w ramach np. wspólnych programów zbrojeniowych jest wskazane. To działanie użyteczne dla wielu państw. Tworzenie nowej wielkiej armii jest zaś zupełnie niepotrzebne.

TOMASZ HYPKI,

ekspert w zakresie obronności i lotnictwa

Jeśli integracja Unii Europejskiej będzie postępować, wspólne siły zbrojne na naszym kontynencie powstaną jako jej naturalny efekt. Problemem jest duże zróżnicowanie możliwości poszczególnych państw, a także różne podejście do spraw bezpieczeństwa. Można bowiem przygotowywać się do wojny, jak bezrozumnie czyni Polska, a można starać się wojny uniknąć, jak czyni większość państw starej Unii. Obecnie te drugie są w defensywie, bo w mediach wygrywa propaganda wojenna. Gdy to się zmieni, do gry wróci propozycja Francji, by do stabilizacji sytuacji w Europie wykorzystać jej potencjał nuklearny, który wystarczy do odstraszenia w skali globalnej. W normalnym państwie siły zbrojne nie służą do prowadzenia wojen. Istnieją po to, by wojen nie było. W szczególności na własnym terytorium. Dobre życie obywateli powinny gwarantować sensowna dyplomacja i silna gospodarka.



Protest rolników w Konopnicy, woj. lubelskie, 20 lutego 2024 r.

Nie damy się zaorać

„Głód poczujesz, rolnika uszanujesz”.
Przez Polskę przetaczają się największe
protesty rolników od czasów
Andrzeja Leppera i Samoobrony

Grzegorz Rudnik

Od Madrytu po Zagrzeb i Ateny, od Paryża po Pragę i Warszawę, rolnicy mówią „dość!” polityce rolnej Komisji Europejskiej i otwarciu granic na ukraińskie produkty rolne. We Francji w ramach protestu wściekli farmerzy polewali gnojnicą budynki administracyjne, „zaorali” fragment jednej z autostrad i blokowali Paryż. W Brukseli palili opony i starli się z tamtejszą policją. W Berlinie urządzili przejazd traktorów, wywołując paraliż komunikacyjny stolicy. Traktorami zakorkowali też ulice w Pradze, a czeski minister rolnictwa Marek Výborný, który próbował z protestującymi rozmawiać,

został wybuchany i wygwizdany. Chorwaccy rolnicy zapowiedzieli strajk generalny.

Uczestniczący w proteście na granicy w Dorohusku Hubert Ojdana z Podlasia, który zamieszczał w mediach społecznościowych filmy pokazujące, z czym do Polski wjeżdżają transporty towarów z Ukrainy, został wpisany przez portal Myrotworec na listę „prawdopodobnych współpracowników rosyjskich służb specjalnych”, a jemu i jego rodzinie grożono w języku naszych wschodnich sąsiadów. Na tę samą listę trafił wicemarszałek Sejmu, jeden z liderów Konfederacji, Krzysztof Bosak, ponieważ od dawna domagał się zamknięcia polskiej granicy dla ukraińskiego zboża.

Obaj panowie znaleźli się w dobowym towarzystwie byłego sekretarza stanu Henry’ego Kissingera, któremu zarzucono „udział w informacyjnej operacji specjalnej Rosji” przeciw Ukrainie, byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera, zasiadającego w radach nadzorczych rosyjskich koncernów, premiera Węgier Viktora Orbána oraz białoruskiej noblistki Swietłany Aleksijewicz, która zdaniem pracowników owego portalu „siała propagandę ukierunkowaną na rozniecanie waśni narodowościowych”, wspominając o roli ukraińskich formacji zbrojnych w Holokauście.

Z Myrotworem nie ma żartów. Gdy w 2015 r. na listę „wrogów Ukrainy” trafił dziennikarz Ołeś Buzyna i polityk byłej Partii Regionów Ołeh Kałasznikow, wkrótce zostali zamordowani. Nie dziwny się, Kijów broni swoich interesów i każdy chwyt – także oskarżenia o agenturalność – jest dozwolony.

Rolnicy! Ulica i granica!

Głównym postulatem rolników jest zapewnienie opłacalności produkcji. Protestujący chcą rezygnacji z Zielonego Ładu, w niektórych państwach

odejścia od planów podwyżek podatków, domagają się wprowadzenia wyższych dopłat związanych z szybko rosnącymi cenami paliw, nawozów sztucznych, środków ochrony roślin, energii itp. Tymczasem nie wszyscy politycy rozumieją, że te problemy należy po kolei rozwiązać. I to niezwłocznie. Komisja Europejska ani rządy państw unijnych nie były przygotowane na rolnicze protesty. A francuscy, niemieccy, hiszpańscy i polscy rolnicy nie chcą czekać.

– Unię Europejską musimy albo naprawić, albo rozwalić, gdyż ona

wszystkie telewizyjne programy informacyjne.

Przy czym to była kaszka z mleczkiem. Ponad 600 tys. wyświetleń w ciągu trzech dni miał na YouTube dziewięćminutowy materiał zatytułowany „Tego w TV nie zobaczysz – protest rolników”. Można było się dowiedzieć, że laweta z luksusowymi SUV-ami takich marek jak Porsche, Mercedes i Lexus przekracza polsko-ukraińską granicę jako... pomoc humanitarna!

Sporą inwencją na przejściu granicznym w Medyce wykazał

Ponieważ obraz wart jest więcej niż tysiąc słów, nic dziwnego, że po przejrzeniu filmów zamieszczonych przez protestujących w mediach społecznościowych rodzi się przekonanie o niemal przestępczej bezsilności struktur państwa. Dlatego protestujący mówią o śmierci polskiego rolnictwa, o tym, że rządzący „mają ich w d...”.

To, że na blokadach możemy oglądać traktory takich marek jak New Holland, John Deere, Fendt, Claas, Zetor i Deutz-Fahr, nie powinno dziwić. Choć każdy kosztował od kilkuset tysięcy do grubo ponad 1 mln zł, nie znaczy to, że ich właściciele są bogaczami. Maszyny te zostały kupione na kredyt z dofinansowaniem ze środków unijnych. A kredyt, nawet symbolicznie oprocentowany, trzeba spłacać. Na tak drogi sprzęt mogą zresztą sobie pozwolić właściciele dużych gospodarstw, powyżej 40, 50 ha. Otwarcie granicy na ukraińskie produkty rolno-spożywcze uderzyło nie w rolników gospodarujących na 5-6 ha, których w kraju jest najwięcej, lecz w niewielką grupę właścicieli de facto przedsiębiorstw produkujących żywność na rynek. To im zawdzięczamy zboże,

Nie może być tak, że z jednej strony rolnikom dokręca się śrubę, a z drugiej wpuszcza produkty rolno-spożywcze, które nie muszą spełniać żadnych norm.

rozwała nasze gospodarstwa! Nasza dochodowość zjeżdża do zera. Jesteśmy poniżej kosztów produkcji – krzychał do mikrofonu jeden z protestujących pod punktem informacyjnym Unii Europejskiej we Wrocławiu.

– Gdzie nas ma kochany parlament? W d...! Karteczka na drzwiach wisi: „Dziś pracujemy zdalnie” – dodaje inny.

Przy akompaniamencie strażackich syren ubrany w garnitur dżentelmen zapewniał protestujących rolników, że właśnie otrzymał petycję do przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen i gwarantuje, że jeszcze dziś zostanie ona przekazana do Brukseli. Długo nie pogadał, bo do megafonu dorwał się młody człowiek. – Unia Europejska będzie ograniczała produkcję żywności tylko po to, by zrobić miejsce na import spoza Unii. Tylko po to, by zarabiała na tym wielkie korporacje. Na to naszej zgody nie ma! Nie może być tak, że z jednej strony nam się dokręca śrubę, a z drugiej wpuszcza produkty rolno-spożywcze, które nie podlegają żadnym normom! – wykrzychał.

Znów zawył syreny, ktoś z tłumu krzyknął: „J... Unię!”, po czym na chronione przez szpaler policjantów drzwi punktu informacyjnego UE poleciały jaja. Demonstranci zaczęli odpalać petardy. Pod urzędem wojewódzkim podpalili bele słomy. Zdjęcia z tego incydentu obiegły

się właściciel tira deklarujący w dokumentach, że wiezie na Ukrainę – jako „humanitarkę” – koce należące do jakiejś zakonnicy. Za ich warstwą protestujący odkryli ładunek kabli miedzianych i przewodów. W innej naczepie zamiast „ładunku sypkiego” znaleźli forda mustang.

Rolnicy, niczym wytrawni telewizyjni dziennikarze śledczy, pokazali

Rolnicy znaleźli w wagonach spleśniały rzepak i kukurydzę. Jak taki transport przekroczył naszą granicę? Gdzie były służby celne? Gdzie kontrola fitosanitarna?

ukrytą w lesie po polskiej stronie bocznice kolejową, na której stał długi skład wagonów wypełnionych sprowadzonym z Ukrainy rzepakiem. Zdjęciom towarzyszyła informacja, że właścicielami setek tysięcy hektarów ukraińskiej ziemi są zarejestrowane w rajach podatkowych wielkie międzynarodowe korporacje, które sprowadzają do Polski ukraińskie zboże i zarabiają na tym krocie. Na łamach PRZEGLĄDU opisywaliśmy ten proceder w roku ubiegłym.

W innych wagonach rolnicy znaleźli spleśniały rzepak i kukurydzę. Nie sposób pojąć, dlaczego ktoś zdecydował się sprowadzić taki „towar” z Ukrainy do Polski. I jak przekroczył on naszą granicę? Gdzie były służby celne? Gdzie kontrola fitosanitarna?

które trafia na eksport. I to oni, wraz z branżą transportową, płacą dziś najwyższą cenę za wsparcie, jakiego Polska udziela Ukrainie.

Stąd żal i wściekłość, która wylewa się z tych ludzi. „Rolniku, spójrz za siebie, jak cię Unia w d... j...”, „Rolnik jest w tym kraju traktowany jak ostatni diabeł”, „Jak tak będzie dalej, trzeba będzie związać »manzur« i za granicę jechać albo iść po zapomogę”, „Niedługo będziecie jedli trawę” i „Nie damy się zaorać!” – to tylko niektóre wyrażane przez nich opinie.

Jak bardzo jest źle?

Niegdyś właśnie polityka rolna była oczkiem w głowie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, ▶

► poprzedniczki Unii Europejskiej (7 lutego 1992 r. w Maastricht podpisano traktat dekretujący jej początek), która przez ostatnie 20 lat krok po kroku odchodziła od udogodnień i dopłat dla europejskich rolników. Komisja Europejska – z akceptacją rządów wszystkich państw

euro – wzrosła wartość eksportu jabłek. Za wyeksportowaną kukurydzę otrzymaliśmy 823 mln euro.

Nie znaczy to wcale, że w polskim rolnictwie działa się dobrze. Niekontrolowany napływ ukraińskiej pszenicy, kukurydzy, rzepaku, malin i innych owoców miękkich, a nawet

Politycy PiS, dla których protesty mogłyby się stać „politycznym złotem”, wołają się schronić na Wiejskiej lub na Nowogrodzkiej. Wiedzą, że gdyby teraz pojawili się na przejściach granicznych w Medyce, Dorohusku lub Hrebennem, zostaliby wyniesieni przez protestujących na widłach. Za to bez lęku wchodzi w tłum posłowie Konfederacji, którzy od dawna krytykowali rządzących za bezczynność i domagali się zamknięcia granicy. Według badania opinii publicznej przeprowadzonego na zlecenie dziennika „Rzeczpospolita” 77% pytanym popiera rolnicze protesty. Rząd o tym wie, dlatego nie powinien zwlekać z udzieleniem pomocy. Bo kto szybko daje, dwa razy daje.

Zwłaszcza że są w kraju branże, które od lat korzystają z hojnego wsparcia. Na przykład górnictwo.

Rząd Mateusza Morawieckiego przez lata basował brukselskim urzędnikom, po czym odszedł, zostawiając szambo następcom.

UE – wołała wydawać pieniądze na badania i rozwój, infrastrukturę, programy społeczne itp., widząc w tym mechanizm, który powinien napędzać europejską gospodarkę i pozwolić Staremu Kontynentowi skutecznie konkurować ze Stanami Zjednoczonymi oraz państwami Azji.

Mimo że warunki gospodarowania na europejskiej wsi stawały się coraz trudniejsze, farmerzy produkowali coraz więcej. Również nasze rolnictwo skorzystało na wejściu do Unii. Chodziło nie tylko o dopłaty bezpośrednie, lecz także o dostęp do rynków: niemieckiego, brytyjskiego, włoskiego, francuskiego...

Dziś nie musimy się martwić o bezpieczeństwo żywnościowe. Od stycznia do sierpnia 2023 r. sprzedaliśmy za granicę artykuły rolno-spożywcze o wartości 34,1 mld euro, co oznaczało wzrost rok do roku

miodu, z wielką mocą uderzył w naszych producentów. W 2022 r. rząd Mateusza Morawieckiego zaakceptował otwarcie granic Unii Europejskiej na ukraińskie towary, nie tylko rolno-spożywcze. Bez analiz i szacunków. Ostrzeżeń nikt nie słuchał. Tych, którzy ostrzegali, zaliczono do

Głównym postulatem rolników jest zapewnienie opłacalności produkcji.

pożytecznych idiotów Putina, niewartych polemizowania.

Minister rolnictwa Henryk Kowalczyk zachęcał rolników, by wstrzymali się ze sprzedażą pszenicy do wiosny 2023 r., bo wtedy zarobią więcej. Gdy ceny gwałtownie spadły i wieś poczuła się zdradzona, minister pożegnał się ze stanowiskiem.

W 2015 r. wydobyto w Polsce 72 mln ton węgla. W kopalniach pracowało wówczas 92 tys. osób. W 2023 r. 76 tys. zatrudnionych wydobyło po raz pierwszy w historii mniej niż 50 mln ton. Przy czym ich przeciętne wynagrodzenie sięgnęło w grudniu ub.r. 20 136,24 zł brutto! Innymi słowy, fedrują mniej, ale za większe pieniądze. Dlatego w tym roku rząd zaplanował w budżecie 7 mld zł na wsparcie spółek węglowych. Nie wzbudziło to większych politycznych emocji ani zainteresowania mediów.

Łotewska droga

Koalicja 15 Października wiele by zyskała, gdyby szybko znalazła środki, które uratowałyby nasze najbardziej efektywne gospodarstwa rolne. Te, które najmocniej ucierpiały na otwarciu granic Unii Europejskiej na towary z Ukrainy. Tymczasem płynące z kręgów rządowych informacje na ten temat są sprzeczne. Z jednej strony słychać, że ministrowie nie są gotowi wesprzeć starań ministra rolnictwa Czesława Siekierskiego, który miał

Komisja Europejska ani rządy państw unijnych nie były przygotowane na rolnicze protesty.

o 11,4%. Polscy rolnicy w ubiegłym roku wyprodukowali 13,2 mln ton pszenicy, z czego wyeksportowano 4,7 mln ton. Głównym odbiorcą były Niemcy. Na tamtejszy rynek trafiły towary o wartości przeszło 8,6 mld euro, co w porównaniu z tym samym okresem roku 2022 oznaczało wzrost o 13,7%.

Wytwarzając 2,7 mln ton mięsa drobiowego, okazaliśmy się europejskim czempionem – stanowiło to 21% całkowitej produkcji w UE. O 10% wzrósł eksport polskiej wołowiny. Aż o 32% – do 260,12 mln

Jeśli dziś rząd Donalda Tuska nie znajdzie szybko pieniędzy, by wesprzeć rolników – głównie producentów zbóż – i nie dogada się z Kijowem, konsekwencje polityczne będą opłakane. O czym boleśnie przekonało się Prawo i Sprawiedliwość. Rząd Mateusza Morawieckiego przez lata basował brukselskim urzędnikom, po czym odszedł, zostawiając szambo następcom. Fakt, że minister Siekierski i wiceminister Kołodziejczak spotykają się z protestującymi rolnikami, dowodzi, że jest szansa na porozumienie.

poprosić rząd o dodatkowe 8 mld zł. Z drugiej – 16 lutego pojawiła się informacja, że w tegorocznym budżecie zabezpieczono 14 mld zł na wsparcie producentów rolnych. Na dopłaty do kukurydzy zaplanowano 1 mld zł, na pomoc kłeskową, w tym suszową, również 1 mld zł, na kredyty płynnościowe – 12,5 mld zł. Przewidziano też dopłaty do paliwa rolniczego – stawka zwrotu części podatku akcyzowego na 1 litr oleju napędowego wynosi 1,46 zł.

Wykładając dodatkowe pieniądze, na które czekają protestujący rolnicy, rządzący kupiliby sobie sześć miesięcy spokoju. Do września trzeba będzie opróżnić magazyny pod tegoroczne zbiory. Jeśli się tego nie zrobi, będą kolejne protesty.

Jak ustaliliśmy, kierownictwo resortu rolnictwa dokłada starań nie tylko, by znaleźć pieniądze, ale także, by porozumieć się z Brukselą w sprawie najbardziej kontrowersyjnych zapisów Zielonego Ładu. Rząd liczy, że dzięki temu uda się wypracować rozwiązania, które pozwolą w przyszłości uniknąć podobnych protestów. Jeśli działania te nie zakończą się sukcesem, sytuacja polskiego rolnictwa stanie się jeszcze trudniejsza. Czasu nie ma wiele.

Dlatego może rządzący poszliby drogą naszych partnerów z NATO i UE – Łotwy? Kraj ten od lat był celem propagandy Kremla, która zarzucała mu promowanie nazizmu poprzez szczególne honorowanie weteranów Waffen SS oraz burzenie pomników żołnierzy Armii Czerwonej. Ze swojej strony władze w Rydze dowodziły, że Moskwa prowadzi agresywną politykę wobec Łotwy, dlatego ani Bruksela, ani Sojusz Północnoatlantycki nie powinny mieć złudzeń co do zamiarów Putina. 15 lutego br. Jennifer Pahlke, korespondentka Deutsche Welle w Rydze, opublikowała materiał o tym, jak od stycznia do września ub.r. państwo z 1,95 mln mieszkańców spowodowało whisky o wartości ponad 251 mln dol. Innymi słowy, na głowę jednego Łotysza, od niemowlęcia do zgrzybatego weterana Waffen SS, wypadało ponad 8 litrów Jasia Wędrawniczka. I to tylko w pierwszych dziewięciu miesiącach! Tak Ryga weszła do elitarnej dziesiątki

największych importerów whisky na świecie. Z publikacji Jennifer Pahlke wynika, że Łotwa stała się alkoholowym hubem zaopatrującym Rosję w drogą zachodnie trunki, gdyż obok „bursztynowego złota” rodem z mglistej Szkocji łotewskie firmy sprowadzały budzące szacunek ilości włoskiego wina, które następnie trafiało na półki supermarketów w Moskwie i Petersburgu. Doszło do tego, że Włochy sprzedały w ubiegłym roku do Rosji wino o wartości 68 mln euro, podczas gdy Łotwa wyeksportowała do tego kraju wyroby winiarskie ze słonecznej Italii za 73 mln euro!

Ale może ten mały, dzielny kraj prowadzi na własną rękę wojnę hybrydową z Kremlą. Cytowany przez Jennifer Pahlke Davis Vitols, szef Łotewskiego Stowarzyszenia Przemysłu Alkoholowego LANA, przedstawił niezwykle argumenty uzasadniający ów lukratywny handel: „Alkohol jest być może tak naprawdę jedynym produktem, który można nadal sprzedawać [Rosjanom], ponieważ jest szkodliwy dla zdrowia, jeśli jest spożywany w nadmiarze”. A jak wiadomo, Rosjanie za kołnierzy nie wylewają.

Grzegorz Rudnik

zaprasza

TEATR KOMEDII IMPRO

zaprasza

REPERTUAR

SCENA ŁÓDZKA



PIOTRKOWSKA Łódź, ul. Piotrkowska 138/140

piątek	1 marca, godz. 20	– „Gangsterskie porachunki”
sobota	2 marca, godz. 20	– „Komedia muzyczna, czyli historia pewnego zespołu”
niedziela	3 marca, godz. 16	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
niedziela	3 marca, godz. 19	– „Kryminał improwizowany”
piątek	8 marca, godz. 20	– „IMPRO Swing!, czyli para na parze”
sobota	9 marca, godz. 20	– „IMPRO Atak!”
niedziela	10 marca, godz. 16	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
niedziela	10 marca, godz. 19	– „Gangsterskie porachunki”
piątek	15 marca, godz. 20	– „Będzie albo nie będzie, czyli nienapisane dzieła Szekspira”
sobota	16 marca, godz. 20	– „Wilkołaki” – horror improwizowany
niedziela	17 marca, godz. 16	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
niedziela	17 marca, godz. 19	– „Kryminał improwizowany”

SCENA WARSZAWSKA



Warszawa, ul. Wiolinowa 14

sobota	2 marca, godz. 11.15	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
sobota	9 marca, godz. 11.15	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana
czwartek	14 marca, godz. 19.30	– „Kryminał improwizowany”
czwartek	21 marca, godz. 19.30	– „Kryminał improwizowany”
sobota	23 marca, godz. 11.15	– „Wymysłanka” – bajka improwizowana

TEATRKOMEDIIMPRO.PL

TEL. 66 54 777 54

Przede wszystkim żyć! Jak najpiękniej i jak najpełniej!



Fundacja propagandy PiS

Polska Fundacja Narodowa na usługach Prawa i Sprawiedliwości, a w tle setki milionów złotych wydawane z pogwałceniem zasad przejrzystości

Andrzej Sikorski

Na początku stycznia 2024 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport dotyczący wydatkowania pieniędzy przez spółki skarbu państwa i należące do nich fundacje. Zbadano wydatki na sponsoring, reklamy w mediach, darowizny oraz usługi prawne i doradcze. Część spółek i należących do nich fundacji nie udostępniła kontrolerom NIK dokumentów. Wśród nich była Polska Fundacja Narodowa, która „od momentu rozpoczęcia czynności kontrolnych najpierw w sposób opieszasty udostępniała ogólne informacje lub ogólnodostępne, a w dalszym czasie systematycznie odmawiała udostępnienia (...) kluczowych dla dokonania oceny dokumentów oraz kwestionowała uprawnienia kontrolne NIK”.

Dlaczego zarząd Polskiej Fundacji Narodowej odmówił NIK dostępu do dokumentów? Czy prawdą jest, że zarząd PFN chce w ten sposób ukryć nadużycia? To tylko dwa pytania z 21, na które nie dostałem odpowiedzi od rzecznika prasowego PFN.

NIK skierowała zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez zarząd PFN, ale upolityczniona prokuratura odmówiła zajęcia się sprawą. Nie pierwszy raz śledczy stanęli po stronie PFN, chroniąc tym samym jej niejasne interesy.

Fundacja zasilana milionami

Polska Fundacja Narodowa powstała w 2016 r. i miała zajmować się promocją ojczyzny za granicą. „Dzisiaj ogłaszamy powstanie fundacji, która tak naprawdę bierze się z siły i odpowiedzialności spółek Skarbu Państwa. (...) Padł pomysł, aby

spróbować stworzyć podmiot, który będzie zajmował się promowaniem Polski, ale nie promowaniem Polski w takim potocznym tego słowa znaczeniu, tylko poprzez pokazywanie czy promowanie, poprzez działania PR-owe różnych inicjatyw, ale żeby był to podmiot, który, wykorzystując siłę i energię spółek Skarbu Państwa, będzie budował polską markę”, mówiła premier Beata Szydło podczas uroczystej konferencji na Giełdzie Papierów Wartościowych.

Fundację utworzyło 17 firm państwowych obsadzonych przez nominatów PiS. Prawie wszystkie mają własne fundacje, które zajmują się tym samym, co PFN.

Choć to Szydło firmowała powstanie PFN, za pomysłodawcę przedsięwzięcia uważa się ówczesnego ministra skarbu Dawida Jackiewicza. Ten jednak po zaledwie 10 miesiącach urzędowania został odwołany w związku z nadużyciami, do których miało dochodzić w podległych mu spółkach, czego nie mógł już zdzierżyć nawet Jarosław Kaczyński.

PFN utworzyło 17 największych firm państwowych obsadzonych przez nominatów PiS. Były to: Polska Grupa Energetyczna, Enea, Energa, Tauron, KGHM, PZU, PKN Orlen, Grupa Lotos, PGNiG, Grupa Azoty, Totalizator Sportowy, Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, Polski Holding Nieruchomości, Polska Grupa Zbrojeniowa, PKO BP, PKP i Giełda Papierów Wartościowych. Jeszcze w 2016 r. spółki przełały na konto PFN niemal 100 mln zł. Jednocześnie zobowiązały się, że do 2026 r. przekażą fundacji w sumie ponad 633 mln zł.

Zgodnie ze statutem zadaniem PFN miała być szeroko pojęta

promocja polskiej gospodarki i spółek skarbu państwa, polskiej przedsiębiorczości, innowacyjności, wynalazczości oraz promocja i ochrona wizerunku Polski.

W 2017 r. zmieniono statut PFN i odtąd jej głównym zadaniem stało się upowszechnianie martyrologii i bohaterskich czynów narodu polskiego, tradycji, historii najnowszej Polski, pielęgnowanie polskości, walka ze znieważaniem, kształtowanie i promowanie postaw patriotycznych.

Prawie wszystkie spółki fundator-ki PFN mają własne fundacje, które zajmują się tym samym. Tworzenie podmiotu dublującego zadania już istniejących nie miało uzasadnienia.

Polityczni menedżerowie

Wydawać by się mogło, że na czele fundacji, która dysponuje gigantycznymi pieniędzmi, staną wybitni menedżerowie. Tymczasem prezesem zarządu PFN został niedoszły ksiądz Cezary Jurkiewicz, szef klubu warszawskich radnych PiS i lider Klubu „Gazety Polskiej” stołecznej dzielnicy Wawer. Jurkiewicz to zaufany człowiek prezesa Kaczyńskiego. M.in. szefował straży porządkowej, która ochraniała partyjne manifestacje i miesięcznice smoleńskie.

Zarząd PFN uzupełniali Paweł Kozyra – były rzecznik prasowy Ministerstwa Skarbu Państwa w pierwszym rządzie PiS, i Maciej Świrski – współpracownik wicepremiera Piotra Glińskiego. Świrski razem z Józefem



Prezesem PFN został Cezary Jurkiewicz (nz. z prawej) – zaufany człowiek prezesa Kaczyńskiego, a w skład zarządu wszedł również Maciej Świrski – współpracownik wicepremiera Glińskiego.

Orłem założył Fundację Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniestawieniom. Zastąpił piniactwem. Walczył m.in. z nagrodzonym Oscarem filmem „Ida”. Twierdził, że może on „wywołać w widzach fałszywe przeświadczenie, że to Polacy wymordowali europejskich Żydów”, a od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej domagał się umieszczenia w czołówce filmu informacji o sytuacji Polaków podczas II wojny światowej. Do prezydenta Dudy Świrski skierował petycję z żądaniem pozbawienia historyka Jana Tomasza Grossa Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Twierdził, że „Gross to oszczerca wyjątkowo szkodliwy, który pod pozorem pracy naukowej prowadzi kampanię zniestawień i zniewag przeciwko Polsce”. Teraz Świrski realizuje swoją misję jako przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Zarząd PFN zmieniał się jak w kalejdoskopie. Przewinęli się przez niego tacy „wybitni” fachowcy od zarządzania jak Filip Rdeśniński, Antoni Kolek czy Robert Lubański.

Rdeśniński to były dziennikarz „Gazety Polskiej”, kandydat PiS w wyborach parlamentarnych i samorządowych. Działal w antykomunistycznej organizacji Naszość. Znany jest z pajacowania i urządzania awantur. Próbowal wtargnąć do urzędu miasta

w Poznaniu, gdzie gościł konsul rosyjski. Kiedy dyplomata wyjeżdżał z parkingu, Rdeśniński rzucił się na maskę jego samochodu. Sprawa trafiła do sądu, który ukarał go naganą. Innym razem Rdeśniński z kumplami z Naszości próbowali rozbić pochód pierwszomajowy organizacji lewicowych. Przebrani za jelenie skandowali m.in.: „Łybacka na rykowisko” (Krystyna Łybacka to ówczesna szefowa wielkopolskiego SLD, posłanka

22 lutego minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz odwołał Radę Polskiej Fundacji Narodowej. Stanowiska mają też stracić członkowie Zarządu PFN.

i minister edukacji w rządzie Leszka Millera). Awanturnicy zostali zatrzymani i sprawa również trafiła do sądu. Podczas rozprawy zachowywali się buńczucznie. „Przybyłem na SLD-owskie rykowisko, by zapłodnić dorodną tanię”, mówił Rdeśniński przed sądem. Jego kumpel Jarosław Czarnecki na pytanie sędzi Izabeli Hantz-Nowak o stan cywilny odpowiedział: „Żadna tania do tej pory mnie nie chciała. Może pani zechce?”. Sędzia za obrazę nałożyła na niego karę w wysokości 300 zł, a wszystkich skazała na grzywny po 350 zł.

Zanim Rdeśniński trafił do PFN, PiS wsadziło go na stołek prezesa Radia

Poznań. Odszedł po dwóch latach w niesławie, zostawiając rozgłośnię z gigantycznym długiem i pieśnią patriotyczną „Rota”, puszczaną codziennie przed północą.

Antoni Kolek to zaufany człowiek byłej prezes ZUS Gertrudy Uścińskiej. Jak napisał „Fakt”, Kolek został dyscyplinarnie zwolniony ze stanowiska dyrektora gabinetu prezesa ZUS, a prokuratura wszczęła śledztwo po zawiadomieniu złożonym przez jednego z wiceprezesów ZUS. Kolek miał przekazywać wewnętrzne informacje objęte tajemnicą osobom nieuprawnionym.

Robert Lubański był doradcą i rzecznikiem Julii Przyłębskiej, prezeski nieuznawanego Trybunału Konstytucyjnego. Wcześniej był asystentem europoła PiS Zdzisława Krasnodębskiego. Według plotek to bywalcy tzw. saloniku architekt Anny Bieleckiej, szarej eminencji i przyjaciółki Jarosława Kaczyńskiego, stali za nominacją Lubańskiego do PFN.

W skład ostatniego zarządu wchodzili: prezes Marcin Zarzecki, były pracownik Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Michał Góras, radny PiS sejmiku Mazowsza i były szef gabinetu politycznego wicepremiera i ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego oraz wspomniany już

Cezary Jurkiewicz. 22 lutego br. minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz odwołał Radę Polskiej Fundacji Narodowej „ze względu na brak transparentności w działaniach realizowanych przez PFN”. Stanowiska mają też stracić członkowie zarządu PFN.

Według raportu sporządzonego na koniec 2022 r. w PFN pracowało 36 osób w tym osiem na stanowiskach dyrektorskich, a wynagrodzenia pochłonęły ok. 7,5 mln zł. Na pensje członków zarządu przeznaczono prawie 1,2 mln zł, czyli Zarzecki, Góras i Jurkiewicz zarobili średnio ok. 400 tys. zł rocznie, tj. ok. 33 tys. zł miesięcznie.

► Hejtem w sędziów

PFN miała spektakularny debiut. Latem 2017 r. ruszyła z hejterską kampanią oczerniającą sędziów. Polskę zalały billboardy i spoty telewizyjne z hasłami: „Sędzia ukradł kielbasę”, „Pijany sędzia awanturował się w klubie”, „Sędzia kradła spodnie”, „Sędzia z żoną kradli elektronikę”, „Sędziowie wzajemnie przyznają sobie dodatkowe wynagrodzenia” czy „Sąd w Świdnicy wypuścił na wolność pedofila. Po wyjściu na wolność mężczyzna skrzywdził kolejne dziecko”. Akcja zbiegła się z pakietem forsowanych przez PiS ustaw uderzających w niezawisłość wymiaru sprawiedliwości. Kampania kosztowała niemal 8,5 mln zł, a przygotowali ją doradcy premier Beaty Szydło – Anna Plakwicz i Piotr Matczuk, którzy jeszcze jako urzędnicy KPRM zarejestrowali spółkę Solvere i zaczęli zarabiać w PFN.

Ponieważ PFN, angażując się w polityczne przedsięwzięcie partii rządzącej, złamała swój statut, ówczesna

uprawnien i niedopełnieniu obowiązków przez członków zarządu PFN, którzy niezgodnie z prawem sfinansowali kampanię. Prokuratura jednak odmówiła wszczęcia śledztwa.

Rodzina na swoim

Prokuratura nie reagowała też na inne nadużycia. Ponad 5,5 mln dol. PFN zapłaciła amerykańskiej firmie PR White House Writers Group, która w mediach społecznościowych założyła profile promujące Polskę, obserwowane przez... kilkadziesiąt osób. Okazało się, że na rzekomej promocji Polski obłowiła się rodzina kontrowersyjnego, związanego z PiS polonijnego historyka Marka Chodakiewicza, który podczas wykładu organizowanego przez Instytut Pamięci Narodowej wulgarnie wypowiadał się o osobach homoseksualnych, twierdząc, że mają „skłonności do zoofili”, a „prucie się w kakao” jest obrazą Boga. Na konta Chodakiewicza i jego żony wpłynęło 250 tys. dol.

Ponad 5,5 mln dol. PFN zapłaciła amerykańskiej firmie PR White House Writers Group, która w mediach społecznościowych założyła profile promujące Polskę, obserwowane przez zaledwie kilkadziesiąt osób.

prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która sprawowała nadzór nad fundacją, wszczęła postępowanie nadzorcze. Fundacja odmówiła jednak stołecznemu ratuszowi udostępnienia dokumentów, twierdząc, że nie ma on kompetencji (sic!), by badać jej działalność. Sprawa znalazła się w sądzie, który orzekł, że kampania billboardowa była sprzeczna z celami zapisanymi w statucie PFN, „a podejmowane w trakcie tej kampanii działania nie tylko nie promują i nie chronią wizerunku Rzeczypospolitej Polskiej, ale wręcz przeciwnie – wizerunek ten znacznie osłabiają, skoro kreują wyłącznie negatywny, oparty na jednostkowych przypadkach, obraz władzy sądowniczej, która obok władzy ustawodawczej i wykonawczej jest jednym z filarów ustroju Rzeczypospolitej”.

Prezydent Rafał Trzaskowski zaawiadomił prokuraturę o nadużyciu

z firmy WHWG. Natomiast siostra historyka Anna Chodakiewicz-Wellisz miała dostawać rocznie 120 tys. dol. plus zwrot za bilety lotnicze, hotele i rachunki w restauracjach. Czym się zajmowała rodzina Chodakiewiczów? Współorganizowali konferencję o prezydencie Ronaldzie Reaganie i papieżu Janie Pawle II, wysyłali mejle do ambasadorki USA w Polsce Georgette Mosbacher oraz udzielili telefonicznego wywiadu o Polsce katolickiemu radiu Ave Maria.

Jak to możliwe, że akurat Marek Chodakiewicz i jego rodzina utoczyli się na pieniądzach PFN? Odpowiedź wydaje się oczywista, skoro historyk jest znajomym Macieja Świrskiego, który był wiceprezesem PFN.

Rejs widmo za miliony

Skandalem zakończył się inny sztandarowy projekt, „Polska 100”,

potem przemianowany na „I Love Poland”. PFN za 900 tys. euro kupiła używany jacht, który pod dowództwem mistrza olimpijskiego i mistrza świata w żeglarskim Mateusza Kusznierewicza miał ruszyć w trzyletni rejs dookoła świata z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. Jednak PFN zerwała umowę z założoną przez Kusznierewicza Fundacją Navigare z powodu, jak to określono, „utruty zaufania do Kusznierewicza”. Zmieniono formułę wyprawy – zamiast rejsu dookoła świata jacht miał brać udział w regatach.

Skompletowano nową załogę, która wypłynęła na szerokie wody. Rządowe media informowały z dumą, że dzielna ekipa „czterokrotnie zwyciężyła w prestiżowych regatach oceanicznych na Karaibach” i „jest to pierwszy taki sukces polskiej załogi”, która „triumfalnie wraca do kraju”. Prawda zaś była taka, że wspomniane regaty to impreza amatorska o charakterze towarzyskim, w środowisku żeglarskim takie zawody nazywane są pieszczotliwie Mickey Mouse.

Hucznego przywitania żeglarzy na polskiej ziemi tak czy owak nie było. Łódź uległa uszkodzeniu i na kilka miesięcy utknęła w Portsmouth na Rhode Island. W tym czasie po raz kolejny zmieniono formułę akcji promocyjnej. Jacht, który miał pływać po morzach całego świata, by słać Polskę, stał się jednostką szkoleniową. Ale i to już jest nieaktualne, bo PFN sprzedała swoją chlubę. Według nieoficjalnych informacji kupno, remonty, utrzymanie i obsługa jachtu mogły pochłonąć nawet 60 mln zł.

Jan Paweł II, wójt Pcimia i Lech Kaczyński

Każdego roku PFN wydaje od 40 mln do ponad 100 mln zł na dziesiątki różnych przedsięwzięć. Nie wiadomo, kto decyduje o tym, jak te pieniądze są wydawane ani, co najważniejsze, do kogo trafiają. Wiele wskazuje, że PFN stała się dojną krową, do której wymion przyssali się krewni i znajomi królika.

Od kiedy w 2017 r. zmieniono statut, PFN bardziej przypomina Instytut Pamięci Narodowej niż podmiot, który miał się zajmować promocją



INNY PUNKT WIDZENIA

- WYJĄTKOWY
- NIEZALEŻNY DO BÓLU
- NAJLEPSI AUTORZY

ELEKTRONICZNA SUBSKRYPCJA TYGODNIKA PRZEGLĄD

Kup i czytaj w dowolnym miejscu i czasie

Pełna oferta na sklep.tygodnikprzeglad.pl



Wesprzyj swój tygodnik i przekaz darowiznę na konto fundacji PRZEGLĄDU:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

Marek Chodakiewicz podczas wykładu organizowanego przez IPN twierdził, że osoby homoseksualne mają „skłonności do zoofilii”.



polskich firm i polskiej gospodarki. Tylko w latach 2018-2022 na projekt „Reputacja”, w ramach którego m.in. prowadzono działania promujące Polskę, a także „kompleksowe działania informacyjne mające na celu przeciwdziałanie dezinformacji oraz powielaniu stereotypów związanych z negatywnym wizerunkiem Polski”, przeznaczono ponad 60 mln zł. Z tych pieniędzy m.in. dofinansowano produkcję filmu „poświęconego wyjątkowej roli, jaką Lech Kaczyński odegrał w dziejach współczesnej Gruzji”, produkcję i promocję na terenie USA filmu „Prorok” o prymasie Stefanie Wyszyńskim, kampanię medialną True About Poland, w ramach której wyprodukowano i wypromowano w internecie materiały „promujące prawdę o Polsce i Polakach, demontujące nieprawdziwe informacje i obalające szkodliwe mity”.

Na wsparcie Muzeum ks. Jerzego Popiełuszki przeznaczono 600 tys. zł, na wsparcie Izby gen. Ryszarda Kuklińskiego ponad 830 tys. zł, na budowę Muzeum Komunizmu w Waszyngtonie ponad 21 mln zł, na wydanie albumu z nauczaniem Jana Pawła II ponad 630 tys. zł, a produkcja filmu „Raport Pileckiego” pochłonęła prawie 10 mln zł. Około 6 mln zł przeznaczono na anglojęzyczny program „Poland Daily” w powiązanej z PiS Telewizji Republika, który stał się pośmiewiskiem z powodu licznych kompromitujących błędów językowych. Około 3,5 mln zł poszło na

promowanie polskiej historii, kultury i dziedzictwa narodowego wśród żołnierzy NATO stacjonujących w Polsce.

Kampania informacyjna na temat dekomunizacji ulic w Polsce i w Warszawie kosztowała ponad 2 mln zł. Z przygotowanych przez PFN materiałów można było się dowiedzieć, że znany w świecie polski ekonomista Oskar Lange był przede wszystkim „tajnym współpracownikiem służb sowieckich”, a działalność Armii Ludowej, nazywanej „bojówkami zbrojnymi PPR, agenturalnej partii politycznej założonej w Moskwie w grudniu

Na rzekomej promocji Polski obłowiła się rodzina kontrowersyjnego, związanego z PiS polonijnego historyka Marka Chodakiewicza.

1941 r.”, „skierowana była przeciwko Polskiemu Państwu Podziemnemu”. O tym, że żołnierze AL walczyli w powstaniu warszawskim, nie wspomniano. Dostało się też prof. Stanisławowi Kulczyńskiemu, rektorowi Uniwersytetu Lwowskiego, o którym napisano, że był członkiem Stronnictwa Demokratycznego – „fasadowej przybudówki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”, „a jako delegat do Krajowej Rady Narodowej Kulczyński miał uwiarygodniać komunistyczną propagandę o istnieniu demokracji i pluralizmu w realiach dyktatury komunistycznej”. Przemilczano natomiast, że Kulczyński przeciwstawiał się wprowadzeniu przed wojną getta

ławkowego dla Żydów i że był pierwszym rektorem Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu.

Ponad 2 mln zł wydano na cztery artykuły napisane przez prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka, prezesa KGHM Marcina Chłudzińskiego, wicepremiera Piotra Glińskiego i prezydenta Andrzeja Dudę, które ukazały się na łamach „Financial Timesa”, „The Washington Post” i „The Wall Street Journal”. Pisowscy dygnitarze i oligarchowie opowiadali elitom finansowym i gospodarczym świata, jak znakomicie polska gospodarka i polskie społeczeństwo poradziły sobie w czasie pandemii koronawirusa, co było kłamstwem. W artykułach nie wspomniano o tym, że z powodu COVID-19 zmarło prawie 90 tys. osób, polski rząd działał chaotycznie, kupując poprzez spółki skarbu państwa środki ochrony osobistej bez wymaganych atestów czy bezwartościowe respiratory u handlarza bronią. Nie zająknięto się, że rząd wydawał absurdalne decyzje o zamknięciu siłowni, lasów i parków, a pozostawił otwarte kościoły. Jako autorytet promujący Polskę wśród liderów światowej opinii wykorzystano byłego wójta Pćmnia, człowieka bez wykształcenia, wiedzy ani doświadczenia w branży energetycznej, który posługuje się wulgarnym językiem, nie zna

angielskiego, został oskarżony przez prokuraturę o współdziałanie ze zorganizowaną grupą przestępczą, a pochodzenie jego majątku budzi wątpliwości. Wykorzystując Obajtka do promocji, PFN, która powinna dbać o wizerunek Polski, zszargała ten wizerunek, łamiąc znów swój statut.

I tak oto pod wzniosłymi hasłami, przy wtórce pseudopatriotycznych frazesów wyprowadzany był do prywatnych kieszeni gigantyczny majątek państwowy. Wiele wskazuje, że po zmianach władz spółek i zarządu PFN nie tylko kontrolerzy NIK, ale przede wszystkim prokuratorzy będą mieli dużo pracy.

Andrzej Sikorski

Z Galicji



Jan Widacki

Podróż afrykańska prezydenta Dudy

Pan prezydent od dawna miał słabość do Afryki. Nawet kiedyś dał jej publicznie wyraz, opowiadając wątpliwy rasistowski dowcip o plemieniu ludożerców, w którym byli absolwenci krakowskiej AGH. Jak widać, miał świadomość, że wyprawa do Afryki nie jest bezpieczna, ale widząc, że racja stanu tego wymaga, ruszył w kilkudniową oficjalną podróż po Czarnym Lądzie. Jako człowiek od lat niemający kontaktu z polityką nie bardzo mogłem zrozumieć, czego ta racja stanu oczekuje po afrykańskiej podróży polskiego prezydenta. Tym bardziej śledziłem ją z zapartym tchem.

Ze stron internetowych Kancelarii Prezydenta dowiadywałem się rzeczy ciekawych i dla mnie nowych. Wiadomości medialnych na ten temat z założenia nie śledzi-

w najbliższych amerykańskich wyborach prezydenckich jest coraz bardziej realne, coraz bardziej zatem realne jest to, że USA ograniczą swoje uczestnictwo w NATO, wstrzymają pomoc dla Ukrainy i będą szukały zbliżenia z Rosją, bo ich głównym rywalem są jednak Chiny. Tak więc możliwe, że nasz prezydent, mając od zawsze ograniczone zaufanie do Europy, przy groźbie zasadniczej zmiany kierunku polityki zagranicznej USA postanowił oprzeć bezpieczeństwo Polski na zupełnie nowych sojuszach. Z Nigerią, Kenią, Rwandą i Tanzanią. I to pchnęło go w tę egzotyczną podróż.

Jeśli wierzyć relacjom ze stron Kancelarii Prezydenta, podróż zakończyła się pełnym sukcesem. Mamy nowych, ważnych strategicznych sojuszników. Do koalicji antyputinowskiej, chcąc nie chcąc, dopisała się Nigeria („nasz nowy, ważny sojusznik”), jeśli nie cała Kenia, to na pewno kenijscy strażacy (zostali, zdaje się, obdarowani przez naszego prezydenta jakimś sprzętem), Rwan-
da, no i Tanzania.

Ta ostatnia zajmuje na mapie naszych sojuszy miejsce szczególne.

tem, bo wiedziałem, że media brutalnie ujarzmione przez prawnuka autora „W pustyni i w puszczy” obiektywne nie będą, a w dodatku z natury rzeczy nie są one życzliwe prezydentowi Rzeczypospolitej. Ówże prezydent, niczym Sienkiewiczowski Staś, wyruszył ze swoją niewinną i małomówną Nel w długą i uciążliwą (bo gorąco tam!) podróż w poprzek Afryki, tyle że nie z Sudanu do Mombasy, ale z Nigerii do Tanzanii.

Sytuacja międzynarodowa Polski nie jest najlepsza. Na Ukrainie wojna, w dodatku nowa polska średnia szlachta mazowiecka i wielkopolska popadła w konflikt z nową ukraińską magnaterią o zboże. Zablokowała przejścia graniczne z Ukrainą i, aby dobitniej zwrócić uwagę na swoje krzywdy, zaczęła traktorami blokować główne drogi z dala od ukraińskiej granicy, a nawet centra dużych miast. Niby popieramy Ukrainę, a jednocześnie blokujemy jej zachodnie granice i pomagamy dobijać jej gospodarkę. Nasza równoczesna antyrosyjskość sytuująca nas – co najmniej w sferze retorycznej – w czołówce antyputinowskiej koalicji budzi w Rosji wściekłość i chęć zemsty. Tymczasem nowy rząd Tuska z trudem odbudowuje relacje z Europą, niemal doszczętnie zniszczone przez osiem lat rządów PiS. Jakby tego było mało, zwycięstwo Trumpa

W Tanzanii, co przypominał nasz prezydent, są „absolwenci naszych uczelni”. To już dużo, bo jak pamiętamy wspomniany na wstępie dowcip pana prezydenta, ci nie zjadają swoich polskich profesorów. Poza tym w Tanzanii są groby polskich uchodźców z czasów wojny, którzy uzyskali azyl w ówczesnej kolonii brytyjskiej, a jak wiadomo, pan prezydent ma słabość do grobów uchodźców, szczególnie tych, co zmarli ostatnio w Puszczy Białowieskiej. W Tanzanii są również polscy misjonarze, a to dla prezydenta jest wartością samą w sobie. Cel polityczny podróży, jak jasno widać, został więc zrealizowany!

Przy okazji prezydent doszukiwał się w Tanzanii rodaków, którzy mają „korzenie rwandyjskie”. Coś się panu prezydentowi pomyliło, ale to można zważyć na karb upału, który – jak wyjaśniał kiedyś Witkacy – wywoływać może „tropikalnego bzika”. Przypadłość ta – pisał Witkacy – jest „groźną chorobą nerwów w tropikach, powstającą pod wpływem szalonej temperatury”. Niestety, Witkacy nie wyjaśnił, czy ustępuje ona po powrocie do chłodniejszego znacznie klimatu. Nie ma rady, musimy sami uważnie obserwować dalsze wypowiedzi i postępowanie pana prezydenta.

FAŁSZYWY MIT „WYKLĘTEGO”

Trudno wśród „żołnierzy wyklętych”, zwłaszcza tych aktywnych po 1947 r., nie trafić na osoby odpowiedzialne za zbrodnie wojenne

Jakub Woroncow

Zastrzelony w obławie ZOMO i Służby Bezpieczeństwa 21 października 1963 r. Józef Franczak, ps. „Lalek”, „Laluś”, przeszedł do historii jako ostatni ukrywający się członek podziemia antykomunistycznego i stał się jednym z głównych bohaterów panteonu „żołnierzy wyklętych”. Historyk, który przez lata badał jego postać, odkrył nowe materiały stawiające go w niekorzystnym świetle. Po opublikowaniu wyników tych badań został zwolniony z Instytutu Pamięci Narodowej.

Dezercja i partyzantka

Józef Franczak był z pochodzenia chłopem. Do Wojska Polskiego zgłosił się jako ochotnik, ukończył Szkołę Podoficerską Centrum Wyszukowania Żandarmerii w Grudziądzu i został wachmistrzem. Ponieważ służył w Równem, po 17 września 1939 r. trafił do niewoli radzieckiej. Udało mu się z niej wyrwać. Potem służył w Związku Walki Zbrojnej, a następnie w III Rejonie Obwodu Armii Krajowej Lublin jako dowódca plutonu. W 1944 r. został wcielony do 2. Armii Wojska Polskiego, by w styczniu 1945 r. z niej zdezerterować. Był świadkiem egzekucji członków AK i Narodowych Sił Zbrojnych, rozstrzeliwanych na uroczysku Baran niedaleko Radzyna Podlaskiego. Nie ujawnił się po ogłoszeniu amnestii dla członków podziemia 2 sierpnia 1945 r. Przebywał początkowo w Zduńskiej Woli i na Pomorzu, ale wrócił w rodzinne strony i dołączył do oddziału Antoniego Kopaczewskiego „Lwa”, podległego Lubelskiemu Okręgowi Zrzeszenia Wolność i Niezawistość.



24 marca 2015 r. w archikatedrze lubelskiej odbył się uroczysty pogrzeb „Lalka”.

W 1947 r. trafił do oddziału Zdzisława Brońskiego „Uskoka” i zdecydował o pozostaniu w konspiracji po ogłoszeniu przez Sejm drugiej amnestii dla członków podziemia. Dowodził siatką, która zbierała informacje na temat aresztowań i działań aktywu partyjnego, organizował zasadzki na małe patrole Milicji Obywatelskiej i napady, wykonywał kary chłosty i egzekucje. W 1956 r. po konsultacji z adwokatem również podjął decyzję o nieujawnieniu się i nieskorzystaniu z amnestii.

Już w 1996 r. powstał o „Lalku” film dokumentalny „Ostatni partyzant Rzeczypospolitej” autorstwa Tadeusza Arciucha. Potem posypały się kolejne formy jego uhonorowania i upamiętnienia (patrz ramka). Zabrakło natomiast refleksji, co sprawiło, że trzykrotnie nie skorzystał z amnestii.

Dr Sławomir Poleszak jest jednym z najwybitniejszych badaczy podziemia antykomunistycznego i z Rafałem Wnukiem, Agnieszką Jaczyńską oraz

Magdaleną Śladecką współautorem „Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956” wydanego w 2007 r. przez IPN. W 2020 r., czyli przed upamiętnieniami „Lalka” w Świdniku i w Sopocie, opublikował na łamach czasopisma „Zagłada Żydów” artykuł odtwarzający nieznane wojenne losy „Lalka”. Ujawnia on przynajmniej jeden z motywów pozostawania w konspiracji. Okazuje się, że ostatni „wyklęty” był już przed wojną antysemitą. Jeden z jego podkomendnych z czasów działalności w WiN, Tadeusz Matraszek „Sokół”, który ujawnił się po drugiej amnestii w 1947 r., zeznał, że do tego samego namawiał swojego dowódcę. Ten jednak miał mu oświadczyć, że „boi się ujawnić, gdyż w okresie okupacji łapał i strzelał Żydów”.

Ostatni czynni „leśni”

Franczak przy pomocy zaufanych członków siatki terenowej zbierał

informacje o prowadzonych przez Urząd Bezpieczeństwa i Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego operacjach zbrojnych, aresztowaniach, funkcjonariuszach i współpracownikach UB oraz działaczach Polskiej Partii Robotniczej. Aktywność jego grupy sprowadzała się do zasadzek na małe patrole milicyjne, akcji ekspropriacyjnych (przymusowego wywłaszczenia) oraz wykonywania kar chłosty lub śmierci. W sierpniu 1947 r. jego „leśni” podczas dożynek w Gardzienicach w Lubelskiem zastrzelili komendanta MO w Rybczewicach Tadeusza Bielszę. W strzelaninie rannych zostało kilku cywilów, w tym jeden śmiertelnie. W październiku tego samego roku patrol „Lalka” rozbroił posterunek MO we wsi Wysokie, rozstrzelał komendanta gminnego Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej i naczelnika

długoletniego więźnia, postanowił pozostać w konspiracji.

Partyzanci, którzy nie ujawnili się i nie skorzystali z amnestii w 1947 r., byli w sposób bezwzględny ścigani przez wojsko i organy bezpieczeństwa. Nasiliło się to po zbrodni w Puchaczowie, gdzie w nocy z 2 na 3 lipca 1947 r. z rąk WiN-owców podległych „Uskokowi” zginęły 22 osoby. Ukrywający się „Lalek” postępował ostrożnie, często zmieniał miejsce zakwaterowania, wykorzystywał swoich znajomych, by jako tajni współpracownicy SB wprowadzali w błąd funkcjonariuszy. W maju

W sierpniu 1947 r. ludzie Franczaka podczas dożynek w Gardzienicach zastrzelili komendanta MO w Rybczewicach Tadeusza Bielszę. Rannych zostało kilku cywilów, w tym jeden śmiertelnie.

poczty Aleksandra Winiarskiego oraz napadł na miejscowy sklep spółdzielczy. „Lalkowi” udało się przeżyć dwie zasadzki, w których ginęli jego towarzysze broni. Od maja 1949 r. działał sam. 24 sierpnia 1951 r. zastrzelił Franciszka Drygałę ze wsi Passów, którego podejrzewano o współpracę z UB, ponieważ w jego zabudowaniach ujęci zostali dwaj „wyklęci”.

Ostatnią akcją zbroijną „Lalka” był napad na kasę Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Piaszkach. 10 lutego 1953 r. Adam Stanisław Kuchciewicz „Wiktor” i Zbigniew Pielak „Felek” weszli i sterroryzowali jej obsługę. Franczak stał na czatach w bramie pobliskiego cmentarza. Doszło do strzelaniny, w której zginął „Wiktor” i obecny na miejscu komendant posterunku MO sierż. Tadeusz Stojek. Franczak i Pielak uciekli.

W kwietniu 1956 r. władze ogłosiły kolejną amnestię. Więźnia opuściło ponad 35 tys. osób, a prawie 90 się ujawniło. Józef Franczak zasięgnął w tej sprawie porady adwokata, jednak po rozmowie, obawiając się

1963 r. por. Kazimierz Mikołajczuk, pracownik operacyjny Wydziału III, zwerbował na tajnego współpracownika kuzyna narzeczonej „Lalka”, Stanisława Mazura, który pomógł wytropić i ująć Franczaka.

Motywy i wojenna przeszłość

Tak wyglądała jego historia znana jeszcze przed czterema laty, ale okazało się, że istnieją dokumenty pozwalające odtworzyć drogę Józefa Franczaka w wojennej konspiracji. Jego towarzyszami broni przez większość czasu byli bracia Franciszek i Władysław Beciowie. Pierwszy, podobnie jak Franczak, należał do AK, drugi był w Batalionach Chłopskich. W lutym 1943 r. ▶

KSIĄŻKI BEZ CENZURY Historia bez IPN



Pakiet 178 zł 130 zł



PRAWO DO PRAWDY Kto robi z bandytów świętych?



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Poczta Polska.

► „Lalek” z Beciami trzykrotnie zjawił się w gospodarstwie Ludwika Niedźwiadka w Kolonii Skrzynice i wypytawał tam o Żydów. Za trzecim razem spotkali nocujących tam żydowskich partyzantów. Syn gospodarza zeznał po wojnie: „Poszedłem z nimi do kuchni ojcowskiej. Zastałem w kuchni kilku osobników kwaterujących, lecz ilu, tego nie pamiętam, z których

do Władysława Becia, a gdy ten wybiegł, chwycić pistolet, oddać strzał i uciec. Sprawa nie wyszła na jaw, chociaż po zakończeniu wojny żydowscy partyzanci złożyli zawiadomienie o zdarzeniu. Obciążało ono jednak Władysława Becia, który był aktywnym tajnym współpracownikiem UB, i dlatego według Poleszaka mogło zostać wyciszone.

jednak, że sprawa wydania krawca była obiektem plotek, a „Lalek” był z nią łączony. Organy bezpieczeństwa niewiele jednak zrobiły w kwestii ustalenia personaliów drugiego szmalcownika, a podejrzanych o dokonanie czynu było czterech. Śledztwa wobec wszystkich umorzono, a za Franczakiem 20 października 1951 r. wydano list gończy.

W 1953 r. Helena Broda – Polka, która po latach otrzymała tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata za ukrywanie Żydów w czasie okupacji – zeznała o najściu Franczaka i jego ludzi na jej gospodarstwo zimą z 1943 na 1944 r. „Dokładnie stwierdzić nie mogę, jednak zdaje mi się, że do mieszkania weszli Beć Wacław lub Franciszek czy też Władysław oraz Król, imienia nie znam, i Marciniak Eugeniusz, Franczak natomiast miał rabować nas, wynosząc z komory żywność i garderobę. Po krótkim wymuszaniu na mnie i mężu przez wspomnianych bandytów wydania żydów poczęli nas bić do nieprzytomności i szukać tych żydów”. Brodowie zostali brutalnie pobici kolbą karabinu, pistoletem i kijem. Helena Broda spędziła w szpitalu dwa tygodnie, a jej mąż na skutek odniesionych wówczas obrażeń zmarł dwa lata później. Nie wydali ukrywanych.

Od maja 1949 r. „Lalek” działał sam. 24 sierpnia 1951 r. zastrzelił Franciszka Drygałę ze wsi Passów, którego podejrzewano o współpracę z UB.

jeden rewidował kolegę tego doprowadzonego przy mnie, a był to ten sam co uprzedniego dnia. W tym momencie osobnik, którego rewidowano, wyjął z zanadru pistolet i strzelił”. W strzelaninie, po której wybuchła panika, zginęło dwóch Żydów, siedmiu pozostałych uciekło. Według podkomendnego „Lalka”, Wacława Szaconia „Czarnego”, którego nie było wtedy w Kolonii Skrzynice, Franczak był znany miejscowym Żydom z udziału w akcji „Nie kupuj u Żyda” w latach 30. „Lalek”, po tym jak został przez jednego z Żydów rozpoznany, miał wywołać chaos rozkazem „Strzelaj!” skierowanym

Franczak miał też być odpowiedzialny za wydanie Niemcom ukrywającego się krawca Szmula Helfmana. „Zaproponowali mu, ażeby z nimi pojechał do Kozic, ponieważ tam będzie coś szył, na co on się zgodził. Franczak i drugi nieznany osobnik kazali, ażeby ów żydek wyszedł pieszo za sad, na gościniec i oni tam wyjadą. Zabrali go na sanie i prawdopodobnie zatkali mu usta słomą, i zamiast pojechać z nim do Kozic, zawieźli go do posterunku policji w Piaskach”, czytamy w zeznaniu Franciszka Becia, który był po wojnie szoferem-mechanikiem w Komitecie wojewódzkim PZPR. Poleszak podaje

Ku chwale Józefa Franczaka „Lalka”

W polityce historycznej III RP „żołnierze wyklęci”, początkowo z wolna, później w coraz szerszym zakresie, stawali się narodowymi bohaterami. Nie zastanawiano się, czy ktoś ma krew na rękach, czy nie. Wystarczyło, że należał do antykomunistycznego podziemia. Tak było z Józefem Franczakiem „Lalkiem”. Zaczęto go honorować i upamiętniać:

1996 r. – powstał film dokumentalny „Ostatni partyzant Rzeczypospolitej” autorstwa Tadeusza Arciucha.

1 maja 2007 r. – z inicjatywy Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość Obszaru Wschodniego w Lublinie oraz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa odsłonięto w Piaskach pomnik Franczaka.

17 marca 2008 r. – prezydent Lech Kaczyński nadał mu pośmiertnie Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

24 marca 2015 r. – w archikatedrze lubelskiej odbyła się msza pogrzebowa, po czym w obecności wojskowej asysty honorowej z Dowództwa Garnizonu Warszawa szczątki „Lalka” złożono na cmentarzu w Piaskach.

21 czerwca 2015 r. – Józef Franczak został pośmiertnie awansowany przez prezydenta Bronisława Komorowskiego na stopień podporucznika.

28 lutego 2016 r. – w Krakowie w Parku Jordana odsłonięto popiersie „Lalka”.

2017 r. – na motywach jego historii nakręcono film „Wyklęty” w reżyserii Konrada Łęckiego.

11-12 maja 2018 r. – w Wąwolnicy koło Nałęczowa Stowarzyszenie im. Kazimierza Wielkiego i Arsenał Szkolenia Strzeleckie zorganizowały Memoriał im. Józefa Franczaka, ps. „Laluś”. Współorganizatorem był Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

1 marca 2022 r. – wizerunek „Lalka” znalazł się na znaczku pocztowym wydanym przez Poczta Polska.

20 czerwca 2022 r. – Franczak został patronem Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Kozicach Dolnych.

23 października 2022 r. – w Świdniku odbył się VIII Marsz Szlakiem Józefa Franczaka.

7 listopada 2022 r. – odsłonięto pomnik „Lalka” w Świdniku.

25 października 2023 r. – w Sopocie na murze budynku, w którym w latach 1945-1946 ukrywał się „Lalek”, została odsłonięta poświęcona mu tablica.

„Lalek” był też stałym bohaterem uroczystości organizowanych w różnych miejscach w Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

(pd)



25 października 2023 r. w Sopocie została odsłonięta tablica upamiętniająca Józefa Franczaka.

Bracia Beciowie, ale już bez Franczaka, brali udział w jeszcze jednym wydarzeniu. 8 listopada 1942 r. w Kozicach Górnych, rodzinnej miejscowości „Lalka”, doszło do zbiorowej egzekucji uciekinierów z piaseckiego getta. Zostali wyłapani przez tłum chłopów, zebrani pod stodołą i rozstrzelani przez trzech niemieckich wartowników. Zdarzenie opisał 16-letni wówczas Jerzy Górnicki: „Jedna z Żydówek uklękła przed tym inicjatorem łapanek i zaczęła prosić, aby wypuścić chociaż to małe dziecko, dziewczynkę, która miała wtedy 10, może 12 lat. Ten trzymał w ręku kłonicę i uderzył tę Żydówkę, ona upadła, kopnął ją jeszcze i powiedział: »Ty k... jazda pod stodołę!«. Niemcy zabili na miejscu tę Żydówkę i dziecko, a resztę zabrali i kolejno na podwórkach rozstrzelali, tak że na każdym podwórku były jakieś trupy”. Sprawa okazała się problemem dla organów bezpieczeństwa. „Zajście to jest bardzo zawiślane i wymaga pracy planowej i poufnej, gdyż (...) są w to zamieszani członkowie PZPR oraz takie osoby, które mogą na skutek tego zbiec i ukrywać się”, raportował funkcjonariusz UB w Lublinie w maju 1949 r.

Poleszak do swoich ustaleń podszedł ostrożnie. „Nie możemy też wykluczyć – pisał – że obawy Franczaka przed ujawnieniem wynikały z jego powojennej działalności”. Należy również pamiętać, że działania wojenne

„Lalka” obciążały także Franciszka i Władysława Beciów, a ci służyli nowemu reżimowi. Otwarte pozostaje pytanie, czy uratował ich swoisty parasol ochronny, czy nietraktowanie przez nową władzę priorytetowo zbrodni na Żydach, zwłaszcza gdy ich sprawy nie byli po wojnie wrogami systemu. Jednak w 1950 r. aresztowany został, a cztery lata później

Podkomendny „Lalka” Tadeusz Matraszek „Sokół” zeznał, że namawiał swojego dowódcę do ujawnienia się w 1947 r. Ten jednak miał oświadczyć, że „boi się ujawnić, gdyż w okresie okupacji łapał i strzelał Żydów”.

skazany Tadeusz Antoszewski „Twierdza” z krasnostawskiego Kedywu. Postawionym mu zarzutem był udział w morderstwach Żydów. Działo się to w rodzinnych stronach Franczaka i nie mogło ująć jego uwadze.

Nagonka na historyka

Reakcja prawicy była dość nietypowa, głównie z powodu miejsca pracy oraz dorobku Poleszaka. Skrytykowali go m.in. Piotr Niwiński i Tomasz Łabuszewski na łamach wydawanego przez IPN pisma „Pamięć i Sprawiedliwość”, które w latach 2009-2016 było redagowane przez Poleszaka. Niwiński był wcześniej autorem recenzji, na podstawie której poprzedni

minister kultury i dziedzictwa narodowego odwołał dyrektora Muzeum II Wojny Światowej i oddał placówkę w ręce Karola Nawrockiego. Swoje cegiełki dołożyli Tadeusz Płużański na łamach TV Republika i Michał Skwarzyński z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Radiu Maryja. W listopadzie 2021 r. Karol Nawrocki, z nadania PiS najpierw dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, a następnie prezes IPN, zwolnił Sławomira Poleszaka i innego historyka, Sławomira Łukasiewicza. Wśród przyczyn zwolnienia Poleszaka wymieniono: działalność na rzecz portalu Ohistorie.eu (wykonywaną społecznie) bez zgody prezesa, publikowanie na jego łamach materiałów krytycznych wobec IPN oraz opublikowanie artykułu o działalności „Lalka”.

Przykład „Lalka” po raz kolejny świadczy o tym, jak szkodliwy społecznie jest lansowany przez PiS i skrajną prawicę mit zbrojnego oporu przeciw komunizmowi. Trudno wśród powojennych „żołnierzy wyklętych”, zwłaszcza tych aktywnych po drugiej amnestii, nie trafić na osoby odpowiedzialne za zbrodnie wojenne, a w wypadku „Lalka” także za kolaborację i prześladowanie

osób ratujących Żydów. W konsekwencji obok postaci bezspornie zasłużonych na pomniki trafiają antysemita i przestępca wojenni, a napiętnowane zostają ich ofiary. Warto w tym kontekście docenić inicjatywę Agnieszki Dziemianowicz-Bąk, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, która poleciła podległemu jej resortowi Urzędowi ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych niezwłocznie zaprzestać organizowania wydarzeń upamiętniających wielokrotnego mordercę Polaków, Żydów i Słowaków, Józefa Kurasia „Ognia”, oraz Brygadę Świętokrzyską NSZ, która splamiła się pod koniec wojny kolaboracją z Niemcami.

Jakub Woroncow

Rozmawia Jakub Dymek

Zajmuje się pan kwestią cyfrowego państwa dobrobytu i wykorzystywania algorytmów do nadzoru usług publicznych. Przyznam, że to nie brzmi specjalnie złowrogo. Może jednak za tymi hasłami kryje się więcej zagrożeń, niż się domyślamy?

– Pojęcie cyfrowego państwa dobrobytu odnosi się do procesu zapoczątkowanego jeszcze w latach 90., w ramach którego do systemu świadczeń społecznych, pomocy socjalnej czy administrowania usługami publicznymi wprowadza się coraz więcej automatycznych mechanizmów decyzyjnych. Z jednej strony, chodzi o to, by odciążyć człowieka i uprościć biurokrację. Z drugiej zaś, by w ogóle zmienić rolę ludzi w zarządzaniu świadczeniami i naturę pracy w administracji publicznej. Ryzykujemy jednak, że ograniczymy rolę człowieka i urzędnika do stempłowania decyzji podejmowanych przez system komputerowy. W ten sposób narazimy masę niewinnych ludzi na konsekwencje potencjalnie niesprawiedliwych czy niepotrzebnie surowych decyzji podejmowanych przez sterowany algorytmem automat.

A komu najbardziej zależało na tym, żeby kwestie pomocy społecznej czy administracji usługami publicznymi zautomatyzować? Rządowi i samorządom, które mogą chcieć zaoszczędzić, firmom, które na wdrażaniu takich technologii zarabiają, czy samym odbiorcom świadczeń i usług?

– W dużym stopniu bierze się to z niekończącej się pogoni za większą efektywnością. Oczywiście konkretne motywacje mogą się różnić pomiędzy krajami Europy, Kanadą i USA, ale zbiorczo możemy powiedzieć, że chodzi o wymogi neoliberalizmu. Przykładowo – jak najszybsze skrócenie kolejki spraw do rozpatrzenia albo obcięcie wydatków publicznych na urzędników. Moim zdaniem to rządy i samorządy pierwsze nakręcają to zjawisko, a firmy przychodzą później.

Kiedy zaczęło się to na dobre?

– O cyfryzacji pomocy społecznej pisano już w latach 90., ale zmiana była raczej stopniowa niż nagła.

Urzędnik bez serca

Dlaczego państwa tak chętnie próbują oddać system pomocy społecznej w zarząd algorytmom?



MIKE ZAJKO

W gruncie rzeczy zaczęło się od przeniesienia do rzeczywistości cyfrowej procesów, które same w sobie były algorytmami, tylko realizowanymi przez ludzi. Bo wszystkie te formularze, przetwarzanie informacji, nanoszenie ich na arkusze i wyciąganie z nich systemowych wniosków to także były algorytmy, tyle że wykonywane ludzką ręką. Są badacze, którzy wskazują, że państwo tak chętnie adaptuje się do nowych rozwiązań

zmierzających do automatyzacji, bo samo jest czymś na kształt systemu przetwarzania informacji i wdrażania decyzji. Wejście algorytmów cyfrowych zaczęło się zaś od arkuszy w Excelu, a potem była dalsza automatyzacja procesów, która w założeniach zaczęła przypominać AI. Ostatnia dekada – właściwie ostatnie pięć lat – to wdrożenie systemów opartych na uczeniu maszynowym (*machine learning*, ML), czyli właściwej sztucznej inteligencji, jak rozumiemy ją dzisiaj.

Właściwej, czyli jakiej?

– Fachowo mówi się o zautomatyzowanych systemach decyzyjnych (*automated decision-making systems*, ADM) w dziedzinie administracji publicznej. Powinniśmy przestać kojarzyć ten proces z jakimiś myślącymi maszynami czy robotami wyposażonymi w mózgi i dysponującymi inteligencją. Tak jeszcze nie jest. Ale te systemy robią coś inteligentnego. W zastosowaniu ADM w cyfrowym państwie dobrobytu nie chodzi tylko o to, że algorytm sprawdza, czy

Mike Zajko – assistant professor (adiunkt) na wydziale Historii i Socjologii University of British Columbia w Kanadzie. Zajmuje się badaniem wpływu technologii, w szczególności AI i algorytmów, na rządzenie. Na łamach pisma „Surveillance & Society” ukazał się niedawno jego artykuł poświęcony wykorzystaniu algorytmów do śledzenia odbiorców pomocy społecznej „Automated Government Benefits and Welfare Surveillance”.

człowiek właściwie wypełnił wniosek. Algorytm najpierw jest trenowany na wielkich zasobach danych w procesie uczenia maszynowego, aby następnie mógł rozpoznawać prawidłowości i odpowiednio je sklasyfikować w kolejnych zbiorach danych. Dzięki temu narzędzia te są bardziej sprawne, ale

zasiłki społeczne. W 2019 r. ujawniono, że w rzeczywistości za decyzjami stoi algorytm. System ten, posługując się uczeniem maszynowym – m.in. danymi o zużyciu wody – wyszukiwał „podejrzanych”. Holenderski urząd podatkowy, który zarządzał całym procesem, robił to

Wykorzystując algorytmy do nadzorowania usług publicznych, ryzykujemy, że rolę urzędnika ograniczymy do stemplowania decyzji podejmowanych przez system komputerowy.

i nieprzejrzyste, ponieważ nie do końca jasne jest, w jaki sposób dochodzą do podejmowanych decyzji.

O jakim stopniu skomplikowania tak naprawdę mówimy? Bo jestem w stanie wyobrazić sobie zarówno bardzo banalne, jak i bardzo wyrafinowane zastosowania podobnych narzędzi.

– Przykładowo tropienie wyludzenia zasiłków. Zauważmy: już u podstaw tych rozwiązań leży założenie, że ludzie pobierających zasiłki jest za dużo i na pewno mamy do czynienia z nadużyciem systemu. A wyzwaniem jest tylko to, jak zjawisko wyeliminować. Algorytmy przygotowane do przesiewania i porównywania dużych zasobów danych oraz weryfikowania odrębnych baz danych mogą być w tym pomocne. Weźmy Holandię, gdzie m.in. na podstawie pomiarów zużycia wody i liczby osób zameldowanych pod konkretnym adresem szukano „czerwonych flag”. Czyli potencjalnie podejrzanych zachowań do sprawdzenia. Najczęściej dzieje się tak, że system przekazuje informacje o „czerwonej fladze”, czyli czymś podejrzanym, do człowieka.

Ale nadal decyzja, co z tym zrobić, jest po stronie urzędnika?

– Tak, co wcale nie znaczy, że decyzja człowieka nie jest w jakimś wymiarze podyktowana przez działanie algorytmu. Bo już sam dobór podejrzanych spraw i ścieżka prowadząca do odnajdywania „czerwonych flag” zostały scedowane na algorytm. W Holandii doprowadziło to do słynnej „afery zasiłkowej”, w której główną rolę odegrał system SyRi. Przez kilka lat tysiącom rodzin kazano zwracać rzekomo wyludzone

w dodatku w sposób nieprzejrzysty, a logika podejmowania decyzji była sprzeczna – jak wskazywały różne urzędy – z prawem i ogólnie przyjętymi w Holandii standardami. Pojawiły się kary i oskarżenia o łamanie prawa do prywatności. Ostatecznie wskutek skandalu rząd Marka Ruttego podał się w 2021 r. do dymisji (później ponownie wygrał wybory – przyp. JD).

To jedyna tego rodzaju historia?

– Nie. W Wielkiej Brytanii doszło do tzw. skandalu Horizon, który korzeniami sięga jeszcze lat 90. System

samego początku działania systemu, od 2016 r., budziło wątpliwości. System ów funkcjonował zaledwie kilka lat, a rząd już w 2020 r. zaczął go wycofywać. Do dziś umorzono wadliwie naliczone długi pół miliona osób. Coś podobnego przetestowano w stanie Michigan w USA – z podobnym skutkiem. Te systemy wcale nie musiały być bardzo skomplikowane, żeby dochodziło do błędów. Przeciwnie, wystarczyło, że kwoty, na podstawie których system dokonywał obliczeń, były nieprawidłowe. Rozwiązania, które miały przynieść oszczędności i zwiększyć efektywność działania, doprowadziły do sytuacji odwrotnej. Rząd musiał wypłacać wielkie odszkodowania i ponieść większe koszty.

Ktoś jednak powie, że o ile proste systemy są skazane na głupie błędy, o tyle wejście tych algorytmów na wyższy poziom zaawansowania pozwoli wyeliminować pomyłki. I że to kwestia techniczna.

– Myślę, że w przypadku bardziej skomplikowanych systemów więcej rzeczy może pójść nie tak.

W Holandii tysiącom rodzin kazano zwracać rzekomo wyludzone zasiłki społeczne. W 2019 r. ujawniono, że za decyzjami stoi algorytm.

Horizon wyprodukowany przez firmę Fujitsu miał prowadzić księgowość i inwentarz małych placówek pocztowych. W wyniku błędów zaczął pokazywać braki w kasie albo zaopatrzeniu. Pocztowcy zgłaszali błędy, ale poczta utrzymywała, że z systemem wszystko jest w porządku, domagając się od tych ludzi zwrotu rzekomo brakujących kwot. Trwało to latami, reklamacje i odwołania były ignorowane, w wielu przypadkach sprawy trafiały do sądu, ludzi skazywano na więzienie, tracili oszczędności, niektórzy odebrali sobie życie. Ostatecznie rząd i zarząd poczty musieli przyznać się do błędu, a kwoty przeznaczone na odszkodowania i zadośćuczynienia idą w setki milionów funtów.

W Australii podobny skandal dotyczył automatycznego naliczania należności i długów obywateli, co od

Doświadczenie uczy, że im bardziej efektywne są sztuczna inteligencja i uczenie maszynowe, tym trudniejsze do wytłumaczenia i mniej przejrzyste jest ich działanie. A to jeden z podstawowych wymogów systemów, które używane są w administracji publicznej. Tym bardziej



► w obszarach państwa, które dotyczą równego traktowania czy wymiaru sprawiedliwości.

Jeśli państwo np. podejmuje decyzję, że komuś należą się albo nie należą jakieś świadczenia, powinno móc bardzo precyzyjnie wykazać, jak doszło do takiej decyzji i jak ona jest umotywowana. To zaś nie będzie możliwe w przypadku, gdy za proces podejmowania decyzji odpowiada bardzo zaawansowany algorytm filtrujący dane i wyłapujący prawidłowości niewidoczne dla zwykłego człowieka ani nawet doświadczanego urzędnika. Żeby ten system był zrozumiały, należałoby go jakoś uprościć. Ale nawet uproszczony pozostanie tajemnicą. To znaczy, że nawet jeśli będziemy wiedzieli w zarysach, co i jak działa, mechanizmy pozostaną ukryte i niemożliwe do rozgryzienia.

A gdyby rządy ujawniały więcej informacji o funkcjonowaniu tych systemów?

– Problem w tym, że udostępniane informacje i tak nie pozwalają rozstrząsać się w działaniu konkretnych narzędzi i zrozumieć, jaka relacja człowiek-maszyna naprawdę zachodzi. Rządowe agencje zastanawiają się też faktem, że w ich ocenie żadne decyzje nie są podejmowane przez ADM automatycznie. Przecież ostatecznie o wszystkim decyduje człowiek. Jednak zgadzam się co do tego, że sama wiedza o wykorzystywaniu systemów może być pomocna. Do tej pory o wielu podobnych systemach nie wiedzieliśmy. Tak było

w Kanadzie przy używaniu ADM do zarządzania migracją.

W jaki sposób?

– W Kanadzie była długa kolejka nierozpatrzonej wniosków wizowych i brakowało urzędników zdolnych zająć się szybko następnymi. Wprowadzono więc automatyczny system, na początku ograniczony do krajów w rodzaju Indii i Chin, skąd spływało bardzo dużo wniosków. System je filtrował, z jednej strony dając zielone światło obiecującym kandydatom, a z drugiej szukając schematów, które pozwalały wskazać ewentualne oszustwa. Założenie było takie, że nie będzie on odrzucał wniosków sam z siebie – to zawsze miał robić

Im bardziej efektywne są sztuczna inteligencja i uczenie maszynowe, tym trudniejsze do wytłumaczenia i mniej przejrzyste jest ich działanie.

człowiek. W teorii więc nie mogło się zdarzyć, że komuś odmawia się prawa wjazdu do Kanady na podstawie decyzji automatu. Urzędnicy dostawali tylko pewne komunikaty, które miały ich przygotować do podjęcia takiej decyzji.

Działał jednak także system nazwany Chinook, który pozwalał urzędnikom udzielać odpowiedzi i pisać listy o odmowie przyznania wizy na zasadzie „kopiuj-wklej”. Tutaj trudno już mówić o wnikliwej i samodzielnej ocenie przypadków przez urzędników, którzy w teorii mieli rozpatrywać te sprawy indywidualnie. Prawnicy reprezentujący migrantów odkryli to, bo fakty w listach przestały pasować

do konkretnych osób i ich sytuacji. Czasami organizacjom pozarządowym udało się po latach wyciągnąć sprawę na światło dzienne. Ale to też jest jeden z tych obszarów działania algorytmów, którymi społeczeństwo niespecjalnie się interesuje, a o automatyzacji wciąż wiele nie wiemy.

Bo dotyczy biedniejszych i ludzi daleko od szczytów drabiny społecznej?

– Systemy nadzoru zazwyczaj sprzyjają najbogatszym i są wymierzone przeciw grupom słabszym – biedniejszym, marginalizowanym, migrantom – poddanych już różnym reżimom kontroli społecznej. Nawet w wypadku systemów wykrywania

oszustw podatkowych czy unikania opodatkowania, które teoretycznie uderzają w najbogatszych. Automatyzacja lub wprowadzenie algorytmów nie sprawi, że dochodzenie zaległości podatkowych od wielkich korporacji czy bogaczy, których stać na prawników, będzie dla administracji państwowej tańsze. Ludzie decyzyjni albo organy skarbowe mogą od tego odstąpić, bo wiedzą, że najzamożniejsi będą się długo i skutecznie bronić. Istnieje więc pokusa, żeby używać tych systemów wobec ludzi, którzy takiej możliwości obrony nie mają.

Czyli w cyfrowym państwie dobrobytu zawsze pojawia się konflikt wartości – choćby między efektywnością a zasadami demokratycznymi?

– Myślę, że widzimy napięcie między technokracją – imperatywem efektywności i cięcia kosztów – a demokracją z jej imperatywami praw człowieka. Rozumianymi także jako prawo do prywatności i kontroli nad decyzjami, które nas dotyczą. I widzę, że te tendencje ciągną w przeciwnych kierunkach.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Wywiad został zrealizowany we współpracy z Fundacją Panoptikon. Więcej informacji i kolejne rozmowy w cyklu również na stronach panoptikon.org

Z wielkim smutkiem żegnamy

Stanisława Marka Jaśkiewicza

wieloletniego członka Rady Fundacji Amicus Europae,
ministra w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, działacza młodzieżowego i studenckiego,
prawdziwego państwowca, człowieka niezwykle miłego, skromnego i pracowitego.

Spoczywaj w pokoju.

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy najgłębszego współczucia

*Aleksander Kwaśniewski, Andrzej Majkowski i Ireneusz Bil
wraz ze współpracownikami z Fundacji Amicus Europae*



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

To będzie felieton ponury, jak ponure są czasy, w których żyjemy. A przecież jeszcze nie tak dawno byliśmy wręcz w euforii. Szczególnie Amerykanie. Wieszczili koniec historii (Francis Fukuyama) i ostateczny triumf wolnorynkowego kapitalizmu stowarzyszonego z demokracją liberalną. Mówili o „trzeciej fali demokracji” (Samuel Huntington). Dziś wszystko to brzmi jak ponury żart. Weźmy demokrację liberalną. W momencie rozpadu ZSRR dominowało przekonanie, że to początek nowej ery – powszechnego zwycięstwa demokracji, ostatecznego końca totalitaryzmu. Figa z makiem. Dziś demokracja na całym świecie jest w odwrocie. A z pewnością ta liberalna, czyli związana z uznaniem praw jednostek, mniejszości, rzeczywistego pluralizmu politycznego, z kulturą polityczną, która nakazuje z klasą oddawać władzę po przegranych wyborach, szanować przeciwnika politycznego i nie starać się go zniszczyć w trakcie swoich rządów.

To ostatnie można by jakoś zrozumieć, wzięwszy pod uwagę historię Indii, ale skąd ta miłość do Rosji? Skąd autorytaryzm? Smutne. Jak smutna jest ewolucja takich krajów jak Brazylia, gdzie prezydent wygaduje banialuki na temat Rosji, wpisując się niestety w opowieść o durnej lewicy światowej, która nic nie rozumie z obecnego układu sił na świecie. To niezwykle bolesna sprawa dla mnie jako człowieka, który zawsze bardzo cenił Lulę da Silvę za jego politykę wewnętrzną.

Demokracja przeżywa trudne czasy, dla wielu ludzi na świecie ewidentnie tracąc atrakcyjność. Dominować zaczyna międzynarodówka tyranów i autokratów, przyciągając wciąż nowych kandydatów do pójsia śladem Chin czy Rosji. De facto już stracona jest Afryka, coraz gorzej jest w Azji, marnie w Ameryce Południowej, ale słabo wyglądają też sprawy w samej Europie. Wszak tylko krok dzieli nas od triumfu skrajnej prawicy we Francji, Niemczech

Demokracja liberalna w odwrocie

Szczególnie bolesny jest kryzys demokracji amerykańskiej. Atak na Kapitol to w tej perspektywie rzecz przełomowa. Możliwość zaistnienia czegoś takiego jeszcze niedawno nie przyszłaby Amerykanom do głowy. Podobnie jak to, że prezydentem może być jawny kłamca, krętacz, bufon i oszust biznesowy. Amerykańscy prezydenci bywali różni, lepsi i gorsi, lecz zawsze reprezentowali pewną klasę osobistą i polityczną. Aż do Trumpa. Nie on jednak jest problemem, ale miliony Amerykanów, którzy chcieli i nadal chcą na niego głosować. Co z nimi się stało? Gdzie się podziała amerykańska moralność, przywiązanie do prawdomówności i przyzwoitości? Jako człowiek, który przemieszkiał w Stanach kilka lat, jestem zaszokowany. To upadek.

Podobny szok przeżywam w odniesieniu do Węgier. Kraju, który poznałem w czasie licznych podróży (pierwszy raz zjechałem Węgry autostopem w 1974 r.), bardzo lubiłem i szanowałem. Węgrzy zawsze wydawali mi się najbardziej pewni swej europejskości, otwarci i tolerancyjni. Odwiedzając Budapeszt w latach 70. XX w., sądziłem, że nie muszę wyjeżdżać na mityczny Zachód, aby na nim być (skądinąd takie samo wrażenie miałem w owym czasie, odwiedzając kilkakrotnie Belgrad). Nigdy nie przypuściłbym, że Węgry mogą się stać krajem odwróconym tyłem do Europy, opanowanym przez antyzachodnie fobie, realizującym wschodni scenariusz urzędzenia życia społecznego i politycznego. Katastrofa.

No i wreszcie Indie. Wielkie rozczarowanie. Kraj, o którym się mówi, że to największa demokracja na świecie, staje się coraz bardziej autorytarny i antyzachodni.

i Hiszpanii. Dziwnie toczą się sprawy w Austrii, która nie może się zdecydować, czy jest z Europą Zachodnią, czy z Rosją. O rządzonej autorytarnie Turcji nie wspomnę.

Przyszłość rysuje się w ponurych barwach. Obóz antydemokratyczny zyskuje na sile, Zachód jest w odwrocie, trapiiony przez swoje wewnętrzne problemy, chorujący na polityczną naiwność i niezdecydowanie, co robić. Kurczy się obszar wolności i demokracji liberalnej. Nie można wykluczyć takiej przyszłości, w której znikną one niemal całkowicie z mapy świata, a ziści się wielkie marzenie Putina: *ruskiej mir* od Władywostoku do Lizbony.

Na koniec pozostaje zadać pytanie, kto zawinił. Moim zdaniem kapitalizm w wydaniu neoliberalnym. Odwrót od demokracji liberalnej to rezultat dziesięcioleci niesprawiedliwości społecznej, pogarszania się sytuacji tzw. klasy ludowej przy jednoczesnym umacnianiu się cynicznej, amoralnej i zainteresowanej wyłącznie zyskiem klasy biznesowej. Ludzie stracili wiarę w demokrację liberalną, bo nie przynosiła żadnych istotnych zmian w ich sytuacji życiowej. Dobrym przykładem są USA. Czy rządziła prawica, czy lewica, sytuacja pracowników najemnych systematycznie się pogarszała. Państwo stawało się coraz słabsze i coraz bardziej nieudolne (infrastruktura!). Dawno też przestało być choćby szczątkowym państwem dobrobytu. Ludzie zostali sami ze swoimi problemami.

Wielbiciele neoliberalnej ideologii mogą sobie pogratulować. Po latach jej panowania ludzie nie chcą już żadnego liberalizmu, także tego politycznego, związanego z demokracją liberalną. Gotowi są oddać władzę w ręce każdego, kto obieca im poprawę ich losu. Oto wasz sukces. ■

AfD jest gorsza od wszystkich prawicowych partii w Europie

Paul Hockenos

26 stycznia br. w witrynie internetowej Foreign Policy ukazała się ciekawa analiza pióra berlińskiego dziennikarza Paula Hockenosa, skupiająca się na pozycji w Niemczech i Europie skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec. Hockenos jest autorem książki „Berlin Calling. A Story of Anarchy, Music, the Wall and the Birth of New Berlin” (Tu mówi Berlin. Historia anarchii, muzyki, muru i narodzin nowego Berlina). Jego analiza jest niepokojąca i daje do myślenia, ponieważ ukazuje AfD jako partię wyraźnie przodującą w prawicowym ekstremizmie na naszym kontynencie.

Poniżej prezentujemy fragmenty artykułu. Całość można przeczytać pod adresem: foreignpolicy.com/2024/01/26/afd-germany-far-right-populism-radical-europe-remigration-immigrants/.

(...) Założona w 2013 r. Alternatywa dla Niemiec nie jest bytem nowym, podobnie jak jej słabo zawołany rasizm i ksenofobia. Jednak w ciągu ostatnich pięciu lat uległa dramatycznej radykalizacji, czego potwierdzeniem jest tajne, listopadowe spotkanie (25 listopada 2023 r. w hotelu w Poczdamie członkowie AfD spotkali się z neonazistami, aby przedyskutować sprawę reemigracji – przymusowego przesiedlenia obcokrajowców – przyp. P.K.). AfD zajmuje obecnie bardziej skrajne pozycje niż wiele pokrewnych, skrajnie prawicowych partii w Europie, takich chociażby jak Szwedzcy Demokraci, Partia Finów (wcześniej Prawdziwi Finowie – przyp. P.K.) czy holenderska Partia Wolności. Socjolog Wilhelm Heitmeyer, czołowy niemiecki znawca problematyki,

twierdzi, że dzisiejsza AfD oznacza „autorytarny, narodowy radykalizm”, czyli ideologię propagującą hierarchicznie uporządkowane i jednolite etnicznie społeczeństwo rządzone silną ręką. Jego zdaniem szczególnie radykalny charakter ma komunikacja i mobilizacja mizantropicznych grup, stosujących przemoc wobec wybranych mniejszości. Owe grupy obejmują neonazistów, którzy od trzech dekad są w Niemczech sprawcami największej liczby przestępstw z nienawiści. Ofiary to uchodźcy, obcokrajowcy, Żydzi, muzułmanie

Neonaziści od trzech dekad są w Niemczech sprawcami największej liczby przestępstw z nienawiści.

oraz przedstawiciele społeczności LGBTQ+. Badania (...) pokazują, że AfD – partia założona przez narodowo zorientowanych ekonomistów, nawołujących do powrotu do niemieckiej marki jako waluty narodowej – obecnie używa niemal identycznego języka jak nieistniejąca już Narodowodemokratyczna Partia Niemiec (NPD). NPD to mała, zjadliwie ksenofobiczna i otwarcie neonazistowska partia, która przez dziesięciolecie brała udział w wyborach w Niemczech, lecz nigdy nie zdołała zdobyć żadnego miejsca w Bundestagu. (...) Wedle „Spiegla” terminologia używana przez polityków AfD w ich przemówieniach była przez lata częścią lingua franca NPD. W dokumentach przypisywanych obu partiom znajdujemy reakcyjne terminy. Niektóre są wprost zaczerpnięte z okresu nazizmu w Niemczech. Na przykład *Umwolkung* (przenarodowienie), *Volkstod* (śmierć narodu niemieckiego), *Stimmvieh* (głosujące bydło) jako określenie wyborców

popierających partie opozycyjne czy *Passdeutschen* (obcokrajowcy posiadający niemieckie paszporty). (...)

Radykalizm AfD, który w przeszłości odstręczał Niemców, obecnie wyniósł tę partię na nowy poziom. W skali całego kraju uzyskuje ona w sondażach 22% poparcia, ustępując tylko chadekom, w niektórych zaś landach ma znacznie ponad 30%, co w nadchodzących jesiennych wyborach czyni ją siłą polityczną numer jeden. Bastionami radykalizmu są partyjne organizacje młodzieżowe i trzy landy wschodnich Niemiec:

Saksonia, Saksonia-Anhalt i Turynia. (...) Obecny wybuch powszechnego oburzenia na AfD, podzielany przez wszystkie główne partie polityczne, jest wynikiem ujawnienia (przez dziennikarzy portalu śledczego Correctiv – przyp. P.K.), że na tajnym spotkaniu politycy AfD spotkali się ze znanymi nazistami oraz bogatymi finansistami, aby opracować plany przymusowej deportacji cudzoziemców, a nawet obywateli niemieckich urodzonych za granicą. Zaszokowanym obserwatorom nasunęło się porównanie do konferencji, która odbyła się w 1942 r. w Wannsee – niedaleko Poczdamu. W jej trakcie naziści skoordynowali swój plan deportacji i wymordowania całej populacji żydowskiej w Europie. Część polityków AfD próbowała dowodzić, że partia dystansuje się od spotkania w Poczdamie, inni natomiast poparli jego cel. „Reemigracja nie jest tajnym planem, lecz obietnicą... i nie można tego lepiej ująć”, ogłosił 17 stycznia Hans-Christoph Berndt,

przedstawiciel AfD w parlamencie Brandenburgii.

Choć ujawnienie listopadowego spotkania miało siłę bomby, nie stawia AfD w nowym świetle. Potwierdza raczej diagnozę wielu ekspertów, że partia ta pod przywództwem najsłabszych liderów – zwłaszcza członka parlamentu Turynii Björna Höckego – przegoniła w radykalizmie inne skrajnie prawicowe partie w Europie. Zdaniem Ann-Cathrine Jungar, politolożki z uniwersytetu w Södertörn w Szwecji, „obecna AfD nie znalazłaby miejsca w szeregach Szwedzkich Demokratów ani większości innych, bardziej stonowanych partii skrajnie prawicowych obecnych we frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim”. (...) Zradykalizowana AfD, twierdzi Jungar, (...) zabiega o względy bojówkarzy, szermuje antysemickimi hasłami i bawi się propozycjami wyjścia Niemiec z NATO i Unii Europejskiej. Co więcej, politycy AfD sprzeciwiają się prawu par tej samej płci do adopcji, uczęszczaniu dzieci z niepełnosprawnościami do

zwykłych szkół i legalności aborcji. „Wszystkie te propozycje w Szwecji po prostu nie miałyby szans”, dopowiada Jungar.

Przypadek bliskiego sojusznika AfD, Austriackiej Partii Wolności (FPÖ), jest bardziej skomplikowany, nie tylko dlatego, że partia ta weszła w nową fazę radykalizacji. Austriacki historyk Ulf Brunnbauer z uniwersytetu w Ratyzbonie stoi

obecnie nieodróżnialna od prawego skrzydła AfD”. „Chce wydalenia z Austrii ludzi, dla których według niej nie ma tam miejsca. Nie chce ich jeszcze zagazowywać, ale chce pozbawić obywatelstwa. Chce obciążyć ludziom świadczeń socjalnych do tego stopnia, aby stracili źródło utrzymania (...)”. Opratko dodaje, że ani AfD, ani jej skrajnie prawicowi kompani w Europie Zachodniej

Bastionami radykalizmu są partyjne organizacje młodzieżowe i trzy landy wschodnich Niemiec: Saksonia, Saksonia-Anhalt i Turynia.

na stanowisku, że dwukrotne zasiadanie w rządzie federalnym od roku 2000 i kadencje w wielu regionalnych ciałach ustawodawczych i tak zmusiły FPÖ do stonowania swoich rasistowskich przekonań. (...) Innego zdania jest Benjamin Opratko, politolog z Uniwersytetu Leuphana w Lüneburgu (...). „FPÖ – argumentuje Opratko – pod rządami Herberta Kicka przesunęła się na prawo. Jest

nie zbliżyły się jeszcze do przejęcia pełnej władzy na modłę Fideszu Viktora Orbána na Węgrzech czy do niedawna Prawa i Sprawiedliwości w Polsce. „Podporządkowując sobie sądy i represjonując siły opozycyjne, partie te stopniowo podważały porządek demokratyczny – twierdzi Opratko. – To jest model AfD. To jest to, co partia ta chce zrobić”.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

Prof. Andrzej Werblan w rozmowie z Agnieszką Wołk-Łaniewską w „NIE”

W latach 1948-1956 Polska uległa daleko idącej wasalizacji. Moim zdaniem mogła tego uniknąć, mogła zminimalizować tę wasalizację – ale to tylko częściowo zależało od kapepowców i od lewicy. To zależało od znalezienia w Polsce, po stronie niekomunistycznej i nielewicowej, partnera, który byłby gotów zawrzeć ze Związkiem Radzieckim w czasie wojny takie porozumienie, do jakiego namawiał Churchill. Churchill mówił: oddać ziemie wschodnie Związkowi Radzieckiemu i nie handryczyć się, to jest nie do uratowania. Gdyby znalazły się poważne siły, które by to zaakceptowały – to moim zdaniem mogły przed 1944 r. przy poparciu Zachodu wynegocjować nieco korzystniejszą granicę wschodnią, może z Wilnem albo ze Lwowem. (...)

Mikołajczyk, który w sierpniu 1944 r. odmówił Stalinowi zostania premierem rządu jedności, był gotów na to pójść na przełomie 1944 i 1945 r. Ale Związek Radziecki już nie był tym zainteresowany. (...)

Gen. Okulicki pojechał [do Moskwy] wbrew zakazowi ze strony Londynu, z jasnym programem zaakceptowania Jałty i zagwarantowania pokoju wewnętrznego w zamian za to, że Związek Radziecki, zamiast dogadywać się z jakimiś Bermanami i Mincami, dogada się z AK. Gdyby Armia Krajowa i tenże Okulicki posłuchali gen. Tatara i ten manewr wykonali w pierwszej połowie 1944 r. – byłoby na Kremlu przyjęci z najwyższym uznaniem i mieliby szansę na układ podobny do zawartego przez fińskiego dowódcę Mannerheima. Ale niestety Tatar był z tym pomysłem w 1944 r. sam. Polacy mają talent do spóźniania się.



PAKIET 157 zł 140 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nieregistrowanym Poczta Polska.



Trumpizm z nową twarzą

Przy okazji chyba każdej kampanii Amerykanie słyszą, że przed nimi „najważniejsze wybory w życiu”

Piotr Tarczyński

Kiedy w sierpniu 1974 r. Richard Nixon, tonący w bagnie afery Watergate, ustąpił ze stanowiska prezydenta, jego następca Gerald Ford oznajmił Amerykanom: „Nasz długi narodowy koszmar dobiegł końca”. Nie była to prawda, ale zmęczeni Amerykanie woleli wierzyć, że choć Nixon stanowił zagrożenie dla demokracji i rządów prawa, to z jego odejściem wszystko wróciło do normy, zagrożenie minęło, bo uporządkowały się z nim mechanizmy konstytucyjne, a zatem system działa jak należy. Tymczasem niewiele brakowało, a nadużycia prezydenta i jego ludzi nigdy nie wyszłyby na jaw. Stało się tak tylko dlatego, że wiele osób

– dziennikarzy, śledczych, polityków – wykazało się determinacją, przedłożyło wierność konstytucji nad lojalność partyjną. To nie system zadziałał, tylko konkretni ludzie.

Niecałe pół wieku później sytuacja się powtórzyła, tylko tym razem skala niebezpieczeństwa była znacznie większa. W wyborach roku 2020 oraz późniejszych wydarzeniach, zwieńczonych szturmem na Kapitol 6 stycznia, jak w soczewce skupiły się patologie amerykańskiego systemu politycznego: nierówność, niereprezentatywność i niedemokratyczność, ekstremalna polaryzacja, radykalizacja jednej z dwóch głównych partii, archaiczność i nieprecyzyjność wielu przepisów. Od momentu głosowania do chwili, gdy zwycięzca składa przysięgę, mijają

blisko trzy miesiące i okazuje się, że w tym czasie na każdym kroku zagrożona jest uczciwość procesu wyborczego. (...) Udało się obronić konstytucyjny porządek i doprowadzić do pokojowej zmiany warty w Białym Domu nie dlatego, że system zadziałał jak należy – wręcz przeciwnie, jak na dłoni pokazał swoje rozmaite patologie – tylko dlatego, że część republikanów w tej akurat kwestii zachowała się jak należy. Z innymi osobami na kluczowych stanowiskach mogło się skończyć dużo gorzej.

„Jeśli unieważnimy wyniki wyborów na podstawie czczych oskarżeń przegranej strony, nasza demokracja znajdzie się w spirali śmierci. Nigdy już cały kraj nie zaakceptuje wyniku wyborów”, ostrzegał Mitch McConnell na forum Senatu 6 stycznia.

Pół godziny później tłum zwolenników Trumpa wdarł się do gmachu Kapitolu, żeby uniemożliwić „kradzież wyborów”.

Wydawało się, że atak ten będzie punktem zwrotnym dla Stanów Zjednoczonych. Agresywna retoryka Donalda Trumpa i wielkie kłamstwo o „ukradzionych wyborach” doprowadziły do ataku na siedzibę władzy ustawodawczej, śmierci kilkorga ludzi, a przede wszystkim do próby siłowego podważenia konstytucyjnego porządku. Atak na Kapitol rzeczywiście okazał się momentem przełomowym, ale nie w taki sposób, jak wyobrażali to sobie optymiści. Choć odpowiedzialność prezydenta była i jest niewątpliwa, Donald Trump – tak samo jak wcześniej Richard Nixon – był tylko symptomem choroby toczącej Amerykę. Jego odejście, choć potrzebne, nie oznaczało, że „koszmar dobiegł końca”. Po chwilowym szoku Partia Republikańska szybko wycofała się z prób rozliczenia winnych i niemal w całości przyjęła narrację o „ukradzionych wyborach”. Niektórzy politycy tej partii potrafili zerwać z Trumpem, ale jej liderzy – którzy 6 stycznia bali się o własne życie i nie mieli cienia wątpliwości, kto ponosi winę za podburzenie demonstrujących – albo całkowicie skapitulowali przed Trumpem, jak Kevin McCarthy, albo, jak Mitch McConnell, nabrali wody w usta.

W 1974 r. Richard Nixon uniknął wymiaru sprawiedliwości, lecz przynajmniej poniósł konsekwencje polityczne, odszedł w niestawie, a jego partia musiała wymyślić się od nowa – skutecznie zresztą, bo kilka lat później wróciła do władzy. W 2021 r. Donald Trump uniknął i jednego, i drugiego. Szansą na pociągnięcie go do odpowiedzialności politycznej był lutowy impeachment, ale republikańskie stchórzyły, żeby nie rozwścieczyć bazy swojej partii. Duża część powojennej historii politycznej Stanów Zjednoczonych to historia ciągłej radykalizacji GOP, która przesuwając się coraz bardziej w prawo, a także naiwnej wiary republikańskiego establishmentu w to, że zdoła posłużyć się radykałami bez oddawania im kontroli nad partią. Tak zdarzyło się

i tym razem – liderzy partii cynicznie grają opowieścią o „ukradzionych wyborach”, żeby mobilizować elektorat, ale na każdym kroku widać, kto kogo kontroluje.

Trumpizm zyskał nową narrację, potężniejszą i niebezpieczniejszą niż ta, którą dysponował wcześniej. W 2016 r. Donald Trump wzywał do przywrócenia krajowi dawnej świetności: „Uczyńmy Amerykę znowu wielką”. W 2020 r. zachowywał się, jakby znów kandydował po raz pierwszy, a nie rządził przez cztery lata: hasło pozostało w zasadzie bez zmiany, co najwyżej jego sztab z rzadka używał osobiwej (i powszechnie wykiwanej) formy „Uczyńmy Amerykę znowu wielką, znowu”. W 2024 r. republikański kandydat będzie szedł do wyborów pod hasłem naprawienia krzywdy, którą rzekomo wyrządzili demokraci

W 2024 r. republikański kandydat będzie szedł do wyborów pod hasłem naprawienia krzywdy, którą rzekomo wyrządzili demokraci cztery lata wcześniej.

cztery lata wcześniej. Nie chodzi już o powrót do jakiegoś nieokreślonego, mitycznego złotego wieku, ale do bardzo konkretnego momentu, kiedy „tamci” (lewica, liberalne elity, skorumpowane media itp.) „ukradli” Białą Dom – i to nie tylko Trumpowi, lecz także jego zwolennikom. „Już wygrywalimy te wybory. Prawdę mówiąc, wygraliśmy te wybory”, zapewniał Trump w nocy 4 listopada 2020 r. Miliony jego zwolenników oczekują, że w 2024 r. wreszcie zostanie wymierzona „sprawiedliwość” i „odzyskają kraj”.

Nie wiemy oczywiście, czy kandydatem Partii Republikańskiej będzie Donald Trump. Na razie wiele na to wskazuje, ale do wyborów jeszcze daleko, sytuacja może się zmienić, i to z różnych względów. Po pierwsze, eksprezydent będzie miał wtedy 78 lat, więc w grę mogą wejść, najzwyczajniej w świecie, powody zdrowotne. Sam Trump zapewnia wprawdzie, że ma się doskonale, ale to samo mówił kiedyś o rozmaitych swoich przedsięwzięciach biznesowych, które potem z hukiem

bankrutowały, więc do takich deklaracji warto podchodzić z pewną ostrożnością.

Po drugie, przeszkodą mogą się okazać względy prawne. Choć w obu impeachmentach został uniewinniony przez Senat (a zatem nie odebrano mu biernego prawa wyborczego), wciąż toczy się mnóstwo śledztw, federalnych i stanowych, w których orbicie znajduje się Donald Trump. Procesy to dla niego nie pierwszyna, oczywiście, ale choć lubi mówić wiele o wygrywaniu, prawie zawsze szedł w nich na ugodę – teraz, bodaj pierwszy raz w życiu, może nie mieć takiej możliwości. W Nowym Jorku i New Jersey prokuratury przyglądają się finansom Trumpa i jego firmy, lecz przede wszystkim trwają dochodzenia w sprawie wydarzeń 6 stycznia. Cywilne pozwy złożyli m.in. stróże

prawa, policjanci kapitolni i waszyngtońscy, domagając się odszkodowań za fizyczne i emocjonalne krzywdy, których doznali tamtego dnia. W Georgii śledczy przyglądają się telefonowi Trumpa do sekretarza stanu Brada Raffenspergera, namawianie urzędnika do złamania prawa jest bowiem – nie będzie to wielkim zaskoczeniem – przestępstwem.

Najistotniejsze w tym wszystkim będzie jednak to, co postanowi zrobić Departament Sprawiedliwości. Podczas transmitowanych na żywo posiedzeń komisji Izby Reprezentantów badającej okoliczności ataku na Kapitol przedstawiono szereg dowodów na to, że Donald Trump świadomie podburzał uzbrojony tłum, a w chwili ataku zaniedbał swoje obowiązki strażnika konstytucji, nie chcąc ani odwołać swoich zwolenników z Kapitolu, ani użyć przeciw nim policji i wojska. Gdyby nie inni oficjele – kierownictwo Kongresu, członkowie gabinetu, wiceprezydent – atak ten mógł się skończyć jeszcze gorzej. Czy to wystarczy do postawienia Trumpowi zarzutów? ▶

► Czy powinien takie zarzuty usłyszeć? Jak prawie w każdej kwestii, także i w tej Amerykanie są podzieleni po równo.

Departament Sprawiedliwości znajduje się w sytuacji, z której nie ma dobrego wyjścia. Jeśli eksprezident nie usłyszy zarzutów, będzie to dowód na bezsilność państwa i faktyczne przyzwolenie na przemoc w życiu politycznym. Jeśli usłyszy, jego zwolennicy z pewnością nie puszczą tego płazem. Wezmą to za kolejną rażącą niesprawiedliwość, dowód na wrogie machinacje „głębokiego państwa”, które za wszelką cenę chce powstrzymać ich idola przed powrotem do Białego Domu. Tylko naiwni mogą wierzyć, że posadzenie Donalda Trumpa na ławie oskarżonych (nie mówiąc już o ewentualnym skazaniu) nie doprowadziłoby do gwałtownych, może nawet brutalnych demonstracji. Byłby to też krok bez precedensu w historii demokratycznego państwa – akt oskarżenia nie tylko wobec byłej głowy państwa, lecz także wobec najbardziej prawdopodobnego kandydata na prezydenta partii opozycyjnej. Kolejny cios zadany demokratycznym normom.

Na razie Trump prowadzi w sondażach prawyborczych swojej partii, ale w drugiej połowie 2022 r. powoli

zaczął rosnąć odsetek republikanów, którzy woleliby, by ich partia poszła do następnych wyborów z jakimś innym kandydatem na prezydenta – obciążonym mniejszym bagażem negatywnym. Nie oznacza to jednak, że Partia Republikańska zaczyna odcinać się od Trumpa i wracać do swojej centroprawicowej postaci. Nawet jeśli następnym kandydatem GOP na prezydenta będzie ktoś inny – np. była ambasador USA przy ONZ Nikki Haley – nie będzie żadnego kroku wstecz od trumpizmu, wyłącznie jego nowa twarz.

Trumpiści będą lepiej przygotowani do wyborów, bo wiedzą, co i gdzie im nie wyszło. W pierwszej kolejności wymienią to, co naprawdę zawiodło Trumpa: ludzi.

Przy okazji chyba każdej kampanii Amerykanie słyszą, że przed nimi „najważniejsze wybory w życiu”, więc zdążyli się na to uodpornić, ale tak się składa, że w 2024 r. może być to prawda. Bez względu na to, kto stanie przeciw sobie w walce o Białą Dom, Stany Zjednoczone znajdą się w sytuacji, z której nie będzie dobrego wyjścia.

Zacznijmy od tego, że znowu może się zdarzyć tak, że w głosowaniu

powszechnym więcej głosów zdobędzie demokrat (lub demokratka), ale rozkład głosów elektorskich da zwycięstwo republikanowi (lub republikance). Kolejne wybory, w których wola większości wyborców zostanie zignorowana, z pewnością nie wzmocnią wiary obywateli w istniejący system.

Nowa republikańska administracja zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby jeszcze bardziej ugruntować swoją mniejszościową pozycję: wymontować ostatnie zabezpieczenia, połuźnić mechanizmy kontrolne,

zmienić przepisy wyborcze. Wzorem dla części prawicy, tzw. narodowych konserwatystów, są Węgry, kraj, w którym wprowadzie wciąż odbywają się wybory, ale wygrać może tylko jedna partia. „Mały kraj, z którego płynie dla nas wiele lekcji” – jak to ujął Tucker Carlson, czołowy medialny apologeta trumpizmu. Celem republikanów jest stworzenie samowzmacniającego się mechanizmu, który uniemożliwi im utratę władzy. Ktoś lepiej zorganizowany i bardziej metodyczny od Donalda Trumpa, z większym doświadczeniem we władzach wykonawczych może być jeszcze poważniejszym zagrożeniem dla demokracji niż eksprezident. Wiedzeni resentymentem trumpiści będą bardziej zdeterminowani niż wcześniej, a także lepiej przygotowani, bo wiedzą dobrze, co i gdzie im nie wyszło. W pierwszej kolejności wymienią to, co naprawdę zawiodło Trumpa: ludzi.

Już planują działania po ewentualnej wygranej w 2024 r. Jednym z pomysłów jest zwolnienie nawet do 50 tys. urzędników średniego szczebla, bezpartyjnych profesjonalistów. W języku najgorliwszych trumpistów stanowią oni trzon „głębokiego państwa”, które w czasie prezydentury Trumpa sabotowało jego działania. Zastąpiliby ich republikańscy lojaliści, gotowi posłuszenie



TURNIEJ ŁGARZY
BOGATYNIA 2024

41. FINAŁ OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU
TURNIEJU MAŁYCH FORM SATYRYCZNYCH
BOGATYNIA' 2024 odbędzie się
20 kwietnia 2024 roku!

www.turniej.com.pl

wypełniać polecenia. Byłaby to kompletna rewolucja w służbie cywilnej i kolejny cios w standardy amerykańskiej demokracji, która w ostatnich latach i tak spadła w światowych rankingach.

Zanim jednak nastąpi wymiana urzędników państwowych, konieczne jest przejęcie infrastruktury wyborczej. W 2022 r. w podkaście Steve’a Bannona, współodpowiedzialnego za wydarzenia z 6 stycznia, konserwatywna prawniczka Cleta Mitchell, koordynująca republikańskie wysiłki na rzecz zaostreżenia przepisów wyborczych, oświadczyła wprost: „Próbujemy stworzyć w każdym hrabstwie infrastrukturę nadzorującą uczciwość wyborów”. Co to znaczy? Jedna trzecia urzędników wyborczych w USA czuje się dziś zagrożona, a jedna szósta otrzymała groźby – nic dziwnego, że wielu z nich rezygnuje ze stanowisk albo nie chce kandydować ponownie. Na miejsca zwolnione przez ludzi lojalnych wobec konstytucji – sekretarzy stanu, komisarzy wyborczych itd. – już czekają kandydaci lojalni wobec Donalda Trumpa, którzy wierzą (a przynajmniej twierdzą, że wierzą) w wielkie kłamstwo o „ukradzionych wyborach”, gotowi zrobić wszystko, byle tylko nie dopuścić do przegranej swojego kandydata. Przypomina to sytuację wcześniejszą, kiedy republikanom za pomocą REDMAP udało się zdobyć większość w stanowych legislaturach i zdominować proces wytyczania nowych okręgów wyborczych. Przejęli kontrolę nad systemem z poziomu, który druga strona często lekceważyła, a który – w pewnych okolicznościach – okazuje się kluczowy.

Kontrola nad stanowymi legislaturami istotna jest także teraz – tym razem nie z powodu okręgów wyborczych (bo te będą wytyczane na nowo dopiero w 2031 r.), ale z powodu zatwierdzania głosów elektorów. Najważniejszym elementem planu odwrócenia wyniku wyborów było przekonanie stanowych legislatur w trzech stanach – Arizonie, Georgii i Pensylwanii – by wysłały do Waszyngtonu głosy „alternatywnych elektorów”. Plan się nie powiódł, bo część republikańskich

gubernatorów, sekretarzy stanu i spikerów legislatur odmówiła udziału – w przeciwieństwie do wielu republikańskich legislatorów. O ile w Georgii tylko jedna czwarta stanowych ustawodawców zgodziła się pomóc odwrócić wyniki, o tyle w Pensylwanii i Arizonie podpisało się pod tym pomysłem aż 80% legislatorów z tej partii. W sumie blisko połowa republikańskich przedstawicieli w kluczowych stanach gotowa była złamać normy, obyczaj i prawo, byle tylko doprowadzić do reelekcji Donalda Trumpa.

Ostatnie lata pokazują jednak co i rusz, że normy i obyczaj nie są dziś w polityce warte funta kłaków: Trump odmówił ujawnienia swoich zeznań podatkowych; jako prezydent nie zdystansował się tak naprawdę od swojego rodzinnego biznesu; zdominowany przez republikanów Senat odmówił rozpatrzenia jednej nominacji sędziowskiej, drugą przepchnął kolanem w ostatnim momencie;

Na miejsca zwolnione przez ludzi lojalnych wobec konstytucji już czekają kandydaci lojalni wobec Trumpa, którzy wierzą w kłamstwo o „ukradzionych wyborach”.

po brutalnym ataku na Kapitol, wywołanym kłamstwami o „kradzieży wyborów”, politycy GOP i tak bezpodstawnie oprotestowali głosy elektorów. Wszystko to było złamaniem norm, które na jakimś etapie wydawały się wszystkim nienaruszalne, i okazało się, że nie niesie to żadnych negatywnych konsekwencji. (...)

Wygrana kandydata lub kandydatki Partii Demokratycznej w 2024 r. – choć odsunie widmo powrotu trumpizmu do Białego Domu – też nie rozwiąże problemu. Donald Trump wyznaczył kierunek i to, że część republikanów nie uzna zwycięstwa demokratów, jest bardziej niż pewne. Niektórzy będą grali nim cynicznie, wykorzystując wielkie kłamstwo do mobilizacji zwolenników, ale co z tymi, którzy szczerze wierzą w narrację o „ukradzionych wyborach”? Jeśli – w ich

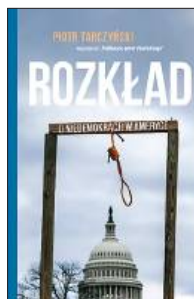
przekonaniu – demokraci „znowu” dokonają fałszerstw i odbiorą im zasłużone zwycięstwo?

W 2021 r. mniej więcej jedna trzecia Amerykanów zgadzała się ze stwierdzeniem, że demokraci „ukradli zwycięstwo” Donaldowi Trumpowi, ale wśród republikanów było to ponad dwie trzecie. Ponieważ tylko nieliczni politycy GOP dają tej narracji odpór, odsetek wierzących w „kradzież głosów” stale rośnie: badania z roku 2022 pokazywały, że już 70%, a nawet 80% republikańskiego elektoratu uważa, że Biden nie wygrał uczciwie wyborów.

Demokracja to nie tylko zestaw określonych przepisów regulujących zdobywanie – i oddanie – władzy. Akceptować muszą je wszyscy uczestnicy życia politycznego, a zwłaszcza przegrani, którzy – jeśli ufają systemowi – wiedzą, że mogą zdobyć władzę w kolejnych wyborach. Jakkolwiek banalnie by to brzmiało, demokracja zależy po prostu od wiary

w demokrację. Jeśli jednak jedna ze stron nie ufa demokratycznemu procesowi i jest przekonana, że druga strona gra nieuczciwie, łamiąc zasady, to i ona utwierdza się w przekonaniu, że w tej walce reguły nie mają znaczenia. Zwłaszcza jeśli nieustannie wmawia się jej, że zadano jej zdradziecki cios w plecy i że idzie o coś tak fundamentalnego jak „odzyskanie” albo wręcz „uratowanie” kraju. Choć 80% demokratów zasadniczo pokłada wiarę w systemie wyborczym, wśród tzw. niezależnych jest to tylko 51%. Zgadza się z tym jednak zaledwie jedna trzecia wyborców republikańskich, którzy od Donalda Trumpa słyszą, że „jeśli nie będą walczyć jak diabli, nie będą już mieli kraju”. (...)

Fragmenty książki Piotra Tarczyńskiego *Rozkład. O niedemokracji w Ameryce*, Znak Literanova, Kraków 2023



Bliżej do Słonecznego Brzegu i Konstancy

Bułgaria i Rumunia o krok od wejścia do strefy Schengen

Chrystian Ślusarczyk

31 marca 2024 r. Bułgaria i Rumunia po 12 latach starań wejdą do strefy Schengen. Na razie tylko na granicach powietrznych i morskich. Pełnoprawnymi członkami strefy mogą się stać za kilka miesięcy.

– Cieszę się, że po niełatwych negocjacjach Bułgaria i Rumunia uczyniły duży krok do pełnego wejścia do strefy Schengen. Granice w tych krajach przejdą do historii. W ten sposób budujemy strefę coraz szerszego obszaru szybkiego i swobodnego przepływu – powiedział Fernando Grande-Marlaska Gómez, minister spraw wewnętrznych Hiszpanii, która sprawuje obecnie prezydencję w Radzie Unii Europejskiej.

To niewątpliwym sukces obu najbiedniejszych krajów Unii Europejskiej. Na tę decyzję po obu stronach Dunaju czekało 27 mln mieszkańców: prawie 20 mln Rumunów i 7 mln Bułgarów. A tak naprawdę jeszcze więcej, bo do tych liczb dochodzi całkiem liczna i wciąż powiększająca się bułgarska i rumuńska diaspora w Europie Zachodniej oraz w USA i Kanadzie. Głównie migranci ekonomiczni, choć nie brakuje tych, którzy opuścili swoje ojczyzny, mając dość reżimów Żiwkowa i Ceaușescu.

Sukces Bułgarów i Rumunów nie jest jednak pełny. Oba kraje wchodzą do Schengen, ale na innych warunkach niż Polska czy nasi południowi sąsiedzi. Brak kontroli granicznych dotyczyć będzie jedynie lotnisk i portów, a co z likwidacją kontroli na przejściach lądowych? Czyli w miejscach, gdzie granice przekracza najwięcej osób? Na to pytanie wciąż nikt nie zna odpowiedzi. Z Brukseli słychać jedynie niewiele mówiący czasownik: czekać.

Informacja o częściowym wejściu obu krajów do strefy Schengen uciechy tysiące polskich turystów udających się na urlop samolotem do Bułgarii albo Rumunii. Gdy w szczycie sezonu wylądujemy na lotnisku w Warnie czy Burgas, nie będziemy już czekać w długich kolejkach do okienek, by okazać paszport lub dowód. Podróżując tylko z bagażem podręcznym, zaraz po wylądowaniu będziemy mogli się znaleźć w busie z napisem „Złote Piaski” czy „Słoneczny Brzeg”. W wypadku Rumunii z powietrznego Schengen skorzystamy w mniejszym stopniu. Mimo że Rumunia dysponuje aż dziewięcioma międzynarodowymi portami

Austrii. Wetem (co u Orbána jest już chyba standardem) w ostatnich tygodniach groziły także Węgry. Dopiero 29 grudnia ub.r. wieczorem Austriacka Agencja Prasowa APA poinformowała, że „Austria zapala zielone światło dla obu krajów i informuje o swojej decyzji wszystkie zainteresowane strony”.

Rząd w Wiedniu zarzucał Bułgarom i – w mniejszym stopniu – Rumunom, że na terytorium ich krajów przebywa zbyt wielu niezarejestrowanych imigrantów, granica bułgarsko-turecka nie jest szczelna, a bułgarska i rumuńska mafia przemycza przez swoje terytorium tysiące migrantów, czerpiąc z tego gigantyczne korzyści finansowe.

Gdy w szczycie sezonu wylądujemy na lotnisku w Warnie czy Burgas, nie będziemy już czekać w długich kolejkach, by okazać paszport lub dowód.

lotniczymi, m.in. w Bukareszcie, nadmorskiej Konstancy czy będącym bramą do Transylwanii mieście Kluż-Napoka, nasz kraj jest z nią znacznie słabiej skomunikowany niż z Bułgarią.

Austriacy odpuścili

Strefa Schengen (nazwa pochodzi od miasteczka w Luksemburgu) ma zapewniać nieograniczony przepływ osób i towarów w Europie. Dotychczas należało do niej 23 z 27 krajów członkowskich Unii Europejskiej oraz Islandia, Liechtenstein, Norwegia i Szwajcaria. Polska do strefy Schengen została przyjęta 21 grudnia 2007 r. (granice lądowe) i 30 marca 2008 r. (granice powietrzne i morskie).

Przyjęcie Bułgarii i Rumunii opóźniało się z powodu braku zgody dwóch państw starej Unii – Austrii i Holandii, a w ostatniej fazie jedynie

Oba kraje, które do UE weszły w 2007 r., cały czas znajdowały się pod wnikliwą obserwacją i nadzorem Komisji Europejskiej. Bacznie przyglądano się praworządności, zorganizowanej przestępczości i wciąż niedającej się okiełzać korupcji. Z powodu ciągłych prób przemycania (nawet w trudny do wyobrażenia sposób) nielegalnych migrantów i inkasowania za to milionów brudnych euro wśród unijnych państw nie było jednomyślności. Światelko w tunelu pojawiło się dopiero w zeszłym roku. W połowie września Komisja Europejska oficjalnie zakończyła szczególny nadzór, stwierdzając, że Bułgaria i Rumunia są gotowe do przystąpienia do Schengen.

Najważniejszym celem polityki zagranicznej Sofii i Bukaresztu w tym roku będzie doprowadzenie do pełnoprawnego członkostwa



Marsz „Jedność Europejska teraz: Rumunia w Schengen!” organizowany przez proeuropejską partię polityczną Volt Rumunia. Bukareszt, 3 czerwca 2023 r.

obu państw w strefie. W Bułgarii zdania na temat tego, kiedy będzie to możliwe, są podzielone. Minister transportu Georgi Gwozdejkow jest optymistą i uważa, że może to się stać w grudniu: – Austriacy odpuścili i w Unii jest wreszcie jedno-myślność. Pierwszy etap oceniania nas wypadł pozytywnie. W tym roku będzie następny; wierzę, że i tym razem wypadniemy korzystnie.

Bardziej pesymistyczni są przedstawiciele Ruchu na rzecz Praw i Wolności (DPS), ugrupowania mniejszości tureckiej. Bułgarski eurodeputowany Ilchan Kjuczuk uważa, że z powodu wyborów parlamentarnych w Austrii, które odbędą się jesienią 2024 r., Bułgaria i Rumunia pełnoprawnymi członkami strefy Schengen staną się najwcześniej 1 stycznia 2025 r.

Co do poprawki?

Część Bułgarów z wejścia do strefy Schengen zaczęła się cieszyć dopiero po kilku dniach. Przyczyną była rozpowszechniana przez niektóre media informacja, że warunkiem akcesji jest przyjęcie 6 tys. imigrantów, głównie z Afganistanu. Na szczęście rządowi udało się przekonać rodaków, że to bzdura.

Bułgarzy i Rumuni są świadomi, co i jak należy poprawić, by mogli się stać pełnoprawnymi członkami

Schengen. Więcej zadań stoi przed Bułgarami. Wyznaczając je, Unia Europejska robi wiele, by ułatwić ich zrealizowanie. Oba kraje mają uzyskać dodatkowe wsparcie przy ochronie swoich granic zewnętrznych. Na granicy bułgarsko-tureckiej oraz bułgarsko-serbskiej ma zostać potrójna liczba funkcjonariuszy Fronteksu. Nie wspomniano natomiast, jak ma wyglądać sytuacja na granicy rumuńsko-mołdawskiej. Dzięki unijnemu wsparciu na granicach Rumunii i Bułgarii przybędzie dronów, nowoczesnych pojazdów z napędem na cztery koła, kamer. Wzmocnione zostaną ogrodzenia. Unia wystosowała zaproszenie do austriackich służb, by te wraz z przedstawicielami innych nacji patrolowały granice i monitorowały potencjalne grupy przemytnicze.

Nie wszyscy w Europie przyjmują z optymizmem wejście Sofii i Bukaresztu do strefy Schengen. Bardzo narzekają Brytyjczycy. Jako że prawo przewiduje możliwość przebywania w strefie Schengen „nie dłużej niż 90 dni w okresie 180 dni”, brytyjskie media zauważają, że wiele osób będzie stosować zasadę częstego wjazdu i wyjazdu z nowej do starej strefy Schengen.

Kolejki widać z kosmosu

W Rumunii, której położenie na mapie jest bardziej korzystne

z geopolitycznego punktu widzenia, w ubiegłym roku pojawiły się głosy, że „Bułgaria to hamulcowy, utrudniający wejście Bukaresztu do strefy Schengen”. Niektóre media sugerowały, że Rumunia powinna zrobić wszystko, by nie być traktowana jako część pakietu, którego drugi element jest niepewny. Apele te jednak nie przebiły się zbyt mocno, a narracja o „dwóch pretendujących krajach” była i pozostaje dominująca.

Warto zaznaczyć, że rumuńska granica z należącymi do Schengen od lat Węgry coraz bardziej przypominają drogowe przejścia pozbawione kontroli. W czasach Kádára i Ceaușescu samochody na granicy stały w gigantycznych kolejkach, a kontrole były tak drobiazgowo, że trudno było po nich poskręcać własny samochód. Dziś na wielu węgiersko-rumuńskich przejściach kierowcy otwierają okno, okazują dowód i po kilku sekundach kontynuują podróż.

O takim luzie i komforcie nawet nie marzą Bułgarzy udający się do Grecji, też należącej do Schengen. Na nielicznych przejściach drogowych przeprowadzana jest po obu stronach dość dokładna kontrola dokumentów i wyrywkowe sprawdzanie bagażu. Jeszcze dłużej czekają tam turyści przekraczający granicę w autokarach. Bułgarscy pogranicznicy wciąż nakazują wszystkim pasażerom wysiąść i udać się na piechotę do najbliższych okienek.

Lądowe przejścia pomiędzy Bułgarią i Rumunią oraz sceny, do których dochodzi szczególnie po obu stronach mostu Przyjaźni (nazwa ta powoli zanika i zastępuje ją Dunavmost), to temat na całkiem opasłą książkę. W sezonie do gigantycznej kolejki tirów, którą widać nawet na zdjęciach z kosmosu, dochodzą kilometrowe kolejki samochodów jadących na bułgarskie wybrzeże Morza Czarnego. Przejście łączące rumuńskie Giurgiu z bułgarskim Ruse czeka z utęsknieniem na wejście obu krajów do Schengen. Czekają również nasi urlopowicze, którzy od lat nie mogą zrozumieć, dlaczego podróż z Warszawy do Słonecznego Brzegu czy rumuńskiej Konstancy może trwać dwa albo i trzy dni.

JAK BYĆ COOL NA PIERWSZEJ LINII FRONTU

Wilno jest doskonałym przykładem sprawnego wykorzystania geopolityki w budowaniu miejskiej marki



Hasło „Wilno – punkt G Europy. Nikt nie wie, gdzie jest, ale kiedy go znajdziesz, jest cudownie” pokazywało miasto jako szerzej nieznaną, ale dynamicznie rozwijającą się europejską metropolię.

Mateusz Mazzini

„Zwolniony przez Metę albo Twittera? Przeprowadź się do nas”. Krótki, zwięzły komunikat. Przejrzysty układ treści na plakacie, do tego kod QR prowadzący do stron internetowych reklamujących walory miasta. Jeśli rzeczywiście wycucie chwili jest w marketingu kluczowe, to pracownikom wileńskiego działu promocji nie można niczego zarzucić. Kiedy półtora roku temu przez Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią przetaczała się fala redukcji etatów w sektorze technologicznym, stolica Litwy rozpoczęła ofensywę w mediach społecznościowych. Inny plakat, równie popularny, to zdjęcie

dziewczyny ściskającej w odpowiednim miejscu mapę kontynentu, stylizowaną na prześcieradło. Hasło „Wilno – punkt G Europy. Nikt nie wie, gdzie jest, ale kiedy go znajdziesz, jest cudownie” nie pozostawiało wiele przestrzeni do interpretacji. Chodziło o to, żeby pokazać miasto jako szerzej nieznaną, ale dynamicznie rozwijającą się europejską metropolię, która może leżeć gdzieś daleko na wschodzie, jednak w ogóle nie stoi to na przeszkodzie w byciu cool.

Dolinka Krzemowa

Od razu było też widać, do kogo adresowano ten przekaz. Jak wylicza portal technologiczny Sifted,

w litewskiej gospodarce (pod wieloma względami tożsamej z gospodarką stolicy) jest obecnie 15 tys. wakatów w sektorze nowych technologii. W kraju działa 850 start-upów, nie ma jak na populację liczącą zaledwie 2,8 mln. Część litewskich firm ma wprowadzić siedziby za granicą, ale działalność operacyjną prowadzi w ojczyźnie, bo to po prostu tańsze. Wilno jest jednym z europejskich liderów pod względem niskich kosztów życia, a władze miasta oferują dodatkowo jednorazowy bonus w wysokości 3 tys. euro dla każdego, kto przeniesie się tu w celach zawodowych. Nie dziwi więc specjalnie, że Revolut, jeden z globalnych pionierów bankowości cyfrowej, zatrudnia tu aż 200 osób.

Inne dane liczbowe tylko potwierdzają wrażenie, że tworzy się tu coś na kształt Doliny Krzemowej w miniaturze. Liczba obcokrajowców pracujących na Litwie w ciągu ostatnich dwóch lat wzrosła ponaddwukrotnie (z 50 tys. do prawie 120 tys.). W 2021 r., dodaje Sifted, wydano tu aż 147 pozwoleń na działalność

bałtyckim „startupowym narodem”, który dzisiaj doczekał się już 10 tzw. jednorożców – start-upów, których wycena przekracza 1 mld dol. To z Estonii w świat wyszły Bolt (aplikacja do przejazdów samochodowych), TransferWise (platforma przelewów walutowych, najwyżej wyceniana europejska spółka fintechowa) i przede

Największą chlubą Wilna jest Vinted, platforma sprzedaży używanych ubrań, bardzo popularna również w Polsce.

w sektorze bankowym na terenie Unii Europejskiej dla start-upów usytuowanych na styku finansów i nowych technologii. Średnia pensja na Litwie wynosi 1667 euro miesięcznie, lecz informatycy na start mogą liczyć nawet na dwa razy więcej, z czasem przebijając bez problemów granicę 10 tys. euro. Kawalerkę wynająć można tam już za 400 euro, dwupokojowe mieszkanie za ok. 600. Miasto jest na tyle małe, że w planowanie swojej codzienności nie trzeba wpisywać godzin w korkach ani nieregularnie jeżdżących autobusów, można spokojnie przemieszczać się pieszo. Bywa wprawdzie zimno, temperatura dochodzi tu do minus 18 stopni, ale latem nie ma upałów, co w tej chwili na Starym Kontynencie jest niestety rzadkością. Nic, tylko się przeprowadzać.

Trudno jeszcze przesądzać, czy Wilno osiągnęło sukces marketingowy, bo dane na poparcie tej tezy będą widoczne dopiero za jakiś czas. Mimo wszystko miasto pozostaje odległą od centrów grawitacyjnych Europy małą stolicą dawnej sowieckiej republiki, która nie niesie szczególnie silnych skojarzeń. Jeśli Litwa ma jakąkolwiek globalną markę, to zbudowali ją co najwyżej koszykarze, swego czasu obecni także w amerykańskiej NBA jako jedni z pierwszych Europejczyków.

Choć start-upy prężnie się rozwijają, a kraj korzysta z relatywnie słabych regulacji unijnych w dziedzinie nowych technologii, wciąż brakuje na jego koncie spektakularnych sukcesów, które w tym regionie są jak najbardziej możliwe. Wystarczy pojechać 500 km na północ w linii prostej, do Tallina. To Estończycy byli pierwszym

wszystkim Skype. W porównaniu z estońskim stadem Litwa wypada blado, bo jednorożce są tutaj dwa, a żaden nawet nie zbliżył się do pozycji globalnego giganta, jakim pozostaje Skype. Największą chlubą Wilna jest Vinted, platforma sprzedaży używanych ubrań, bardzo popularna również w Polsce. Tyle że nad portalem zbierają się powoli czarne chmury, związane z nieuregulowanym systemem płatności i planowanym opodatkowaniem zawieranych tam transakcji, co może spowodować częściowy odpływ użytkowników.

Trudne sąsiedztwo

Żaden jednak programista, nawet najlepiej zarabiający, nie żyje w próżni, a szerszy kontekst w ostatnich latach wydawał się wyjątkowo niekorzystny dla Wilna, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Bo o ile z przewidywaniem zimowych mrozów nie ma

położona, bo na zachodzie są rozlokowane w obwodzie kaliningradzkim rakiety Iskander, mogące przenosić głowice nuklearne. Z południa i wschodu czujnym okiem spogląda na Wilno satelicki wobec Kremla reżim Aleksandra Łukaszenki. Na północy jest Łotwa, teoretycznie sojusznik, ale traktowany z pewną dozą nieufności. Łotewska scena polityczna jest mocno infiltrowana przez rosyjskie służby wywiadowcze, co pokazał niedawny skandal z Tatjaną Żdanoką, eurodeputowaną z Rygi oskarżoną o dekady szpiegowania na rzecz Moskwy.

Rosjanie próbują podobnych sztuczek na terytorium Litwy, ale tu gleba dla rosyjskiej propagandy jest znacznie mniej żyzna. Podczas gdy na Łotwie osoby identyfikujące się z narodowością rosyjską stanowią jedną czwartą (25,6%) populacji, na Litwie odsetek ten jest pięć razy mniejszy (5%). W dodatku Litwini należą do najbardziej niechętnych wobec Kremla narodów Europy, a tendencja ta staje się coraz wyraźniejsza. Ponad 70% mieszkańców kraju ma negatywną opinię na temat Rosji, aż 16% przyznaje się, że nie chciałoby mieszkać obok Rosjanina, a trzech na czterech (74,6%) twierdzi, że ich zdanie o Rosji zmieniło się na gorsze w ostatnim pięcioleciu.

Tak czy owak, jeśli Putin rzeczywiście zdecyduje się uderzyć w kraje NATO, zrobi to najpewniej na obszarze państw bałtyckich. Dlatego przywódcy tych krajów odgrywają teraz naprzemiennie rolę dyżurnych

Jeśli Litwa ma jakąkolwiek globalną markę, to zbudowali ją koszykarze, swego czasu obecni także w amerykańskiej NBA.

za wielkich kłopotów, a na weekend zawsze można wyskoczyć tanim lotem gdzieś, gdzie jest więcej słońca, o tyle militarna bliskość Rosji, coraz bardziej odczuwalna, jest dla wielu nie do zaakceptowania.

W obliczu imperialnej, agresywnej polityki Kremla ostatnich lat kraje bałtyckie stały się automatycznie pierwszą linią obrony Zachodu w przypadku bezpośredniej konfrontacji z Moskwą. Litwa jest pod tym względem szczególnie niekorzystnie

alarmistów Zachodu, ostrzegających, że pytanie o rosyjską inwazję powinno się zaczynać nie od „czy”, tylko od „kiedy”.

I tu manifestuje się kolejna słabość Wilna w porównaniu z sąsiadami, bo w tej trójce Litwa ma zdecydowanie najmniej wyraźny głos na arenie międzynarodowej. Liderką bloku bałtyckiego jest w ostatnich latach bezsprzecznie premierka Estonii Kaja Kallas, wielka nadzieja europejskiego liberalizmu, polityczka ▶

► wymieniana w tej chwili jako jedna z kandydatek do przejścia stanowiska sekretarza generalnego NATO po Jensie Stoltenbergu. Na tej samej giełdzie nazwisk jest Krišjānis Kariņš, minister spraw zagranicznych Łotwy. Litewskich polityków nie wymienia się ani w tym, ani podobnych kontekstach, a kraj nie ma w tej chwili żadnej osobowości odgrywającej ważną rolę chociażby w europejskiej dyplomacji. Swego czasu kimś takim był Linas Linkevičius, szef litewskiego MSZ, blisko współpracujący chociażby z Radosławem Sikorskim i Carlem Bildtem przy unijnym Partnerstwie Wschodnim, dziś na marginesie wielkiej gry jako ambasador Litwy w Sztokholmie. Następców nie widać, a organizacja w Wilnie ubiegłorocznego szczytu NATO była tak naprawdę nagrodą pocieszenia.

Stolica dysydentów

Przy braku twardej siły oraz wielkich osobowości na geopolitycznej szachownicy Wilno inwestuje w siłę miękką. I robi to tak dobrze, że miasto można uznać za podręcznikowy przykład przekuwania nieprzyjaznych okoliczności międzynarodowych w wielki atut.



Przez ostatnie dwa lata media społecznościowe zaroili się od wpisów na temat Wilna nie tylko w kontekście żartów skierowanych do startupowców, ale też jednoznacznego poparcia dla Ukrainy. Albo precyzyjnej – jednoznacznej krytyki Kremla. Pierwszy był mural ze słynnymi słowami obrońców Wyspy Węzłowej, atakowanej przez rosyjską marynarkę wojenną. Potem hasło zastąpił wizerunek ukraińskiego żołnierza pokazującego środkowy palec w kierunku pływającego rosyjskiego okrętu. W pierwszych miesiącach wojny prowadzono tu również akcję „Zadzwoń dziś do Rosji”, promującą informowanie rosyjskich obywateli o tym, co naprawdę się dzieje na ukraińskim froncie. Przed ubiegłorocznym szczytem NATO plakaty reklamujące inicjatywę zaczęto jednak zakrywać, a potem zdejmować, w obawie, że zostaną źle zinterpretowane przez przyjeżdżających do miasta zagranicznych oficjeli.

Ale przede wszystkim Wilno stało się europejską stolicą dysydentów. Miasto jest dziś główną kwatery białoruskiego rządu na uchodźstwie, to tutaj biuro ma Światłana Cichanouska, uznawana przez tamtejszą opozycję za prawowitą głowę państwa. Razem z nią w Wilnie pracuje sztab analityków i dyplomatów, którzy jednocześnie monitorują przestępstwa reżimu Łukaszenki i reprezentują demokratyczną Białoruś w relacjach z Zachodem i zagraniczną prasą. Ponieważ Mińsk z reporterami nie rozmawia, robi to Wilno. Białoruskie Wilno.

Schronienie znaleźli tu zresztą nie tylko politycy, ale i dziennikarze. Kolejna grupa zawodowa, której autokraci chętnie pozbywają się ze swoich krajów, ale która daje znać o swoim istnieniu nawet za granicą. Od pamiętnego lata 2020 r., kiedy na Białorusi wybuchły masowe protesty w związku z fałszowaniem przez Łukaszenkę wyborów, do stolicy Litwy przeniosło się ponad 100 białoruskich dziennikarzy, blogerów i aktywistów internetowych. To i tak pewnie zaniżone szacunki, bo wielu nie ujawnia swojej opozycyjnej działalności, a na co dzień zajmuje się czymś zupełnie innym, ma regularną pracę.

Stworzenie przyjaznego środowiska dla pracy dziennikarskiej po

krwawym białoruskim lecie okazało się bezcennym doświadczeniem wiosną 2022 r., kiedy nowej bazy szukali dziennikarze uciekający tym razem z Rosji. Dzisiaj największe opozycyjne redakcje z tego kraju w całości publikują z krajów bałtyckich. Część, jak Meduza, Provereno czy „Moscow Times”, rozbiła obóz w Rydze, Tallinie i innych miastach regionu, ale kilkadziesiąt rosyjskich dziennikarzy przeniosło się do Wilna. Tym bardziej stolica Litwy jest solą w oku Kremla.

Pod względem wizerunkowym Wilno odnosi więc sukces za sukcesem, bo władze miasta i całego kraju nie boją się śmiałych decyzji. Do takich należy chociażby nawiązanie relacji dyplomatycznych z Tajwanem. Od 2021 r. funkcjonuje w Wilnie tajwańskie przedstawicielstwo; wprowadzie nie nosi nazwy ambasady, ale taką właśnie funkcję pełni. Litwa mocno zbliża się do Tajwanu także politycznie, pomimo publicznych i gromkich głosów sprzeciwu ze strony reżimu Xi Jinpinga. Na razie rząd w Wilnie wytrzymuje presję.

Otwartą kwestią pozostaje to, czy sukces na Instagramie i wśród graffitiarzy przełoży się na faktyczną transformację miasta, na podniesienie jego pozycji na kontynencie, wreszcie na realne korzyści ekonomiczne. Ofensywa reklamowa na pewno nie zaszkodzi, w tym roku Wilno po raz pierwszy znalazło się w czołowej setce najatrakcyjniejszych kierunków turystycznych rankingu Euromonitora. W uzasadnieniu autorzy zestawienia napisali, że miasto wyróżnia się czystą przestrzenią, bezpiecznymi ulicami, dostępnymi terenami zielonymi i niskimi cenami. Brzmi jak opis idealnego miasta przyszłości. Utopie nie stety mają to do siebie, że często albo nie materializują się w całości, albo okazują się koszmarem pod płaszczykiem szlachetnych ideałów. Sukces jest ważny, ale trzeba uważać, żeby nie paść jego ofiarą. To dla władzy Wilna może być dużo trudniejsze niż wysłanie w świat kilku śmiesznych plakatów czy rozdanie pieniędzy programistom znudzonym życiem w innych europejskich metropoliach.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Pustostłowie na podglebiu pustogłowania

Kiedy wyobrażam sobie czasem, że na podstawie tego, co można przeczytać w mediach – czy to zamierających tradycyjnych (drukowanych, ale i telewizyjnych), czy internetowych, dla niepoznaki zwanych społecznościowymi – jakaś ziemską lub pozaziemską istotą albo społeczność chciałaby kiedyś zrozumieć naszą epokę, to nawet z obecnej perspektywy wydaje mi się, że nie ma takiej szansy. Krążę tu wokół dość podstawowego (dla mnie, dla niektórych, dla nielicznych) pytania: co jest dla nas ważne? Co istotne? Albo, nie bójmy się tego słowa, DLACZEGO jest to dla nas ważne? Skąd możemy się tego dowiedzieć? A może raczej – skąd tego w żaden sposób się nie dowiemy? Media z jednej strony miały informować o zdarzeniach z jakiegoś powodu „ważnych” lub choćby ważniejszych od innych, nieopisanych, z drugiej strony, jak sama nazwa mówi, pośredniczyły w obiegu informacji

Dla potrzeb tego krótkiego, niechętnego mediom tekstu pochylałem się nad jednym z polskich portali informacyjnych, kiedyś nawet z jakimiś ambicjami. Czego dzisiaj mogłem z niego się dowiedzieć o Polsce, świecie, naszym życiu, istotnych kwestiach do przemyślenia, rozstrzygnięcia, rozwiązania? Wrzucę garść tytułów, jeśli jeszcze samo słowo tytuł zachowało cokolwiek ze swojej informacyjnej roli. „Hoffman pożyczył 170 miliardów złotych na „Ogniem i mieczem». Jego wyniku do dziś nikt nie pobili”; „Eksperci wydali wyrok po meczu Świątek. Zgodności nie ma. Rosnąca frustracja”; „Pamiętacie Panią Henię od burgera? Wiemy, co z jej chorym synem”; „Komedia na sali sejmowej. Hołownia dostał od posta uszka z grzybami. »Złoty przycisk«”; „Ekstremalne warunki w Tatrach. Górale i turyści łapią się za głowę. »Z czego tu się cieszyć?«”; „Oskar kładł się obok chorego i czekał. Śmierć przychodziła w ciągu czterech godzin”; „Nowy trop ws. śmiertelnego zatrucia galareta. Lekarze wykluczyli jedną hipotezę”; „Kobieta przeżyła zatrucie galareta. Mówi, co ją uratowało”; „Zjadł galareta z targu i zmarł. Głos zabrała jego

żona. »Zdecydowałam«”; „Kupił galareta z targu i zmarł. Żona: »Zjadł ze smakiem, a potem się zaczęło«”; „Lekarze w Hrubieszowie zoperowali pacjentce zdrową rękę”; „Polskie wojsko ma liczyć 450 tysięcy. Koszty będą gigantyczne”. Jeśli idzie o doniesienia ze świata, to mamy dwa Putiny: „Władimir Putin odleciał »Srebrnym Łabędziem«. Trasa lotu »tajemnicą wojskową«” oraz „Putin zażądał zerwania umowy z Wielką Brytanią. »Głęboka przepaść«”. Ponadto kilkanaście lub kilkadziesiąt informacji sportowych, reklam samochodów udających teksty informacyjne, podobnie z kosmetykami, butami, sukienkami i zatrząsieniem innych mniej lub raczej bardziej przypadkowych budżetów, ale zapewne opłaconych przez ich producentów.

Na co dzień nie jestem już w stanie z taką zapalczywością śledzić tej lawiny nic nieznaczących niby-tekstów, żartoinformacji, pustostłowania na podglebiu pustogłowania. Powiedzieć, że taka forma istnienia mediów jest kpina z nas samych, ponurym żartem i odebraniem nam wymiaru ludzkiego – to jakby nic nie powiedzieć. Nic zatem nie mówię, idę czytać to, co ratuje wiarę w rozumność naszego gatunku. Gazety i portale do tej rodziny nie należą. To już nie jest zapas, kryzys, słabszy dzień. To zejście do otchłani piekielnej, w której nic z niczego nie wynika, nic niczemu nie służy, o niczym nie mówi, niczego nie wyjaśnia ani nie przybliża. Samiśmy to sobie uczynili i nawet tego nie widzimy. ■

Idę czytać to, co ratuje wiarę w rozumność naszego gatunku. Gazety i portale do tej rodziny nie należą.

bądź wiedzy, tak żeby przetworzony komunikat docierał do szerszego grona zainteresowanych. Zainteresowanych, ale czym tak naprawdę? Zrozumieniem? Możliwością lepszego odnalezienia się w świecie, w którym przyszło nam żyć? Zorientowaniem się, co wiemy na temat świata, który nas otacza, co z tego wynika dla nas, jeśli prawdziwe jest przekonanie, że coś musi wynikać, bo inaczej ta nasza aktywność poznawcza pozbawiona jest jakiegoś rudymenarnego sensu? Jakie więc sensy ujawniają, przekazują dzisiaj media?

W takiej formie jak ta felietonowa mogę się pokusić zaledwie o zasygnalizowanie problemu, poddać analizie bardzo fragmentaryczną próbę, a i ona nawet nie zostanie dobrana wedle jakichś obiektywizujących zasad i reguł. Chyba że zgodzimy się, że nawet jakiś fragment może nam powiedzieć coś istotnego o samym zjawisku. Na swoje usprawiedliwienie mogę dodać, że od niemal 50 lat (naprawdę wcześniej zacząłem) jestem uważnym, systematycznym, może cokolwiek nałogowym odbiorcą treści medialnych, a przez sporą część zawodowego życia media (różne – drukowane, radiowe, telewizyjne, internetowe) były moim środowiskiem i miejscem pracy. Czym jest ich schyłkowy fenomen?

Nie zaryzykowałbym tezy, że ostatnią cechą, wartością otrzymywanych w horrendalnych dawkach gigabajtów informacji jest ich sensowność czy ważność.

Konkurs chopinowski może odmienić życie

Wszyscy chcą grać pierwszoplanowe role
czy, używając metafory pianistycznej,
być solistami i występować w Carnegie Hall

Rozmawia Wojciech Tutaj

Kiedy zaczęła się twoja przygoda z konkursem chopinowskim?

– Po studiach współpracowałem z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina jako filmowiec, przygotowując krótkie zapowiedzi koncertów i materiały edukacyjne. Zrobiłem też film „In Between” o wykonawstwie historycznym przed I Konkursem Chopinowskim na Instrumentach Historycznych. Te działania pozwoliły mi zbliżyć się do muzyków. Wyjątkowo dobrze pamiętam koncert Marthy Argerich w Warszawie w 2019 r. Byłem wtedy na próbie z kamerą, odczuwałem podekscytowanie i napięcie, bo nigdy nie wiadomo, czy argentyńska pianistka wystąpi. Zdarzało jej się odwoływać koncerty w ostatniej chwili. Całe wydarzenie przypominało święto. Artystka grała z orkiestrą Filharmonii Narodowej i na sali czuć było niezwykłą energię. Kiedy Argerich wyszła na scenę, zastanawiałem się, co ją tam doprowadziło, jakie musiała ponieść koszty, ile włożyła w to wysiłku. Wygrała konkurs chopinowski w 1965 r. i to był przełomowy punkt w jej karierze.

Po koncercie zaczęłeś myśleć o stworzeniu filmu dokumentalnego, który pokazywałby kulisy XVIII Konkursu Chopinowskiego?

– Dwa, trzy lata wcześniej zacząłem lobbować za pomysłem na „Pianoforte”. Po drodze trafiłem na ostatni dłuższy film o konkursie,



JAKUB PIĄTEK

– reżyser i scenarzysta filmowy

„Pierwszy. Szósty” Mariusza Waltera z 1971 r., o losach Garricka Ohlssona i Janusza Olejniczaka, czyli zdobywców pierwszego i szóstego miejsca. Stwierdziłem, że po 50 latach warto na te prestiżowe zawody wrócić z kamerą, i zdziwiłem się, że nikt tego wcześniej nie zrobił. Dramaturgia konkursu jest przecież wymarzona dla filmu. Po każdym z trzech etapów odpada połowa uczestników, a do wielkiego finału wchodzi ok. 10 pianistów. Jednocześnie mamy wysoką stawkę, bo w jedną

noc może się odmienić czyjeś życie. Chciałem też potraktować konkurs jako wehikuł do opowiedzenia o dorastaniu kilkorga młodych ludzi.

Ta dramaturgia sprawia, że „Pianoforte” stało się ulubieńcem festiwalowej publiczności.

– Reakcje publiczności dają mi dużą satysfakcję. Być może pierwszy raz w życiu mam poczucie głębokiego połączenia z widzami po seansie. To dla mnie cenne i ważne, bo już od roku jeździmy z „Pianoforte” po całym świecie. Kiedy rozpoczynaliśmy pracę nad filmem, myśleliśmy o nim z producentem Maciejem Kubickim bardzo skromnie. Pomysł był obciążony wielkim ryzykiem, nie planowaliśmy reakcji widowni. Trzeba też pamiętać, że „Pianoforte” jest koprodukcją niemiecko-brytyjsko-polską. Najpierw zebraliśmy w Polsce niezbędne minimum funduszy, by zrealizować zdjęcia. Z koproducentami związaliśmy się później, dlatego że nie mieliśmy pewności, czy uda się zrobić film. Nie chcieliśmy także dostosowywać się do żadnych wymogów, np. dotyczących wyboru bohatera z danego kraju. Zależało nam na wolności.

Z czym się wiązało ryzyko, o którym wspominasz?

Jakub Piątek – (ur. w 1985 r.) absolwent PWSFTviT w Łodzi. Autor wielokrotnie nagradzanych filmów krótkometrażowych „Matka” i „Users”. Jego pełnometrażowy debiut fabularny „Prime Time” zdobył dwie nagrody w Gdyni. Dokument „Pianoforte” miał premierę na Sundance i otrzymał cztery nagrody na festiwalu Millennium Docs Against Gravity.



Kadry z filmu „Pianoforte”.

– Bardzo chcieliśmy zrobić film o ludziach, a nie o magicznych istotach, jednorożcach, które obserwujemy trochę jak na safari. Tymczasem taką właśnie optykę zauważaliśmy, przeglądając materiały archiwalne. Kamera pojawiała się tylko na początku konkursu, gdy wszystko robi wielkie wrażenie, i na końcu, gdy czeka się na ogłoszenie wyników. My chcieliśmy wcześniej związać się z bohaterami. Zanim konkurs rusza w październiku, odbywają się eliminacje dla 160 osób. Od początku 2021 r. prosiliśmy wszystkich uczestników, żeby nagrali krótkie wideo o sobie i odpowiedzieli na kilka pytań. Dzięki temu mogłem ich zobaczyć i usłyszeć, a później przeprowadziłem 40-50 pogłębionych rozmów online i poznałem potencjalnych bohaterów. Na końcu lipcowych eliminacji mieliśmy już wybraną szóstkę i kamera mogła te osoby odwiedzić w domach, co nie byłoby możliwe bez pełnego zaufania bohaterów i bohaterek. Pozwolili nam podejść bardzo blisko i uchwycić intymne momenty w czasie konkursu. Tylko że po pierwszym etapie moglibyśmy się dowiedzieć, że wszyscy bohaterowie wracają do domów. Wtedy musielibyśmy spojrzeć sobie głęboko w oczy i powiedzieć, że stworzyliśmy film krótkometrażowy.

Czy bycie osobą spoza muzycznego świata nie było utrudnieniem?

– Emocje, które przeżywają uczestnicy, są uniwersalne. Uruchamiając empatię i czule obserwując młodych pianistów, możemy się z nimi utożsamić. Mnie i resztę ekipy zdarzało się to bardzo często. Fakt, że jestem

barbarzyńcą w świecie muzyki klasycznej, paradoksalnie okazał się pomocny. Nagle bohaterowie nie byli pytani o alikwoty ani o palcowanie w utworach Chopina, tylko o bardziej uniwersalne treści. Mogłem zadawać pytania z poziomu idioty i wszyscy mi na to pozwalali. Myśleliśmy o widzach, którzy niekoniecznie śledzą konkurs i interesują się muzyką poważną. Sami byliśmy takimi osobami. Nasza podstawowa wiedza była niewystarczająca. Byliśmy jednak otoczeni przez profesjonalistów,

Dramaturgia konkursu jest wymarzona dla filmu.

bo nad udźwiękowieniem filmu i montażem muzyki czuwała Joanna Popowicz, która nagrała ok. 100 płyt z muzyką jazzową i klasyczną. Naszym koproducentem był też organizator konkursu chopinowskiego, więc czuliśmy się pewnie.

Jak wybrałeś sześcioro bohaterów?

– Wybierałem ich intuicyjnie, wydawali mi się intrygujący, chciałem czegoś więcej się o nich dowiedzieć. Na szczęście nikt nie sugerował nam, że powinniśmy się skupić na konkretnej osobie. Mieliśmy pełną wolność, do tego stopnia, że nikt nie wiedział, kogo filmujemy. Już na samym początku komunikowaliśmy bohaterom, że interesuje nas droga, a nie obstawianie, kto wygra. Z przyczyn czysto matematycznych założyliśmy, że prawdopodobnie nie sfilmujemy zwycięzcy. Nie było to jednak dla nas najistotniejsze. Na wyborze poszczególnych bohaterów zaważyło co innego.

Co konkretnie?

– Pamiętam, że w przypadku Hao Rao i jego nauczycielki Vivian Li byłem po pierwszej rozmowie online pewien, że chcę za nimi podążyć. Wtedy usłyszałem ich wspólny śmiech i zobaczyłem niezwykłą relację pianisty i „matki zastępczej” czy „piano mamy”, jak mówi o sobie bohaterka. Hao był pianistą, na którego nikt nie stawiał, bo uczył się w szkole muzycznej w Kantonie. Nie był uczniem dużych konserwatoriów z Pekinu i Szanghaju, które produkują

pianistów najczęściej występujących w konkursie. Po czym okazało się, że był jedynym Chińczykiem w finale i teraz robi niesamowitą karierę w ojczyźnie. Ten przykład pokazuje, ile ryzykowaliśmy swoimi wyborami. Z drugiej strony wiedziałem, że Eva Gevorgyan ma na koncie 40 wygranych konkursów juniorskich i będzie jedną z faworytek. Fascynowała mnie po prostu jako osoba i chciałem bliżej się jej przyjrzeć.

Czy trudno było się zbliżyć do tych utalentowanych ludzi? Jak budować relacje?

– Z każdą osobą pracowało się trochę inaczej. Hao i Vivian bardzo szybko zrozumieli, czego szukamy. Spędzaliśmy ze sobą długie godziny i jak przyszły materiały z przekładem dialogów, rozśmieszyło nas, że bohaterowie spacerują po Warszawie i mówią, że nie ma szans, że wszystko przetłumaczymy. Nie pracowaliśmy z tłumaczami na planie i to pomogło ▶

► nam osiągnąć efekt wyższego realizmu. W ogóle ważną częścią procesu dokumentalnego jest moment, w którym wyrażamy duże zainteresowanie kimś, decydujemy się za nim pójść i potem uczymy się siebie nawzajem. Pracujemy na relacjach, dużo więc znaczą sytuacje, w których jemy razem posiłki, poznajemy rodziny i nauczycieli. Powoli się oswajaliśmy aż do czasu konkursu, gdy przez samą intensywność wydarzeń kamera stała się dla bohaterów prawie niewidoczna. W scenie, w której Eva jest świadkiem rozmowy swojej nauczycielki i pana od fortepianów, kamera stała przed nią półtora metra, a ujęcie trwało siedem-osiem minut. Zostało skrócone na potrzeby filmu, ale bohaterka ani razu nie spojrzała w obiektyw, bo działy się rzeczy tak ważne emocjonalnie i przyzwyczaiła się do obecności ekipy.

Musieliście być bardzo uważni, cierpliwi i empatyczni.

– Wiedzieliśmy, że chcemy być blisko bardzo ważnego wydarzenia w czymś życiu, wydarzenia, na które czeka się kilka lat. I nie możemy niczego zepsuć, np. zarażając kogoś koronawirusem. Podchodziliśmy do pracy z dużą wrażliwością. Zamknięcie i intensywność konkursu potęgują wiele doznań, zarówno przed kamerą, jak i za nią. Kiedy byliśmy z Evą w „świętym” pokoju rozgrzewki, tuż przed jej wejściem na scenę, i widzieliśmy, że jest bardzo zdenerwowana, zasugerowałem, że może wyjdziemy. Odwróciła się i powiedziała: „Błagam, zostańcie tutaj ze mną do końca”. Na tyle się zaprzyjaźniliśmy, że nam na sobie zależało. Efektem jest to, że bohaterowie podróżują razem z filmem. Eva spotkała się z publicznością w Gdyni, Hao i Vivian byli z nami w Stanach Zjednoczonych, rozmawiali też z widzami w Katowicach, Wrocławiu i Warszawie. Leonora Armellini była w USA i Izraelu, a Alexander Gadjev w Szwajcarii. Wszyscy dopytują o kolejne pokazy, ekscytują się, że film trafi na polskie ekrany. To paperek lakmusowy naszej relacji.

Co cię najbardziej zaskoczyło w podejściu i mentalności młodych pianistów?

– Intuicyjnie szukaliśmy bohaterów o różnym podejściu do konkursu. Śledzimy bardzo młode osoby, takie jak Eva czy Hao, które wchodzi w tę zastaną rzeczywistość i ona ich boleśnie weryfikuje. Z drugiej strony są trochę starsi uczestnicy, którzy mogą podważać pewne kwestie. Alex zastanawia się, jak można w ogóle konkurować w dziedzinie muzyki. Nie ma tu milisekund ani centymetrów, to nie jest rzut oszczepem, tylko coś bardziej subiektywnego. Chcieliśmy mieszać perspektywy, a w szerszym kontekście opowiedzieć o współczesności. Świat jest tak poukładany, że wszyscy chcą grać pierwszoplanowe role czy, używając metafory pianistycznej, wszyscy chcą być solistami i występować w Carnegie Hall. Liczba miejsc w repertuarze jest jednak ograniczona. Moment, w którym zderzamy swoje marzenia z rzeczywistością, konfrontujemy się z poczuciem porażki, wydaje mi się bardzo ważny. Alex powiedział na spotkaniu z publicznością, że trzeba

Chcąc być pianistą na najwyższym poziomie, trzeba zapłacić wysoką cenę.

brać udział w konkursach, bo nic lepszego nie wymyślono. Leonora mówi z kolei, że 40 tys. euro z wygranej można wydać na terapię. Zależało mi właśnie na takim zdrowym, normalnym spojrzeniu. Sam bardzo identyfikuję się z ich realistycznym podejściem do życia i konkursu.

Dostrzegasz coś niezdrowego, wręcz destrukcyjnego w rutynie i dyscyplinie, której podporządkowują się pianiści?

– Coś jest na rzeczy, ale nie mnie oceniać rzeczywistość. Ja mam ją pokazać. Powszechnie wiadomo, że chcąc być pianistą na najwyższym poziomie, trzeba zapłacić wysoką cenę. A ci młodzi ludzie, którzy występują w pierwszym etapie konkursu, są już dojrzałymi, spełnionymi artystami. Właśnie o koscie dążenia do perfekcji chcieliśmy opowiedzieć. Można to porównać do sportu. Wiemy, ile wyrzeczeń kosztuje zostanie profesjonalnym tenisistą

lub tenisistką. Co innego jednak wiedzieć, a co innego być bardzo blisko, kiedy widać koszt emocjonalny, jaki bohaterowie ponoszą za występy, kiedy ściągają marynarki i są kompletnie spoceni. Podczas wykonywania muzyki na tym poziomie rytm serca i oddechu potrafi się zrównać z rytmem granego utworu. Rozmawiamy o tego rodzaju detalach. Warto też zwrócić uwagę na fakt, że uczestnicy przyjeżdżają praktycznie z gotowym trzygodzinnym repertuarem. Od etud w pierwszym etapie po finałowy koncert z orkiestrą. Wystarczy spojrzeć na zapis nutowy, żeby wywnioskować, jak długo trzeba się przygotowywać do występów.

„Nikt nie lubi konkursów”, mówi jeden z uczestników. Na czym polega fenomen tego wydarzenia?

– Konkurs chopinowski jest przede wszystkim wydarzeniem formatującym, które może odmienić czyjeś życie. „Jeśli ktoś mówi, że nie chce wygrać, prawdopodobnie kłamie” – taki cytat znalazłem w jednej z książek opisujących historię konkursu. Już po ogłoszeniu wyników, szukałem w filharmonii Gadjeva i trafiłem do pokoju, w którym siedział razem z Kyōheiem Soritą i Bruce’em Liu.

Było z nimi kilkanaście osób i mimo późnej pory rozdzwaniały się telefony z całego świata, a ich kalendarze zapełniały się na dwa lata do przodu. Uczestnicy są świadomi ogromnej stawki i w takich sytuacjach mogą poczuć spełnienie. Za chwilę będą grali w największych salach z najlepszymi orkiestrami. To bardzo filmowy aspekt konkursu, który od początku chcieliśmy pokazać. Z drugiej strony jest coś magicznego w tym, że pianiści dzielą się z nami muzyką. W 2021 r. wszyscy byliśmy strau-matyzowani przez pandemię i dla części muzyków zmagania konkursowe były pierwszymi publicznymi występami od dwóch lat. Czuło się w powietrzu atmosferę święta. Alex wspomina o stresie i wyrzeczeniach, ale nagrodą jest obecność na scenie i kontakt z publicznością, dzielenie się emocjami i swoją interpretacją utworów Fryderyka Chopina.

Wojciech Tutaj



Życie wygrane w teatrze

Witold Olejarz zajmował się tą częścią kultury, którą nie wszyscy doceniali, bo była rozrywką – mądrą i skłaniającą do refleksji

Daniel Wójtowicz

Zmarł Witold Olejarz, jeden z dwóch najdłużej urzędujących dyrektorów teatrów w stolicy. Przez 23 lata, do 2021 r., kierował Teatrem Rampa na Targówku. Z tego miejsca latami współkształtował Warszawę i jej mieszkańców, a w każdym razie ich relacje z kulturą. Przez ten czas wystawiono kilkadziesiąt sztuk, a na widowni Teatru Rampa zasiadło łącznie ponad 1,25 mln widzów, co uczyniło go jedną z najbardziej popularnych miejskich instytucji kultury Warszawy.

– Zajmował się tą częścią kultury, którą nie wszyscy doceniali, bo była rozrywką – wspomina Hanna Gronkiewicz-Waltz, prezydent Warszawy w latach 2006-2018, odnosząc się do pewnego dystansu, jaki – pomimo ogromnych sukcesów frekwencyjnych – okazywało Rampie środowisko teatralne. – Ale rozrywka może być także mądra i skłaniająca do refleksji. I taką tam była – konstatuje Gronkiewicz-Waltz. W Teatrze Rampa wszystkie bilety sprzedawały się zazwyczaj na długo przed spektaklami, co było i dumą dyrektora, i punktem honoru. Tłumna obecność widzów i ich zadowolenie dawały mu ogromną satysfakcję z pracy.

Dyrektor Olejarz, wcześniej przez lata organizator działalności Teatru Nowego jako zastępca Adama Hanuszkiewicza, sam nie był twórcą teatralnym, był menedżerem zawsze bardzo wspierającym artystów. Kształt repertuaru w Rampie zależał od zastępców lub kierowników scen. Pozostawiał im ogromną swobodę działania, jak i możliwość zbierania laurów. Nie pozwalał wywoływać siebie na scenę na premierach, nawet tych najbardziej udanych. Natomiast odium niepowodzeń, które przecież musiały się zdarzać, spadało zawsze w całości na niego. Nigdy przed tym się nie uchylał. Tak bowiem pojmował swoją rolę dyrektora – tworzyć warunki do nieskrępowanej twórczości i maksymalne bezpieczeństwo dla twórców. Przewinęły się ich przez ten teatr setki, jeśli nie tysiące, a większość uznawała to za niezwykle ważny etap na ich zawodowej drodze. – Witold Olejarz to wspaniały przykład teatralnego zawodowca – stwierdza Grzegorz Mrówczyński, uznany reżyser dziesiątek przedstawień, w przeszłości m.in. kierownik Sceny Kameralnej w Teatrze Rampa.

Witold Olejarz był człowiekiem ciepłym, ale kiedy trzeba – także twardym. Samochód prowadził bardzo szybko, czasem zbyt szybko. I z poślizgu czy z innej niebezpiecznej sytuacji zwykł wychodzić przez dodawanie gazu. Tak też pokierował Teatrem Rampa. Gdy widać było, że formuła artystyczna się wyczerpała, zainteresowanie teatrem słabnie i finanse topnieją, odważył się na ucieczkę do przodu. Oparł ją na odkrytym przez

siebie w 2011 r. bardzo młodym wokaliście Jakubie Wocialu, w którym dostrzegł nieprzeciętny talent i wielką pasję. Zaufał zarówno jemu, jak i swojej intuicji i powierzył mu stworzenie nowej sceny musicalowej w swoim teatrze. Wiara w możliwości drugiego człowieka, śmiałość i odwaga, jaką przy tym wykazał, mogą być kluczem do prawdy o jego osobowości.

Pomimo niezwykle kruchej kondycji finansowej, znikomej obsady, braku zespołu muzycznego i bardzo skromnego zaplecza organizacyjnego Teatr Rampa przeszedł do wystawiania musicali, czy to zamawianych specjalnie na jego scenę, czy to ze światowego repertuaru, jak „Rent” (2014) i „Kobiety na skraju załamania nerwowego” (2017). Tworzyło to ogromne wyzwania, konieczność pozyskiwania doskonałych wykonawców – wokalistów i muzyków, którym niespecjalnie było czym płacić. Teatr postawił na młodych, dla których obok pieniędzy wartością był sukces. Wszystko to wiązało się z ogromnym ryzykiem, ale hazard z życiem Olejarz akurat uwielbiał. Dobrze obstawił i wygrał: teatr osiągał sukces za sukcesem, widownia pękała w szwach,

Wiara w możliwości drugiego człowieka, śmiałość i odwaga mogą być kluczem do zrozumienia osobowości dyrektora Teatru Rampa.

ceny biletów rosły, czyniąc z Rampy (obok Romy i Teatru Kwartat) jedną z najbardziej rentownych miejskich instytucji kultury.

Szczytem dokonań musicalowych Rampy było wystawienie „Jesus Christ Superstar” (2016) w nowym, dynamicznym opracowaniu. Znanemu musicalowi nadano zdecydowanie nową wartość. Przez pięć lat bilety na dziesiątki spektakli rozchodziły się praktycznie w dniu otwarcia sprzedaży. Tytuł stał się musicalowym przebojem i zwiędził sukces przeobrażenia Rampy.

W apogeum działania tej placówki pod kierunkiem Witolda Olejarza, w roku 2019, mieszkańcy stolicy w plebiscycie Warszawiaki okrzyknęli Rampę najbardziej uznanym i lubianym teatrem. Zdobycie tytułu Teatr Roku było chwilą chyba największego szczęścia Witolda Olejarza w jego karierze zawodowej. I prezentem od warszawskich widzów na uwiecznienie tej kariery. Witold Olejarz odszedł na emeryturę w glorii zwycięzcy we wrześniu 2021 r. Zmarł 14 lutego 2024 r.

Ostatnie spektakle „Jesus Christ Superstar” na scenie Teatru Rampa wystawione zostaną już wkrótce, tradycyjnie przed Wielkanocą, jakby na pożegnanie Witolda Olejarza.

Daniel Wójtowicz był przez dziewięć lat zastępcą Witolda Olejarza i szefem marketingu Teatru Rampa

Pojedynek Casanovy z Mickiewiczem

Stołeczne teatry Rampa i Syrena postawiły na bardzo warszawskie spektakle

Tomasz Miłkowski

Niezależnie od wszystkiego, co dzieli, łączy je miejsce akcji, choć w przypadku oświeceniowego „Casanovy” z Teatru Rampa to warszawski Targówek, a w przypadku romantycznego, acz z przymrużeniem oka „Wypiora” z Teatru Syrena – okolice placu Zbawiciela.

Zderzają się tymi spektaklami dwie Warszawy: hipsterska i praska, prawobrzeżna i lewobrzeżna, pyszniące się swoim centralnym położeniem Śródmieście i zazdrosna o jego pozycję Praga. I choć nie ma w tym zderzeniu wrogości, ku czemu innemu, najwyraźniej związanemu z lokalnością, ciężką. Warte to odnotowania, bo odbywa się jednak na wyraźnej kontrze wobec panującego modelu teatru zezującego w stronę tego, co uniwersalne, a nie lokalne. Ten szlachetny prowincjonalizm jest także czymś nowym, a na pewno na nowo odkrywaną dzielnicową tożsamością obu teatrów. A przy okazji Michałowi Walczakowi, dyrektorowi Rampy, śni się piękny sen o zbudowaniu na Targówku Laboratorium Warszawskiego Musicalu.

Pożar w neoburdelu

„Casanova” w Rampie to nawiązanie do cieszącego się kilka lat temu niezwykłym powodzeniem kabaretu „Pożar w burdelu” (2012-2018), który krążył po Warszawie, wszędzie zbierając pochwały i zyskując wiernych widzów. Z czasem jednak pożarowa formuła zaczęła się wyczerpywać, zmęczeni sobą twórcy poniechali dalszego ciągu, choć co pewien czas wzbierała chęć powrotu, zwłaszcza jesienią 2023 r., kiedy na afiszu Rampy pojawiła się okazjonalnie „Gorączka wyborczej nocy”. Okazało się wówczas, że publiczność stęskniła się za formułą „Pożaru” i stąd ten neoburdel, który ponownie firmują jako współautorzy scenariusza Maciej Łubieński i Michał Walczak.

Żywe przyjęcie premiery dowodzi, że to powrót udany, a co więcej – najwyraźniej związany z nowym miejscem, gdzie toczy się „Casanova. Warszawskie zauroczenie”, czyli Targówkiem. Ten lokalny adres jest ważny, skoro Michał Walczak w kolejnym spektaklu Rampy go akcentuje, podnosząc do rangi wyróżniającej wartości. Dzielnicowy



Casanova

patriotyzm ma dowodzić, że Rampa jest naprawdę teatrem na Targówku i że można tu robić teatr z rozmachem.

Ale nie tylko lokalizacja jest inna. Neoburdel wprawdzie dziedziczy kilka motywów i postaci charakterystycznych dla poprzednich wcieleń, z niezawodnym Burdeltatą Andrzejem Konopką na czele, błyszczącym także w roli kapelana hipsterów, ale scenarzyści prowadzą widzów w inną nieco stronę. Przypominając dawny klimat i sposób żywego komentowania rzeczywistości, zastępują postać pani Prezydent (H.G.W.) wiceprezydentką o bujnych, rudych włosach, obserwującą zresztą na premierze z widowni swoje sceniczne wcielenie, które z temperamentem maluje Anna Mierzwa. Lokalne akcenty reprezentuje na początku portretowana z wigorem przez Agnieszkę Makowską nauczycielka WF z Targówka, Marzena Świrską-Wnerwińska, wprowadzając widzów w kabaretowy nastrój.

Potem musical skręca w stronę historii, czyli krótkiego pobytu w Warszawie Casanovy, usiłującego na scenie uczynić stolicę ośrodkiem nieustającego karnawału, mającego zastąpić polską skłonność do powstań i cierpienia. Mamy więc w spektaklu teatr w teatrze, sceny z przeszłości, sceny z legend, bo pojawi się też zakochana z wzajemnością w Casanovie Syrenka (Agata Łabno) i reprezentujący rozmaite wrogie siły, czarno myślący Zawisza Czarnek (Julian Mere) – ten wciąż będzie usiłował mieszać szyki i zawrócić wolną myśl do klatki. Pojawiają się także postacie z oświeceniowego świecznika polityki, Król Staś grany przez Burdeltatę i tryskająca złą energią caryca Katarzyna w brawurowym wykonaniu Anny Mierzwy. Kręci się ten świat pożarowy w tempie niebywałym, syjąc iskrami aluzji i złośliwych komentarzy, co dodaje dialogom szczególnego smaku. Najważniejsze, że neoburdel mimo oświeceniowego kostiumu i nawiązań do przeszłości tchnie młodością. To już coś więcej niż zapowiedź

musicalowych, lokalno-dzielnicowych ćwiczeń. To po prostu dobra rozrywka z odrobiną niegłupiej refleksji nad naszymi błędami. Przy czym spektakl oddycha wolnością, czuje się w nim niebywały przyływ dobrej energii, uwolnienie z krępujących swobodę lęków o przyszłość.

Mickiewicz w szafie

Rok temu „Wypiór” Grzegorza Uzdąńskiego został uznany za sensację literacką. Uzdąński już wcześniej dał się poznać jako zręczny imitator sposobu wierszowania wielu poetów dawnych epok, w tym Adama Mickiewicza, który jako wampir (czyli rzeczony wypiór) stanął w centrum opowieści. Pomysł, aby ukąszonego przez demonkę Poetę uczynić nieśmiertelnym wampirem, a przy tym twórcą o przetrąconym kręgosłupie, który stracił talent do pisania, a nawet ochotę do czytania, skazanym na wieczne męki nocnego łowcy krwi, sam w sobie zabawny, obarczony jest może niezbyt wyszukaną, ale trafną metaforą. Mickiewicz wszak jawi się nam jako wiecznie żywy, niezniszczalny, a jedyne, co go może umniejszyć, to nuda szkolnej edukacji. Wcześniej malowniczo opisywał to Gombrowicz w „Ferdynandzie”, za bohatera nudziarstw obierając Słowackiego. Uzdąński wybrał Mickiewicza, czyli poetę z samego centrum polszczyzny-ojczyzny.

Wyznam ze wstydem, że nigdy nie miałem problemów poznawczych z Mickiewiczem. Nigdy mnie nie drażnił, nie odstręczał, żaden nauczyciel nie zdołał mi go obrzydzić, przeciwnie, raczej przybliżał. Słowem, nie porywa mnie idea mająca jakoby przyświecać Uzdąńskiemu, że Mickiewicza trzeba ocalić przed Mickiewiczem szkolnym, czyli ukazać jego ludzkie, w dodatku skrywane oblicze, że to jedyna droga ratunku przed zmurszeniem. Może i tak jest, nie przesądzam. Jakkolwiek by było, Uzdąński napisał utwór pociągający, nawet uwodzicielski.

Jego opowieść o młodym małżeństwie, u którego w szafie odziedziczonej po stryju pomieszkuje wypiór Mickiewicza, tchnie czymś więcej niż zabawą. Upiór bowiem nie tyle łączy, ile dzieli, doprowadza do rozpadu stałości. Z jednej strony, budzi fascynację Marty, która naukowo bada wieszczkę, a na boku próbuje sklecić powieść „Towianka”. Z drugiej strony, żółta zazdrość zżera Łukasza, ambitnego poetę, który nie ma odwagi z Mickiewiczem się mierzyć. A do tego roje innych postaci wplątują się w tę historię mieszkańców okolic placu Zbawiciela.

Marta i po trosze Łukasz chcą przywrócić Mickiewicza lewicowego, postępowego, bliskiego hipsterom z placu Zbawiciela, otwartego na świat, i odkłamać jego rzekomy przechyl zabobonny, ale idzie im jak po grudzie. Nie szczęści się też wypiorowi, któremu coraz trudniej „bezkrwawo” upolować krew – ampułki z krwią po badaniach szpitalnych są coraz lepiej strzeżone, a samorzutni dawcy słabną w oczach.

Czyta się ten poemat dygresyjny z prawdziwą rozkoszą, zwłaszcza że nie brakuje autorowi pomysłów pobocznych – np. Ignacy Domeyko okazuje się stałym korespondentem Mickiewicza, bo i on uzyskał status skazanego na wieczne życie jako człowiek puma. Zresztą takich kabaretowych bez mała tricków jest w tej książce więcej, jak choćby utrzymana w klimacie horroru relacja kapitana statku



z transportem doczesnych szczątków wieszczki z Turcji do Europy. Nie wszystkie wątki precyzyjnie się przez ucho igielne scenicznego scenariusza, ale i tak spektakl dobrze trzyma strukturę dramatyczną opowieści.

Rzecz grana jest na scenie Bistro Syrena, czyli przy teatralnym bufecie we foyer, a więc klimat z założenia jest kabaretowy; aktorzy atakują widzów z rozmaitych stron, przeciskają się po bokach holu, a reżyser zachęca widzów do wiercenia się, chodzenia, zmiany miejsc. Nie jest to łatwe, sala nabita po brzegi, krzesła przy krzesłach, obracać się trudno – trochę zatem wbrew intencjom, ale w zgodzie z prawami fizyki, obejrzeć wszystkiego się nie da.

Mimo tej niedogodności publiczność chłonie opowieść z zacięciem, zwłaszcza że wbrew upiorowej tematyce tempo ma żywe, muzyka Mariusza Obijalskiego wpada w ucho, a aktorzy tworzą przekonujące postacie. Króluje tytułowy melancholijny Wypiór Przemysław Glapiński i znerwicowana para z okolic placu Zbawiciela, Natalia Kujawa jako Marta i Marek Grabiniok jako Łukasz, którym towarzyszą w wielu wcieleniach Agnieszka Rose i Jacek Pluta, m.in. jako psotny Kot Eks, oraz zespół muzyczny Syreny. Tym spektaklem Syrena wpisuje się wyraziście w swoją lokalną przestrzeń, opowiadając o wydarzeniach, które toczą się tuż za drzwiami teatru. ■

Odszedł Witold Olejarski,

mój przyjaciel i przewodnik po świecie kultury.

Całe życie Witka było związane z kulturą, w której centrum był widz. Tak było, gdy zaczynał jako kierownik Sigmy, klubu studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Obdarzony charyzmą i talentem organizatorskim zbudował tam ważne i ciekawe środowisko. Podobnie było później w warszawskiej Rampie. Wszędzie skupiał ludzi niezwykłych, bo sam był sympatycznym, życzliwym światu oryginałem. Towarzyszem dysput i biesiad. Kochał życie, rodzinę i przyjaciół. Z ogromnym smutkiem żegnaliśmy Go tłumnie w kościele i na cmentarzu w Grójcu.

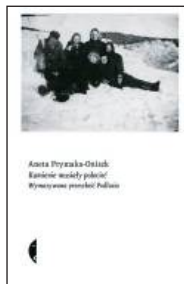
Żonę Ewę, dzieci i przyjaciół Witka serdecznie przytulam

Jerzy Domański

MIĘDZY OKŁADKAMI

Aneta Prymaka-Oniszk
Kamienie musiały polecieć
 Czarne, Wołowiec 2024

Można zostawić za sobą miejsce, gdzie dzieciństwo naznaczał strach, czy w nocy nie usłyszysz się tomotu w okna i ryku: „Kontrybucja!”, lecz ówczesna bezradność latami będzie wracała gniewem. Widziałam to. Rodzina ojca mieszkała wprawdzie nieco dalej na południe niż opisywane tu okolice Sokółki i Kuźnicy, ale doświadczenia miała podobne. Powtórzę za Pawłem Dybiczem: nie ma „pamięci narodowej”. Jest wspólnota losów pewnych grup, ale nie jednolita pamięć. Znakomicie pokazuje to autorka. Od polskich rozmówców słyszy: „U nas nigdy nie było żadnych animozji”, prawosławny, zachodząc do katolika, mówił: „Niech będzie pochwalony”.



Ale czy katolicy z sąsiadami witali się „po ichniemu”? A dlaczego mieliby? Perspektywa tychże sąsiadów to nauczycielka karząca za mówienie po białorusku i katolicki pacierz przed lekcjami. Dyskryminacja w urzędach. Wyzwisko kacap – sama autorka jeszcze je słyszała – na które nie było równie pogardliwej riposty. Po wojnie wysyłanie „do raju” na wschodzie, rabunki, morderstwa, a że „chodzili z bandami” ludzie z najbliższej okolicy, trzeba było swoje wspomnienia i tę niepolskość zdusić, żeby przeżyć. To historia rodziny i regionu, którą do niedawna zachowywało się dla siebie i swoich. Dobrze, że wreszcie wybrzmiewa, uzupełnia obraz i pomaga zrozumieć złożoność relacji na Podlasiu.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ



Cuore Piano Trio
Never Twice the Same
 KNS Classical

Cuore po włosku znaczy serce. W Cuore Piano Trio grają dwie kobiety i jeden mężczyzna. Żadne z nich nie skończyło jeszcze trzydziestki, ale nie trzeba być znawcą, by powiedzieć, że grają po mistrzowski i od serca. Ich kariera rozwija się błyskawicznie, w kraju i na świecie. Pierwsza nagrana przez nich płyta rozpoczyna się lekko, niemal jazzowo, kawiarnianie. Potem jest coś z francuskiego wdzięku i fantazji. Następnie słyszymy argentyńskie tanga i na końcu późny polski romantyzm. Dla każdego coś miłego.

Bronisław Tumitowicz

KURTyna W GÓRĘ



Telenowela Bergmanem podszyta

Aktorzy TR opowiadają historię rodzinną, bez mała jak z telenoweli. Po samobójstwie młodej dziewczyny, córki jednego z braci, rodzeństwo, którego już nic nie łączy, spotyka się w starym domu, wybudowanym kiedyś przez Ojca (Miroslaw Zbrojewicz), w którym nadal mieszka Matka (Maria Maj) wraz z osieroconymi rodzicami 15-latkami. Nad wszystkimi wisi niewypowiedziane pytanie: dlaczego tak się stało?

Trudny to powrót, traumatyczny. Twórcy spektaklu krok po kroku odstaniają bariery pomiędzy teoretycznie bliskimi sobie ludźmi, ich lęki i niedobory emocjonalne. W końcu na plan pierwszy wysuwa się przebieg psychiczna praktykowana przez apodyktycznego Ojca. Wyświetlają się też tajemnice z przeszłości, liczne śmierci samobójcze, brak porozumienia między dziećmi i rodzicami. Jedną z bohaterek (Justyna Wasilewska) przygląda się rodzinnym obrachunkom okiem zawodowca i cały czas kręci w głowie film – powstaje podwójna perspektywa narracji: teatru w filmie niczym w kreacjach Bergmana.

Kolejny udany spektakl Katarzyny Minkowskiej przygotowany w autorskim tandemie z Tomaszem Walesiakiem. Wynaleziona dla tego spektaklu konwencja pozwala głęboko wniknąć we wnętrze rodziny w kryzysie.

Tomasz Miłkowski

Katarzyna Minkowska, Tomasz Walesiak, „Kiedy stopnieje śnieg”,
 reżyseria i scenografia Katarzyna Minkowska, dramaturgia Tomasz Walesiak,
 TR Warszawa, premiera 9 lutego 2024



„Jednego serca – piosenki z repertuaru Niemena”, scenariusz i reżyseria Anna Sroka-Hryń, Teatr Muzyczny Roma, prapremiera 16 lutego 2024

Niemen drogowskazem

Reżyserka Anna Sroka-Hryń wybrała 20 sławnych, ale też mniej znanych piosenek Czesława Niemena (85. rocznica urodzin) i ułożyła z nich spektakl muzyczno-taneczny. Sprowadziła do Romy swoich studentów z Akademii Teatralnej, którzy nie tylko śpiewają perfekcyjnie jak chór na głosy, ale także tańczą i wykonują akrobatyczne figury. Jej zdaniem piosenki nie zestarzały się, stanowią opowieść o tożsamości, mogą być nawet drogowskazem dla młodych.

Bronisław Tumitowicz

Kolumnę przygotowała
 Agata Gogółkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Na granicy

Wostatnich felietonach maniacko zajmuję się prezesem, zupełnie jakbym miał jakąś obsesję, ale jest wytłumaczenie. Prezes to milionowe rzesze wyznawców w niego wpatrzone, więc jego stan umysłu ma wpływ na naszą narodową kondycję. A on, proszę, zachowuje się zupełnie niepoważnie, stając się z jednej strony postacią złowrogą, a z drugiej tragicomiczną. Jest jak bachor w furii, bo zabrano mu zabawkę, czyli władzę, ciska wszystkim, co ma pod ręką. Tusk zabrał. Nie daruję.

Gdziekolwiek prezes się pojawi, jak choćby niedawno w Opocznie, gada coraz większe bzdury. Cudowny przykład, jak inteligentny i wykształcony człowiek może w pewnych okolicznościach być durniem. W Opocznie prezes się przyznał, że nie wierzy w zmiany klimatyczne. Wkłada na okrągłą twarz ten swój filuterny półuśmiech i mówi: „My wszyscy, proszę państwa, po prostu ludzie, jesteśmy zagrożeniem dla przyrody. Z tego by wynikało jedno. No, powinniśmy po prostu zbiorowo popełnić samobójstwo, bo ludzie muszą jeść.

Też coś tam z siebie wydzielają. No i to wszystko w ramach tego sposobu myślenia jest dla przyrody szkodliwe, niszczy, zmienia klimat. Wybitny naukowiec, będący już na emeryturze, więc nic mu nie mogą zrobić, (...) powiedział, że to wszystko, co ludzie robią w kierunku zanieczyszczania atmosfery, to tak jakby w wielkiej hali sportowej zapalić jedną zapałkę. Bo to, co wydziela z siebie przyroda, jest o tyle większe od działalności ludzi, że to w ogóle nie ma porównania”. Jeśli prezes nie wierzy, to PiS nie wierzy, zmiany klimatyczne to jedno wielkie oszustwo, które ma nas zniewolić. Coraz bliżej do wiary, że Ziemia jest płaska.

Prezydent Biden zaprosił Dudę i Tuska do Białego Domu, w marcu. Fatalna okoliczność dla pisowskiej propagandy, jak to pokazać, a nie pokazać, że ten upiorny Tusk, agent niemiecki, frunie w towarzystwie Dudy do Białego Domu i jest poważnie traktowany przez Stany Zjednoczone. Na dodatek w czasie tej wspólnej wizyty może dojść do pewnej zażyłości między prezydentem i premierem. Duda, jak wiadomo, nie ma charakteru, a Tusk ma, to może Dudę w tych Stanach zagadać i przerobić. (Na wszelki wypadek mają nie lecieć jednym samolotem). PiS i tak ma coraz więcej żalu do Dudy, że ten nie zachowuje się jak Rejtan wobec koalicji rządzącej. Prezes pozwala sobie wręcz na małe potajanki, a przecież nawet

ludzie bez charakteru mają swoją dumę, tym wrażliwszą, że gwałconą, więc może narosnąć wzajemna niechęć, sprawa jest w każdym razie rozwojowa. I rozwojowa jest sprawa podsłuchów Pegasusem. Komisja sejmowa zaczęła działać. Jak nie mam serca do komisji kopertowej, ta sprawa wydaje mi się trochę nadęta, też dlatego, że nie bałem się zarazy, tak tu mogą się dziać rzeczy ciekawe i niszczące dla PiS. Chociaż w komisji ortów do robienia spektaklu po stronie koalicji nie ma, a publiczny spektakl jest ważną częścią pracy takiego ciała. To, że mieli być podsłuchiwanie ważni politycy PiS, dodaje smaku całej aferze. Podsłuchiwanie swoich jest typowe dla państw niedemokratycznych.

Do Cieszyńska na spotkanie autorskie, w kawiarnioksięgarni Kornel i Przyjaciele. Kornel to pisarz Kornel Filipowicz, partner Szymborskiej, stąd pochodził i kochał to miasto. Lokal blisko pięknego rynku, magiczne miejsce,

**Jeśli prezes nie wierzy, to PiS nie wierzy.
Zmiany klimatyczne to oszustwo, które ma nas zniewolić.**

parter z książkami i obszerna antresola, gdzie też stoliki i książki, maszyna pisarza na stoliku. Prowadzi spotkanie moja wieloletnia znajoma Joanna, nauczycielka polskiego w miejscowym liceum. Mieszkam w Pałacu Cieszyńskim, czyli niemal na granicy polsko-czeskiej, tuż obok rzeczka Olza, most, a na jego środku granica, niewidoczna i nieoczywista. Tylko jakieś tablice graniczne, na których ktoś ponaklejał karteczki z ogłoszeniami, jak kiedyś na przystankach autobusowych. Jest z nami bliska znajoma, Kasia, do niedawna ordynator oddziału psychiatrycznego w pobliskim szpitalu. Dla niej to już nie jest zagranica, po czeskiej stronie gra nałogowo w golfa i czuje się tam jak u siebie. Trwa teraz najazd Czechów na polskie sklepy. Oplaca się im kupować u nas i sklepy są błyskawicznie ogałacane z rozmaitych towarów, co staje się zmorem dla miejscowych. Idziemy do czeskiej knajpy na piwo. Byłem tu kilkanaście lat temu, wtedy restauracja była zaniedbana i ciemna, teraz zadbana i jasna, ale bez dawnego wdzięku. Ładna, bardzo słowiańska kelnerka mówi oczywiście po czesku, co mnie wzrusza, zawsze mnie porusza ten bratni język, będący serdeczną karykaturą polskiego. A polski Cieszyń bardziej zadbany od czeskiego, co jest znakiem dobrych zmian, jakie u nas zaszły. ■



Kolory nieznanego świata

Nie ma znaczenia, co malarz maluje.
Ważne, aby robił to dobrze – **twierdził Mark Rothko**

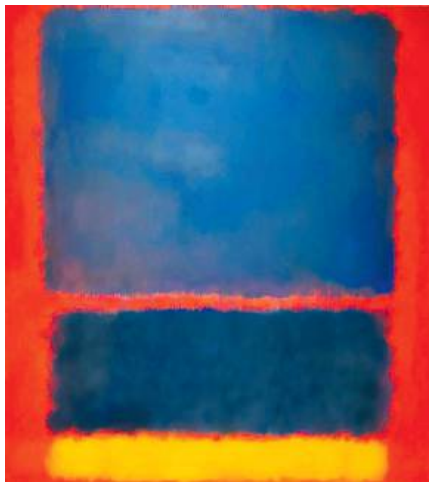
Daniel Wójtowicz
Korespondencja z Paryża

Fenomen światowego malarstwa. Obrazy nie przedstawiają niczego konkretnego, ale sprzedają się za konkretne miliony dolarów. Są pustymi, kolorowymi płaszczyznami. Mimo to należą dziś – obok dzieł Leonarda da Vinci, Rembrandta, Picassa – do najdroższych w świecie. Jeden uzyskał niedawno na aukcji cenę aż 128 mln dol. Twórczość Marka Rothko, XX-wiecznego abstrakcjonisty z USA, pozostaje dla szerszej publiczności zagadką. Na tyle silną i ekscytującą, że na pierwszą od dziesięcioleci jego wystawę w Europie, otwartą w supernowoczesnym pałacu wystawienniczym Fundacji Louisa Vuittona w Paryżu, od miesiąca ciągną tłumy. Mają niezwykłą możliwość zobaczenia ponad stu dzieł tego artysty i znalezienia własnych odpowiedzi na pytania o ich niebywałą sławę. Tą drogą podążyłem i ja.

Obrazy tego twórcy są ogromnymi, prostokątnymi blejtramami zamalowanymi w kolorowe, wielkie pasy, czasem z wkomponowanymi w nie paskami węższymi. Część dzieł to tylko jednolite, czarne płaszczyzny. Przy tradycyjnym spojrzeniu na malarstwo trudno w nich, zwłaszcza laikowi takiemu jak ja, doszukiwać się sensu. Gdy je oglądać pojedynczo, np. w internecie, wydają się przypadkowe i ludzko do siebie podobne. Dopiero

zestawione razem, w dużej liczbie – na tym polega niezwykłość i wielkość paryskiej wystawy – zaczynają nabierać indywidualności. Tak jak ludzie widziani z odległości są w zasadzie tacy sami, a nagle z bliska zyskują twarz, tak i tutaj nawet te pozornie do siebie podobne obrazy są zdecydowanie różne. Zaczynasz wynajdywać i odnotowywać różnice i mimowolnie zastanawiać się nad ich sensem. Działają jak słowa w nowo poznawanym języku – nagle nabierają treści. Lub jak kolejne rozdziały w książce – odkrywają przed czytelnikiem kolejne elementy opowieści. „Nie ma znaczenia, co malarz maluje. Ważne, aby robił to dobrze”, twierdził Rothko. I chyba swoje robił dobrze. O ile pierwsza sala wystawy nie wywarła na mnie zbyt dużego wrażenia, o tyle z ostatniej już nie chciało mi się wychodzić. Historia opowiadana w tym nowym, nieznanym mi języku zaczęła widocznie mnie wciągać.

Zastanawiam się, jakie są granice sensu w malarstwie. Co może być treścią obrazu? Czy barwny zachód słońca nad spokojnym morzem do tego się nadaje? Jasne, że tak. Przecież to tylko kompozycja kolorystyczna dwóch czy trzech płaszczyzn, a niesie tyle emocji. Śmieją się ludzie, że obraz w jednym tylko, dziwnie poprzecieranym niebieskim kolorze nie oznacza niczego konkretnego. A przecież tyle razy wpatrują się w pozornie jednobarwne niebo, szukając w nim nie tylko zapowiedzi pogody na jutro, ale czasem też łączności i porozumienia z odległymi lub zmarłymi bliskimi. Albo wręcz łączności z Bogiem.



Mark Rothko – (1903-1970) wywodzący się z żydowskiej rodziny emigrantów z Łotwy do USA, malował przez całe życie, przechodząc przez różne etapy i style. Zdobył uznanie, początkowo tylko w wąskich kręgach twórczych. Szeroką popularność i ogromną wycenę swoich prac uzyskał dopiero na ostatnim etapie życia i kariery, pod koniec lat 50. XX w., kiedy doszedł do fazy abstrakcji. W zdobyciu rozgłosu pomogło mu ekscentryczne i manifestacyjne zerwanie kontraktu na realizację dzieł zamówionych przez amerykańskiego miliardera, dokonane ze względu na... sprzeciw wobec podporządkowywania sztuki kultowi pieniądza (niektórzy podejrzewają w tym zdarzeniu jedynie trik marketingowy). A o wielkim popycie na jego prace przesądziła na przełomie lat 50. i 60. pomoc pani Rockefeller, która kupiła jeden z jego obrazów (choć tylko za 1000 dol.), wskazując tym samym bogatej Ameryce właściwy kierunek inwestowania w malarstwo. Stany Zjednoczone gwałtownie poszukiwały wtedy swojej tożsamości i odrębności w sztuce, zwłaszcza wobec Starej Europy, do czego abstrakcyjny twórca świetnie się nadawał. Sięgał dla USA po prymat w światowym malarstwie i stał się symbolem niesionej przez to państwo nowoczesności. Wielcy zapragnęli go mieć. Szybko stał się maszyną do produkcji obrazów i milionów dolarów. Ale nie czuł się szczęśliwy. W tle były zaawansowana depresja, diagnoza nieuleczalnej choroby, nadmiar alkoholu. W końcu, w szczycie popularności, odebrał sobie życie...



Jednolita barwna płaszczyzna staje się wypełniona emocjami i żywymi myślami.

„Nie jestem abstrakcjonistą – szokująco twierdził Mark Rothko. – Nie interesuje mnie związek koloru, formy czy czegokolwiek innego. Interesuje mnie jedynie wyrażanie podstawowych ludzkich emocji: tragedii, ekstazy, zagłady itd.”.

Ach – niejednen gotów się zachnąć – każe nam patrzeć na barwne potacie swoich obrazów i nie myśleć o kolorach?

A jednak. Uświadamiamy sobie, że każdy kolor ma w naszej percepcji bardzo konkretne znaczenie emocjonalne, wiemy to od dziecka. Cóż w tym dziwnego, że patrząc na czerwony, myślę o miłości, a zielony napawa nadzieją... To elementarz z pierwszej klasy. A w wyższych klasach okazuje się, w ślad za Markiem Rothko, że unikatowe kompozycje kolorystyczne mogą mieć i mają swoją bardzo złożoną magiczną moc. Niczym mikstury z pozornie zwykłych składników, niczym perfumy o niezwykłym zapachu.

Rothko jawi się zatem jako mistrz zdolny do zapisywania i przedstawiania złożonych ludzkich emocji, stanów ducha w kolorystycznych kodach i kompozycjach. Nie jest oczywiście łatwo w to wejść, a tym bardziej temu ulec. To ostatecznie zależy, niczym przy hipnozie, od otwartości i podatności na ten rodzaj oddziaływania.

I jak przy hipnozie Mark Rothko w twórczości idzie dalej. „Dla mnie malarstwo nie jest obrazowaniem doświadczenia, lecz samo jest doświadczeniem”, wyznawał. Specjalnie malował obrazy wielkie, ponad wysokość człowieka. Wskazywał, aby prezentować je bez ram, skracając dystans między płótnem a patrzącym, i jeden koło drugiego. Zalecał oglądać je z bardzo małej odległości, nie większej niż zgięta ręka. Pragnął w ten sposób wciągać widzów do środka swoich kolorowych przestrzeni, otaczać nimi czy wręcz przygniatać, wstrząsać. I tak to podobno potrafi działać. Recenzenci twierdzą, że na wystawach widom o szczególnej wrażliwości zdarzały się nagłe załamania czy wybuchy płaczu...

Na mnie jego prace aż tak mocno nie zadziały. Ale też nie pozostawiły mnie obojętnym. Wiem, że malarstwo coraz częściej obrazuje świat, którego nie znamy i w którym nic nie jest takie, jak to, do czego przywykliśmy. Jak choćby świat po drugiej stronie lustra czy przestrzeń kosmicznej pustki. I taką właśnie nie-zwykłą podróż odbyłem za sprawą wizji Marka Rothko. I jestem nią przejęty.

Fondation Louis Vuitton
Paryż, Avenue du Mahatma Gandhi 8
do 2 kwietnia

Helena Leman

W styczniu na portalu Olsztyn.com.pl ukazał się tekst o pani Halinie, seniorce z warmińskiej wsi Patryki, która ostatnie mrozy spędziła w dwupokojowym mieszkaniu bez pieca. W mediach, także na portalach ogólnopolskich, pojawiło się zdjęcie seniorki trzymającej kartkę z napisem: „Zimno mi. Błagam o pomoc”.

Do Fundacji Niosę Pomoc ze Starogardu Gdańskiego zwrócił się jej syn. Kiedy prezes fundacji Piotr Staniucha odwiedził seniorkę, okazało się, że potrzebuje nie tylko pieca. – Od kilku lat prowadzę fundację, samym wolontariatem zajmuję się o wiele dłużej, ale takich warunków nie widziałem, jak żyję – mówił mediom.

Organizacji udało się zbierać 130 tys. zł dla pani Haliny. Zbiórka prowadzona jest na portalu Pomagam.pl.

Będę miała ładnie

Kiedy 26 stycznia jechałam do Patryki, myślałam, że napiszę poruszający tekst o seniorce potrzebującej natychmiastowej pomocy. Rzeczywistość nie okazała się czarno-biała.

Po żyrandolu woda cieknie, boję się zapalić światło w kuchni, więc po ciemku siedzę, w pokoju lampa dawno popsuta.

Dom, w którym mieszka pani Halina, jest oddalony od centrum wsi. To budynek popegeerowski, połatany i remontowany własnymi siłami. Dawniej mieściły się tu zabudowania gospodarcze należące do majątku rodziny von Pentz. Powyżej, na wzgórzu w starym parku, zachowały się jeszcze ruiny pałacu, drewnianą jego część dawno rozebrano na opał. W parku pięknie urządzona ścieżka przyrodnicza, kończąca się w malowniczej altanie. Latem zaglądają tu niemieccy turyści.

Po wąskich, drewnianych schodkach wspinałam się na piętro do mieszkania pani Haliny. Kobieta nie otwiera mi od razu. Ze środka bucha papierosowy dym. Rozmawiamy w kuchni, gdzie wymieniono już

z murszałą podłogę i położono płytę OSB. Pieca dotąd nie zamontowano, choć na stronie fundacji deklarowano, że nastąpi to jeszcze w grudniu. Mieszkanie ogrzewane jest grzejnikiem elektrycznym.

– Kupił mi go pan Piotr z fundacji – mówi kobieta – podłogę też zaczął mi robić z kolegą. Za tydzień znów mają przyjechać, będą dalej kłaść płytę, a potem na nią panele. Tu wszystko jest do wymiany, kafle w łazience popękały, ściany trzeba kuć do tynku, trochę się martwię, bo one są strasznie kruche. Ale najgorzej jest z dachem, widzi pani, jak woda z sufitu kapie, jak to wisi wszystko, boję się nawet przy stole usiąść, bo jak mi runie na głowę, to i zabić może. Na podłodze położyłam folię,

podstawiam wiadra i miski, żeby nowej płyty nie zalało. Po żyrandolu woda cieknie, boję się zapalić światło w kuchni, więc po ciemku siedzę, w pokoju lampa dawno popsuta.

– A syn naprawić jej nie może? – pytam.

– Przecież to syn tę fundację mi znalazł, a mało kiedy przyjeżdża, bo mieszka aż w Olsztynku – tłumaczy pani Halina. – W dni robocze pracuje, a weekendy nie ma jak do Patryki dojechać, bo okejki nie chodzą, a wynajęcie samochodu w dwie strony koszt 200 zł. Do tego jest schorowany. Zaprosili mnie na Boże Narodzenie, ale Wielkanoc to raczej sama spędzę, siądę w kącie, popłaczę trochę i tyle. Ale dzięki panu Piotrowi z fundacji i dobrym ludziom jakoś

lżej mi na sercu. Będę miała ładnie, jak latem dach i ściany zrobią i wstawią nowe meble.

Kobieta ma 66 lat i jest wdową, mąż zmarł kilka lat temu. Mówi, że pracowała od 16. roku życia, najpierw w pegeerze w Bałdach, a po upadku pegeerów w aptekach w Olsztynie przez pięć lat donosiła leki, przygotowywała buteleczki, myła podłogi; później jeszcze sprzątała w sanatorium przeciwgruźliczym w Olsztynie.

– Nazbierałam trochę lat pracy – ciągnie – po chorobie przyznano mi rentę, która obecnie wynosi 1650 zł. Pobieram ją, bo emeryturę wyliczono mi niższą niż renta. Po odliczeniu komornika na życie zostaje mi 1115 zł.

Gdy pytam, skąd się wziął dług u komornika, tłumaczy, że nie spłaciła pożyczki w Stefczyku, nazbierały się też zaległości w gminie za śmieci i wodę. Ile jest tego długu, sama dokładnie nie wie. W styczniu zadzwoniła do niej kobieta, która z córką postanowiła przekazać 250 zł bezpośrednio na jej konto. – Trzeba było od razu wrzucić to na spłatę komornika – podpowiadam, ale pani Halina, choć wzruszona tym gestem, ucina, że to za mało.

Worek bez dna

Patryki to nie jakaś zabita dechami wieś na końcu świata. Przy głównej drodze mijam starannie wyremontowane posesje w zagospodarowanych ogródkach. Na obrzeżach miejscowości powstaje całe osiedle eleganckich domów. Do Olsztyna stąd niedaleko. Wielu mieszkańców dojeżdża tam do pracy busami, nazywanymi potocznie okejkami, lub własnym transportem.



W styczniu w mediach, także na portalach ogólnopolskich, pojawiło się zdjęcie seniorki trzymającej kartkę z prośbą o pomoc.

Z podjeżdżającego pod posesję samochodu wysiada mężczyzna w roboczym kombinezonie, z dwoma bochenkami chleba pod pachą. Gdy pytam go o panią Halinę, macha tylko ręką zdenerwowany.

– My jej tu wszyscy mamy dość! – kwituje. – Tylko daj i daj, 10 zł na busa, 50 zł na kawę i papierosy i tak bez przerwy. Ile można?! Przecież piec miała, ale syn jej zabrał, wszystko tam ginie, to jest worek bez dna. Jak jeszcze ten syn tu mieszkał, podwoziłem go do pracy. My tu sobie pomagamy, nieraz komuś okejka ucieknie albo ktoś zaśpi, to się zabiera, ale żeby kilka lat na stopa jeździć... W sąsiednich Skajbotach mieszka samotna kobieta starsza od Haliny. Latem z lasu wiadra grzybów i jagód dzwiga i we wsi sprzedaje. Jak od mojej mamy z kawy wraca, to po drodze drewna na opał nabiera. Ile razy ją widzę, zawsze coś niesie. Szanujemy ją za to, że nie czeka, aż ktoś jej coś da.

Do rozmowy dołącza kobieta. – Jak Halinie wcisnęli tę kartkę „Zimno mi. Błagam o pomoc”, to nas normalnie szlag trafił. Ludzie jej torby ubrań i innych rzeczy dawali, gdzie to wszystko się podziało? Moja teściowa oddała firanki, a za miesiąc już ich nie było i znowu daj. Bieda biedą, ale żeby tak dom zapuścić?! Szarym mydłem i wodą by go chociaż wymyła. Może powinna mieć

jakiegoś opiekuna, asystenta rodziny z urzędu, który by z nią pracował i pilnował, żeby kolejna pomoc nie przepadła? Żeby uszanowała to, co od ludzi dostaje.

Sąsiad z parteru domu, w którym mieszka pani Halina, rozmawiać długo nie może, gotuje obiad. – Ta pomoc nic nie da – ucina – bo syn jej wszystko zabierze. Przecież ona jeździ do Olsztyna i oddaje mu rentę, może parę groszy jej zostawia i tyle. Jak kupowaliśmy od niej działkę pod ogródek, to też pieniądze jej zabrał i poszedł. Ona dla niego pożyczki bierze. Ale złego słowa na syna powiedzieć nie da. Wie pani, to taka ślepa miłość jest.

Gdy pytam, dlaczego sąsiedzi nie pomogli wstawić żeliwnego pieca kupionego przez fundację, dodaje: – Bo pani Haliny nikt nie lubi. Ona nie potrafi z ludźmi żyć. A wreszcie niech syn jej pomoże.

– Ale przecież on chory – oponuję.

– Chyba z lenistwa – macha ręką na odchodnym.

GOPS blisko, fundacja daleko

Post z apelem o pomoc przy wniesieniu ważącego 74 kg pieca umieścił na swoim facebookowym profilu prezes Fundacji Niosę Pomoc.

Odnioś się do tego Piotr Duda, kierownik Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Purdzie. „Wystarczyło zadzwonić do urzędu gminy, GOPS lub sołtysa, że potrzeba pomocy przy wniesieniu pieca, i taką sprawę można było załatwić od ręki. Czy nie byłoby to lepszym rozwiązaniem niż zamieszczanie postów skierowanych do ogółu mieszkańców Polski? Chyba że to miało działać jako promocja akcji i zbiórki pieniężnej”, napisał w oświadczeniu na portalu Olsztyn.com.pl.

Piotr Duda wyjaśnia, że sytuacja pani Haliny jest GOPS znana. Pracownicy od wielu lat próbują na nią wpłynąć, by poprawiła swoje warunki bytowe, wykorzystując środki z różnych dodatków. Niestety, wszystkie te propozycje są odrzucone, bo pani Halina twierdzi, że nikt nie będzie zaglądał jej do wydatków. Próby namówienia jej chociażby na posprzątanie mieszkania kończą się zawsze tak samo – urwaniem rozmowy i wyproszeniem pracowników za drzwi. – Ale każdą pomoc, jaką jej dostarczymy, np. żywność z programów unijnych czy innych zbiorów, przyjmuje. 1650 zł renty na jedną osobę to wcale nie jest mało jak na

– A syn naprawić lampy nie może?
– Przecież to on tę fundację mi znalazł.

tutejsze warunki wiejskie – zwraca uwagę kierownik GOPS w Purdzie. – Obecnie kryterium dochodowe kwalifikujące do pomocy z GOPS to 776 zł na osobę, a ta pani ma drugie tyle, musimy trzymać się przepisów. Tylko w 2022 r. pani Halina miała ok. 5-6 tys. zł dodatkowego dochodu, na co złożyły się 3 tys. zł dodatku węglowego, 13. i 14. emerytura oraz dodatek ostonowy związany z tarcią. Za taką sumę można w mieszkaniu coś zrobić. Proponowaliśmy jej przywiezienie węgla i drzewa, ale zażyczyła sobie pieniądze. Koszty utrzymania jej własnościowego mieszkania nie są duże, a ta pani i tak od lat nie płaci za wodę i wywóz śmieci, choć to razem niecałe 50 zł miesięcznie. Dlatego gmina poszła do komornika. W ramach Szlachetnej ▶

► Paczki w 2016 r. i pomocy popaczkowej pani Halina otrzymała od nas dużo materiałów budowlanych. Nie wykorzystano ich, część gdzieś przekazano, reszta została poniszczona.

W pomocy społecznej dziwią się, że fundacja o jednoosobowym zarządzie pomagająca pani Halinie prowadzi tyle zbiorów i do tego sama wykonuje prace remontowe. – Tak w ogóle za uzbieraną kwotę na wioskach można mieszkanie kupić – słyszę.

Nie lubię tracić pieniędzy na głupoty

Wysłałam pytania do prezesa Fundacji Niosę Pomoc Piotra Staniucha. Gdy nie dostaję odpowiedzi, dzwonię do niego. Akurat jest u pani Haliny i z dwoma kolegami kontynuuje remont. W Patrykach są już czwarty raz. Dodaje, że znalazł też dla swojej podopiecznej mieszkanie w Olsztynku, ale kobieta nie chce się przenieść.

W sprawie pani Haliny nikt z sołtyską się nie kontaktuje, o wszystkim dowiaduje się z internetu.

– Odstraszyły ją chyba opłaty. Tam płać 400 zł miesięcznie, tutaj tylko 80 zł – wyjaśnia. Gdy pytam, czy nie lepiej byłoby znaleźć fachowców do remontu, słyszę, że „do pani Halinki żadna z miejscowych firm przyjść nie chce”. Ale do naprawy dachu na wiosnę taka firma zostanie wynajęta.

Mężczyzna podkreśla, że zgłaszających się po pomoc zawsze weryfikuje. Jeśli w tle są używki, odrzuca, u pani Haliny oprócz papierosów, które sama sobie robi, innych używek nie ma. A zbiorów organizuje zawsze osiem-dziesięć. Więcej nie ogarnia, bo jeszcze pracuje zdalnie.

Początkowo cel finansowy zbiórki dla pani Haliny wynosił 70 tys.

– A teraz ile? Będziecie zbierać w nieskończoność? – dociekam.

– Zawsze, zanim zamknę zbiórkę, staram się zabezpieczyć finansowo swoich podopiecznych przynajmniej na rok – tłumaczy Piotr Staniucha. – Tak będzie i w tym przypadku. Daję pani Halince czas na pozbieranie się i naprawę. Jeśli go zmarnuje, drugiej

szansy nie będzie. Wszystko, co do niej trafi, będzie nowe: meble, sprzęt kuchenny, wyposażenie łazienki, nawet ubrania, a to kosztuje. Dlatego liczę każdą złotówkę i naprawdę nie lubię tracić pieniędzy na głupoty.

Jak mówi art. 12 ustawy o fundacjach, zarząd fundacji składa corocznie właściwemu ministrowi sprawozdanie ze swojej działalności, które udostępnia się do wiadomości publicznej. Na stronie Fundacji Niosę Pomoc takich sprawozdań jednak nie widzę, za to jest zakładka „Media o nas” i chwytające za serce, pełne emocji opisy różnych akcji pomocowych.

Monika Chrzanowicz z Centrum Wspierania Organizacji Pozarządowych tłumaczy, że fundacja nie ma obowiązku umieszczać sprawozdań na stronie, ale powinna je udostępnić na żądanie zainteresowanego, np. dziennikarza, który działa w interesie publicznym. Piotr Staniucha obiecuje, że sprawozdanie podeśle

i postawi na stronie. Organem nadzorującym fundację jest Ministerstwo Zdrowia.

Fundacja powstała w kwietniu 2019 r. W podsumowaniu umieszczonym na jej stronie pod frazą „To był dobry rok” widnieje spis działań w 2023 r., np. zakup żywności dla potrzebujących, prezenty dla domów dziecka, liczne rehabilitacje dla dzieci i dla dorosłych, wizyty w domach dziecka i raz w szpitalu, pomoc schronisku dla zwierząt itp.

To wszystko stek bzdur

Syn pani Haliny, do którego dzwonię zaraz po rozmowie z prezesem, nie daje mi dojść do słowa, jakby już wiedział, o co chcę pytać. – Nie potrzebujemy żadnych wywiadów, dziękujemy i do widzenia! – krzyczy do słuchawki i się rozłącza. Gdy piszę mu SMS-a i pytam, czy zabiera matce pieniądze i dlaczego jej nie pomaga, a wyręcza się fundacją, odpisuje: „To wszystko stek bzdur,

zadzwoń pani do pana Piotra i zapytaj, jacy są kochani sąsiedzi, nawet go na dach nie wpuścili. Nie mogę rozmawiać, jestem w pracy”.

Pani Halina twierdzi, że syn ma własne pieniądze i jej nie zabiera. Na co więc wydaje rentę seniorka, to zagadka, w Patrykach nawet sklepu nie ma. Gdy mówię prezesowi, że kobieta wciąż kupuje na kreskę, jest zaskoczony i obiecuje z nią porozmawiać. Założy jej zeszyt, w którym poprosi o zapisywanie wydatków.

Lepiej poczekać, aż ktoś coś zrobi

Jedyną osobą, która codziennie odwiedza panią Halinę, jest Beata, młodsza od niej może o dwie dekady. Gdy pytam ją, dlaczego w wiosce jest taka niechęć do starszej pani, mówi, że to wszystko z zawiści. W Patrykach panią Halinę starzy mieszkańcy nazywają „Boczkową”, taką ksywkę wziętą z serialu „Kiepscy” miał jej mąż.

– Czy to ładnie tak do kogoś mówić? – pyta pani Halina i wzdycha, że trzeba było się wyprowadzić, że gdzieś indziej może ludzie byłoby lepsi.

– No to przecież jeszcze wszystko możliwe – mówię.

Ale pani Halina milknie i nie wraca do tematu.

Zdaniem Kamili Czerniewicz, sołtyski Patryk, cała sytuacja jest dziwna. Nikt w sprawie pani Haliny z nią się nie kontaktuje, o wszystkim dowiaduje się z internetu. Fundacja jest aż ze Starogardu Gdańskiego. A panią Halinę najbardziej interesują pieniądze, nie pomoc rzeczowa.

– Dlaczego fundacja nie zwróciła się do naszego GOPS? – zastanawia się sołtyska. – Mamy kierownika z wieloletnim doświadczeniem, nie odmówiłby pomocy. Znalazłby lokalną firmę, która przeprowadziłaby remont po kosztach.

W połowie lutego pod posesją pani Haliny ustawiono kontener. Może wreszcie znikną połamane resztki szafek, które zawały wspólną klatkę schodową? Uprzątnięcie ich to najwyższa godzina pracy, ale lepiej czekać na pana Piotra z fundacji...

Helena Leman

h.leman@tygodnikprzeklad.pl



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Strach czytać

Ten felieton przeczytasz w dwie minuty. Stosuję dziś powszechnie przyjęty zwyczaj wymuszony chorobą społeczną, jaką stała się bibliofobia. Byłem szczerze zdumiony, gdy zauważyłem po raz pierwszy te informacje obok nagłówków internetowego „Dwutygodnika”, skierowanego przecież do konsumentów kultury niepopularnej, m.in. miłośników literatury. „Ten tekst przeczytasz w siedem minut” przed felietonem Masłowskiej lub esejem Drendy – serio? To raczej pociecha niż ostrzeżenie, bo przecież redakcja nie oznajmia nam w ten sposób: „Przykro nam, ale nie wycisnęliśmy z autorki więcej, musi wam wystarczyć tych kilka chwil czytelniczej rozkoszy”. A zatem to jakby dentysta tłumaczył pacjentowi: „Teraz muszę borować, to może być nieprzyjemne, ale nie potrwa dłużej niż parę minut, proszę dawać mi znać za każdym razem, kiedy poczuje pan ból”. Albo: „Czytajcie, to jest takie krótkie, że zęby was nie zdążą rozboleć”.

Mniemam, że informacje o ograniczonym czasie lekturowym mogą wynikać z nadgorliwości redaktorów, którzy dali się przekonać do klasistowskiego wymiaru czytelnictwa. Lud pracujący nie ma czasu na czytanie, więc w ramach inkluzywności wypuszcza się wiadomość w dwie strony: „Człowieku ciężkiej roboty, zdążysz przeczytać ten esej w przerwie obiadowej, a ty, lewicowy intelektualisto, nie zdążysz poczuć wyrzutów sumienia, że czytasz, podczas gdy inni harują przy maszynach”.

Owóż, szeroko komentowane zmiany na liście lektur szkolnych powinny być przygotowane strategicznie pod walkę z bibliofobią. Po co szkoła w ogóle przymusza ludzi do czytania? Na mój rozum po to, aby chociaż przez krótki czas swojego życia wykroczyli ponad poziom alfabetyzacji funkcjonalnej i potrafiли ze zrozumieniem przeczytać coś więcej niż instrukcję obsługi elektrycznej szczoteczki do zębów. Ambitniej – aby dać szansę niektórym na znalezienie przyjemności w czytaniu/słuchaniu (przyjmijmy, że audiobooki też się liczą) dobrze opowiedzianych historii. Najambitniej – aby wyjątkowo predestynowanym uczniom pomóc odnaleźć piękno samego języka pozbawionego funkcji narracyjnej – a zatem odkryć przed nimi perły prozy eksperymentalnej i mowy wiązanej. Czytanie jest też nauką skupienia – to ważne wobec ADHD szerzącego się z epidemiczną prędkością w przebudzonym pokoleniu. Podmiot w stanie permanentnej dystrykcji może znaleźć ulgę, jeśli uda mu się zatopić w lekturze.

Dla zdecydowanej większości lekcje polskiego to jedyna okazja, aby ośwoić się z tzw. wysoką polszczyzną – o tym, jak bardzo pozostaje w nieoswojeniu, niech zaświadczy moja przygoda z pewną korporacją.

Opracowując firmowe komunikaty wewnętrzne i pisząc teksty do intranetowego miesięcznika, używałem po prostu poprawnego, nieco może nawet eleganckiego języka. Rychło poproszono mnie, abym zaczął kolokwializować, a nawet „brudzić” swoje teksty specjalnymi niepoprawnościami gramatycznymi, bo ludzie czują dyskomfort – odnoszą wrażenie, że czytają literaturę. Bibliofobia w czystej postaci. Być może zaczyna się to od szkolnego lęku nierozgarniętego ucznia przed trzynastozgłoskowcem zbudowanym na archaizmach. Przez dekady zderzano dziatwę z epopeją narodową, zamiast raczej przyjąć zerowe kompetencje kulturowe nastolatków i uczyć ich czytania ze zrozumieniem najprostszych utworów napisanych w języku współczesnym. W przypadku nowel sprzed stu i więcej lat objętość przypisów

Szeroko komentowane zmiany na liście lektur szkolnych powinny być przygotowane strategicznie pod walkę z bibliofobią.

przekracza dalece tekst oryginalny – tak pojmuję przyczynę zniknięcia z nowej listy np. „Katarynki”. Wykreślenie pieśni i piosenek patriotycznych przyjmuję z radością, bo to oznacza odejście od hodowli nacjonalistów na marsz niepodległości. Zniknięcie z listy lektur zapisków więziennych prymasa i encyklik papieskich także mam za ruch tyleż odświeżający, co oczywisty, biorąc pod uwagę świeckość szkół. W tym samym kontekście wielką ulgą dla młodzieży będzie zepchnięcie „Quo Vadis” na listę uzupełniającą. Jako lekturę uzupełniającą dodałbym cykl bryko-pamfletów Jacka Podsiadły, który bez litości i znieczulenia obnaża najbardziej kuriozalne wytwory marniaków pióra. Nade wszystko tych, których wrzucono na listę lektur w latach kaczynizmu wyłącznie za zasługi w zgoła nieliterackiej dziedzinie „antykomunizmu”. Na przykład bogato inkrustowane złośliwym dowcipem streszczenia książek pomnikowej postaci rodzimej grafomanii, rozszalałego w płodności piśmienniczej Ferdynanda Ossendowskiego, to małe arcydzieła metatekstualne. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl

Rywalizacja na pomniki

Macedonia Północna w poszukiwaniu własnej tożsamości

Grzegorz Lemański
Korespondencja
z Macedonii Północnej

Niewielka restauracja na placu Macedonii w Skopju. Dostajemy menu zapisane cyrylicą, w którym bez problemu odnajdujemy pljeskavicę i lokalną rakiję. Taki zestaw szybko przywołuje wspomnienia z bliskiego naszym sercom Belgradu czy położonej nieopodal Sofii. Spoglądający z dziesięciometrowego cokołu Aleksander Macedoński – nazywany od niedawna „wojownikiem na koniu” – w połączeniu z głosem muezina wzywającego do modlitwy i zapachem tureckich przypraw zmusza nas jednak do świeżego spojrzenia na to miejsce. Oto bowiem znaleźliśmy się w prawdziwym kulturowym tyglu.

Spacerując po centrum Skopja, odnosi się wrażenie, że to miasto nad Wardarem dopiero poszukuje swojej tożsamości. Nic dziwnego – w ciągu wieków było mało znaczącym punktem na mapie, pozostającym w cieniu Belgradu czy Salonik. Dość powiedzieć, że jeszcze na początku XX w. zamieszkiwało je zaledwie 22 tys. osób – głównie Słowian i Turków.

Skopje zyskało nieco na znaczeniu dopiero po zakończeniu II wojny światowej, gdy stało się stolicą Socjalistycznej Republiki Macedonii – wchodzącej wówczas w skład Jugosławii. Akcenty w państwie, którym rządził Josip Broz-Tito, rozkładały się jednak głównie pomiędzy Belgrad, Zagrzeb i Sarajewo. Gdy więc pod koniec ubiegłego stulecia Macedończycy otrzymali prawo do samostanowienia, musieli zacząć poszukiwanie własnych korzeni.

Aleksander naprawdę wielki

Chociaż wśród obecnych mieszkańców Skopja trudno znaleźć

potomków Aleksandra Wielkiego, właśnie on stał się symbolem nowo powstałego państwa. Tereny dzisiejszej Macedonii Północnej w czasach starożytnych były bowiem częścią Królestwa Macedonii, rozciągającego się w latach świetności od Adriatyku aż po Himalaje. W nawiązaniu do czasów antycznych centrum stolicy zaczęto zamieniać w swoiste państwo-miasto – nad brzegiem Wardaru powstały neoklasyczne budynki dzisiejszego Trybunału Konstytucyjnego czy Muzeum Archeologicznego, u bram starego miasta stanął łuk triumfalny, a brutalistyczne

bardziej potrzebnych inwestycji. Wydawanie publicznych pieniędzy na ogromne pomniki i budowle stanowiło dla nich przejaw megalomanii lokalnych władz – zwłaszcza w obliczu niskiego jak na europejskie warunki PKB czy dużego bezrobocia.

Najgłośniejszą jednak sprzeciwiali się tożsamościowym działaniom Skopja Grecy, którzy uważają się za jedyne spadkobiercę tradycji starożytnej Macedonii. Zarzewiem konfliktu pomiędzy sąsiadami stała się już sama nazwa Macedonia, która pojawiła się na mapie po rozpadzie Jugosławii. Stawianie pomników i neoklasycznych

Tożsamościowe zapędy Skopja zaczęła kwestionować Sofia, zdaniem której korzenie narodu macedońskiego wywodzą się z tradycji bułgarskiej.

konstrukcje z czasów Jugosławii zyskały „dekoracje” w postaci kolumn doryckich.

Najwięcej środków przeznaczono jednak na „przyozdobienie” miasta niezliczonymi pomnikami. Na mostach spinających oba brzegi Wardaru postawiono – niczym na praskim moście Karola – figury macedońskich wojowników. W położonym nieopodal ścisłego centrum parku stanął pomnik Poległych Bohaterów Macedonii, przedstawiający półnagą postać mężczyzny i cztery rumaki. Wszystko to jednak błędnie przy 30-metrowym pomniku Filipa II i nieco niższym, choć zdecydowanie bardziej okazałym monumencie poświęconym jego synowi – Aleksandrowi Wielkiemu. Gigantyczne postacie z brązu, cokoły pokryte marmurem, sceny bitewne wykute w kamieniu – tak wyglądają symbole poszukiwania przez Macedończyków antycznych korzeni.

Odwołania do czasów hellenistycznych nie wszystkim przypadły do gustu. Niezadowolenie głośno wyrażali mieszkańcy stolicy, wskazując wiele

budowli czy nazwanie stołecznego lotniska imieniem Aleksandra Wielkiego tylko podniosło temperaturę sporu, który obecny był w polityce obu krajów przez prawie 30 lat.

Brak porozumienia mocno odbił się na sytuacji politycznej Macedonii, która ze względu na sprzeciw Grecji nie mogła rozpocząć rozmów akcesyjnych z NATO czy Unią Europejską. Pod koniec ubiegłej dekady rząd w Skopju postanowił więc powiedzieć „dość” i uległ greckim żądaniom. W 2019 r. na mapie pojawił się zatem nowy kraj – Macedonia Północna, a z przestrzeni miejskiej Skopja zniknęły nawiązania do czasów antycznych. Pomnik Aleksandra Wielkiego stał się pomnikiem „wojownika na koniu”, autostrada Aleksandra Macedońskiego została przemianowana na autostradę Przyjaźń, a stadion narodowy, dotychczas sławiący imię Filipa II, zyskał patrona w postaci nieodżałowanego Toše Proeskiego – wybitnego macedońskiego piosenkarza, który w wieku 26 lat zginął w wypadku samochodowym.



Z przestrzeni miejskiej Skopja zniknęły nawiązania do czasów antycznych. Pomnik Aleksandra Wielkiego stał się po prostu pomnikiem wojownika na koniu.

Car Samuel i geopolityka

Konflikty z sąsiadami są jednak niczym głowy mitycznej Hydry – po zażegnaniu jednego pojawiają się kolejne. W ostatnich latach szczególnie głośno tożsamościowe zapędy Skopja zaczęła kwestionować Sofia, zdaniem której językowe, kulturowe i etniczne korzenie narodu macedońskiego wywodzą się z tradycji bułgarskiej. Tuż po rozpadzie Jugosławii władze Bułgarii po cichu liczyły nawet na inkorporację ziem dawnej Socjalistycznej Republiki Macedonii, co miałoby w ich mniemaniu doprowadzić do zjednoczenia dawnych Słowian macedońskich. I choć Sofia uznała terytorialną i polityczną odrębność Macedonii Północnej, to już o macedońskim narodzie czy języku nie chce słyszeć.

Na zaczepki ze strony Bułgarii władze w Skopju zareagowały w typowym dla siebie stylu – stawiając kolejny pomnik. Nie przejmując się szczególnie spójnością swojej polityki tożsamościowej, postanowiły, by na ogromny pomnik Aleksandra

Wielkiego spoglądał car Samuel – były władca państwa bułgarskiego, którego terytorium rozciągało się pod koniec X w. od Morza Czarnego – przez tereny obecnej Bułgarii, Macedonii Północnej, Czarnogóry, Serbii i Albanii – aż do Adriatyku. Bułgarzy nie pozostali dłużni i w 2015 r. analogiczny pomnik postawili w centrum Sofii – z tym że bardziej okazały.

Pomnikowa rywalizacja trwa więc w najlepsze, a w jej cieniu rozgrywa się walka polityczna. Na uprzywilejowanej pozycji są w niej Bułgarzy, którzy – podobnie jak Grecy – cieszą się miejscem w strukturach Unii Europejskiej. I chociaż ich głos nie jest w niej szczególnie poważany, pozwala skutecznie spowalniać macedońskie starania akcesyjne. Receptą na poprawę relacji między oboma krajami miał być traktat o przyjaźni, dobrym sąsiedztwie i współpracy gospodarczej. Efekt jego podpisania okazał się jednak odwrotny do spodziewanego – od kilku lat Bułgaria i Macedonia Północna przerzucają się oskarżeniami o łamanie zawartych w nim ustaleń.

Lepszego jutra Macedończycy – dość niespodziewanie – mogą oczekiwać w obecnej sytuacji geopolitycznej. Otwarty konflikt Zachodu z Rosją, będący efektem inwazji na Ukrainę, przeniósł się bowiem również na Bałkany. Widząc wsparcie prezydenta Serbii Aleksandra Vučića oraz lidera bośniackich Serbów Milorada Dodika dla polityki Kremla, przedstawiciele Unii Europejskiej zintensyfikowali wysiłki, by utrzymać prozachodni kurs w pozostałych krajach byłej Jugosławii. Niewykluczone więc, że Bułgaria zostanie niejako postawiona pod ścianą i zmuszona do ograniczenia listy żądań wysuwanych wobec Skopja, co dawałoby nadzieję na przyspieszenie otwartych w 2022 r. negocjacji akcesyjnych.

Sensualny Stary Bazar

Ruszamy z placu Macedonii na krótki spacer, zostawiając za sobą pomniki Aleksandra Wielkiego i cara Samuela. Przechodzimy na drugi brzeg Wardaru, mijamy ogromny monument Filipa II i po chwili wkracamy

do zupełnie nowej rzeczywistości – aromatycznej, sensualnej i całkowicie odmiennej od tego, co widzieliśmy dotychczas. Stary Bazar, bo tak nazywa się ta zabytkowa część stolicy, to pozostałość po czasach imperium osmańskiego. Historię tego miejsca czuć w każdym zakątku – tchną nią wąskie, brukowane ulice, kamienne budynki czy wieże meczetów, z których co kilka godzin słychać nawoływania do modlitwy. Klimatu miejscu dodają niewielkie stragany, pachnące przyprawami z całego świata czy świeżo wyciśniętym sokiem z granatów. Część ulic kusi natomiast witrynami sklepów, w których znajdziemy stroje tak błyszczące i kolorowe, że nie wstyd byłoby się w nich pokazać na średniowiecznych ucztach.

Historyczny Stary Bazar – podobnie jak cała Macedonia Północna – przez ostatnie lata bardzo jednak zmienił charakter. Jeszcze na początku poprzedniej dekady nielicznych turystów odstraszały puste, brudne ulice i opuszczone budynki. Dziś natomiast *čaršija*, jak mówią miejscowi, stała się magnesem dla tych, którzy chcą poczuć autentyczny osmański klimat – wypić turecką herbatę zaparzaną w oryginalnym dzbanku, zjeść burek czy zapalić sziszę. Podobną atmosferę, poza Stambułem, można poczuć jedynie w Sarajewie i kosowskim Prizrenie.

Turecki za dnia Stary Bazar wieczerem nabiera bardziej zachodniego charakteru. Grupy młodzieży, które w tym kulturowym tygłu zdecydowanie częściej korzystają z języka angielskiego niż tureckiego, albańskiego czy macedońskiego, skupione są wokół barów o – jak na ich lokalizację – niezwykle współczesnym wystroju, serwujących kolorowe drinki i puszczających z głośników anglosaską muzykę. Dla tych młodych ludzi kwestia imperialnych korzeni ich ojczyzny jest drugorzędna. Zdecydowanie częściej myślą o przyszłości, która – w jednym z najbardziej europejskich krajów Europy – nie jawi się na razie kolorowo.

W bałkańskim tygłu

Nie w każdym zakątku Macedonii Północnej walka o tożsamość jest

równie zażarta jak w Skopju. Położona niecałe 200 km na południe od stolicy Ochryda zdaje się żyć własnym życiem. Nie ma tutaj kulturowego galimatiasu ani przejawów pomnikowej gigantomanii. Jest za to zabytkowe stare miasto, po którym spacer przypomina podróż w czasie. Strome, wąskie ulice, kilkusetletnie budynki (niekiedy niestety w opłakanym stanie), starożytny teatr i twierdza cara Samuela, z której rozciąga się niesamowity widok na Jezioro Ochrydzkie

Lepszego jutra Macedończycy – dość niespodziewanie – mogą oczekiwać w obecnej sytuacji geopolitycznej.

– dzięki takiemu połączeniu ta mała miejscowość stała się jedną z największych atrakcji turystycznych Macedonii Północnej.

Jemy kolację w restauracji nad brzegiem jeziora i spoglądamy na pomarańczowe od zachodzącego słońca wzgórza masywu Galicizica. Trudno nie poczuć w tym miejscu wakacyjnego klimatu – i to mimo że w kalendarzu dawno nie ma już śladów lata. Widoki przywodzą zresztą na myśl nieodległą przecież Czarnogórę czy Chorwację. Bo choć Jezioro Ochrydzkie to nie Adriatyk, jego rozmiar sprawia, że drugi brzeg jedynie majaczy w oddali. I aż dziw, że za kilka dni ta turystyczna perełka stanie się miejscem praktycznie wymarłym. W dodatku po okresie wakacyjnym znów dadzą o sobie znać jego problemy.

„Możecie oddać klucze, o której wam pasuje. Po was już nikt nie przyjedzie – jesteście moimi ostatnimi gośćmi w tym sezonie”, słyszemy od właścicielki pensjonatu nad samym brzegiem jeziora. Od połowy października do początków kwietnia uroki miasta wpisanego na Listę światowego dziedzictwa UNESCO podziwiać będą głównie miejscowi. Wśród nich coraz mniej jest Macedończyków, a coraz więcej Albańczyków.

W sąsiadującej z Ochrydą gminie Struga osoby pochodzenia albańskiego stanowią obecnie ponad połowę mieszkańców. Część żyje na tych terenach od pokoleń – przed

rozpoczęciem wojen bałkańskich obszar na zachodnim brzegu Jeziora Ochrydzkiego należał do Albańczyków, będących jednym z narodów imperium osmańskiego. Nie brakuje tu również Kosowarów, którzy wyemigrowali ze swojego kraju podczas wojny z końca lat 90. XX w., czy wreszcie uciekinierów ze zrujnowanej komunistycznymi rządami Envera Hodży Albanii.

Albańskie wpływy w zachodniej części Macedonii Północnej z roku

na rok są coraz bardziej zauważalne. W samej Strudze – drugim największym mieście nad Jezioro Ochrydzkim – większość szyldów, reklam czy ogłoszeń jest w języku albańskim. Natomiast tam, gdzie wymagana jest dwujęzyczność – np. na znakach drogowych – napisy w cyrylicy zazwyczaj zamazane są czarną farbą. Macedończyków próżno też szukać na trybunach lokalnej drużyny. FC Struga została bowiem założona w 2015 r. przez społeczność albańską. Strona internetowa, kanały w mediach społecznościowych czy stadionowy doping – wszystko prowadzone jest w języku albańskim. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że w czerwcu ub.r. FC Struga została mistrzem Macedonii Północnej i reprezentowała kraj w europejskich pucharach.

Chociaż od ogłoszenia niepodległości przez Macedonię Północną minęło ponad 30 lat, kraj ten tkwi w bałkańskiej kotle. Z jednej strony, prowadzi tożsamościową walkę z Grecją i Bułgarią, próbując dotrzeć do swoich korzeni, z drugiej natomiast, broni się przed rosnącą w siłę ideą Wielkiej Albanii. I choć życie w tym kulturowym tygłu z perspektywy zwykłego mieszkańca nie jest łatwe, dla turysty stanowi atrakcję samą w sobie. Niech więc nie zwiodą cię pljeskavica i rakija, dobrze znane z wakacji w Chorwacji – w Macedonii Północnej jest o wiele więcej do odkrycia.

Grzegorz Lemański

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Straszyk na blokowisku

To był dzień, w którym moja wydawczyni Ania Matysiak przysłała mi Poczeksem pomarańcze. Szłam po nie bardzo wcześnie, bo wybierałam się do Gliwic, gdzie miałam przeprowadzić lekcję na temat po.pol. (poezji polskiej). Pomarańcze były brzydkie i miały być brzydkie. Taki był na nie pomysł. Kiedy w pociągu jadłam jedną z nich – gapił się na mnie biały yorck. Jego pani była stateczna, za to on – gwałtowny jak wiewiórka – ugniatał łąpkami haftowany obrus, którym stateczna pani przykryła swoje kolana. Naprzeciwko mnie czerwony chłopiec gasił i zapalał różdżką lampkę podpisaną „Harry Potter”. Takie rzeczy, a nawet nie ruszyłam się ze Śląska. Lampka migotała, pies ugniatał. Oparłam głowę o szybę. Gdzieś na wysokości Opola w szerokie koryto Odry na chwilę wlało się słońce.

Bardzo lubię Gliwice. Znam i cenię tamtejsze lokale, umiem trafić mniej więcej wszędzie, szanuję płynącą przez miasto rzekę i piękny park Chopina. Oprócz randomowego zwiedzania targowisk i podwórek zawsze staram się zobaczyć coś jeszcze: najchętniej atrakcje dla dzieci, schowane gdzieś w bocznych uliczkach, na tych mniej reprezentacyjnych placach. Gabinety luster, muzea iluzji, krzywe domy, podróże plastikowym łąbodziem po sadzawce, wszystko to, na co reaguje się pogardliwym uśmieszkiem. A przecież tam jest najfajniej, bo właśnie te miejsca są jednocześnie zabawne i smutne, jak pogryziona przez psa gumowa świnka. Z tą myślą udałam się do gliwickiej palmiarni, która znajduje się na skraju parku Chopina. Podłogę wyłożono kaflami, ściany miały dziwny kolor, a w powietrzu unosił się ciężki, wilgotny zapach. Basen – pomyślałam i wyobraziłam sobie kilka palm w donicach wokół „leniwej rzeki”, którą spływają brzuchaci ojcowie. Na zewnątrz robiło się ciemno i chłodno, kupiłam bilet. Wchodzę do palmiarni.

Idę ścieżką, która jest rodzajem zielonego tunelu (wielkie liście stykają się nad moją głową), uderza mnie tropikalny klimat. Jakbym sama stała się storczykiem, któremu zafundowano kąpiel w wodzie akwarycznej. Albo sukulentem pędowym pozyskującym wodę z mgły. Jest ciężiej i sennie, a zewnętrzna rzeczywistość robi krok w tył. Zdejmuję kurtkę i żałuję, że nie zostawiłam jej w szatni. Rośliny dotykają mnie ostrymi liśćmi, są na każdej wysokości, z każdej strony: wielokształtne,

mięiste, kolczaste, owocujące. Prawie czarne i przejrzystezielone, fioletowe, białe, włoskowate, gładkie jak kasztan i mechate. Niektóre odżywiane niebieskim i czerwonym pasmem światła. Mokra jak śluzowce i suche jak proch. W sumie 6 tys. roślin, od palm gabinetowych po 160-letnią palmę, która jest tu od początku. Najstarsze egzotyczne rośliny przywieziono do Gliwic w 1880 r. W latach 20. wystawiano je latem na promenadę. Większość roślin nie przetrwała zniszczenia palmiarni w 1945 r. Wymarzły. Ale kilka palm – m.in. słynną palmę kanaryjską – można tam zobaczyć do dzisiaj.

Po pół godzinie w palmiarni przyzwyczajam się do panującego w niej światła i zieleni – zaczynam dłużej i uważniej spoglądać między liście. Są tam małe terraria ze straszykami, jaszczurkami i węzami. Przykro mi, jak zawsze, kiedy widzę zwierzęta za szybami, ale też nie mogę się oprzeć i podchodzę bliżej. W jednym z terrariów widzę broszkę. Wyszadzana jadeitowymi

Gabinety luster, muzea iluzji, krzywe domy – wszystko to, na co reaguje się pogardliwym uśmieszkiem. A przecież tam jest najfajniej.

wielokątami, czerwonymi jak jarzębina koralami, pokryta malachitem – ma w sobie coś kosmicznego. Wzdłuż broszki biegnie kolczasta listwa. I kiedy zaczyna się ruszać, otwieram usta, a potem broszka otwiera usta i widzę jej podniebienie: atlasoworóżowe, idealnie gładkie. Przez chwilę patrzymy sobie w podniebienia i jest to najdziwniejsza rzecz, jaką ostatnio robiłam. Potem broszka pokazuje swoje łapy, które wyglądają, jakby były pokryte różową pończochą. Ogon w funkcji piątej ręki-nogi owija się wokół gałęzi i następuje przesunięcie całej broszki. Przenoszenie ciężaru jest precyzyjne i pełne wdzięku. To kameleon. Te, które widziałam wiele lat temu, musiały być w złym nastroju, bo były brązowe. Jeden z nich zrobił się czarny, kiedy „opiekun” wziął go do ręki. Ten gliwicki chyba coś zapowiadał. Powiedzmy – był antycypacją lekcji, którą zrobiliśmy na drugi dzień w liceum: ktoś tam siadł na fortepianie, ktoś zawiązał w pasie szalik, machał butelkami z wodą. Czytaliśmy wiersze. Pod koniec lutego w Gliwicach można przeżyć dwa głębokie jak studnia dni.

Ożywczy stres

Kortyzol – skupienie, ekscytacja czy panika?



David JP Phillips

Niewiele rzeczy wywołuje tak intensywny stres jak kąpiel w zimnej wodzie.

Zacznijmy od dobrej strony stresu i jego trzech głównych składników (kortyzolu, adrenaliny i noradrenaliny) oraz tego, co się dzieje, gdy nagle stajesz przed tygrysem szablozębnym lub trąbiącym mikrosamochodem.

Kortyzol to przypuszczalnie najważniejszy hormon, jaki masz. W sytuacji stresu nadnercza uwalniają go do krwiobiegu, co powoduje wytworzenie dużej ilości glukozy. Glukoza (cukier) daje ci energię do radzenia sobie ze stresem. Ponadto kortyzol jest niezbędny dla organizmu, ponieważ równoważy aktywność układu odpornościowego w stanach zapalnych, zapewniając mu paliwo w postaci cukru, i krótkofalowo działa przeciwzapalnie.

Adrenalina z kolei zwiększa częstotliwość bicia serca i zwiększa przepływ krwi do mięśni (stąd możesz odczuwać drżenie), a w końcu rozluźnia drogi oddechowe, aby do mięśni dotarło więcej tlenu, co pozwala ci na mocniejsze uderzenia lub szybszy bieg.

Noradrenalina daje ci między innymi impuls kognytywny i zwiększa twoją koncentrację i uwagę.

W połączeniu substancje te są gotowe cię uratować poprzez trzy opcje: ucieczkę, walkę lub zastygnięcie w bezruchu. Kiedy już zrozumiesz, że tygrys szablozębny cię zobaczył, rzucasz się do ucieczki z prędkością przewyższającą twoje normalne zdolności. Ów mechanizm utrzymuje nas przy życiu od setek tysięcy lat.

Ciekawy sposób postrzegania stresu to traktowanie go jako luki między tym, co masz, a tym, co chciałbyś mieć. Jeśli codziennie narzekasz na swoją wagę, prowadzi to do stresu, który może cię skłonić do częstszych wizyt na siłowni, ale również skutkować kiepskimi wynikami. Natomiast kiedy przekształcasz to pragnienie lub niezadowolienie w siłę napędową i emocjonalny cel, ta sama luka między tym, co masz, a tym, czego chcesz, jest bardziej napędzana przez dopaminę.

Twoje przetrwanie jest ważniejsze niż stabilny i pozytywny nastrój.

Jak widzisz, interakcja między dopaminą a kortyzolem jest genialna. Jednak, jak zwykle, istnieje druga strona medalu. Ten wspaniały mechanizm nie przewidział bowiem, że na skutek ekspresowego rozwoju cywilizacji ludzie będą narażeni na masę nowych, nierzadko zupełnie niepotrzebnych sytuacji wywołujących stres. Oto kilka przykładów: media, które zwykle ukazują świat w czarnych barwach; rafinowany cukier, który powoduje skoki poziomu cukru we krwi; media społecznościowe, które sterują naszymi myślami; media społecznościowe, które sprawiają, że porównujemy się z dziwnymi strukturami społecznymi; kultura biznesowa

pełna deadline'ów; kultura, która przedkłada osiągnięcia nad radość; kultura, w której cele są ważniejsze niż obecność; wysoki poziom hałasu w miastach; pośredni stres z powodu zanieczyszczenia powietrza u mieszkańców miast i mieszkających w pobliżu dróg; życie, które większość ludzi opisuje jako układankę; cyfrowy świat, który kradnie dopaminę naszym dzieciom; cyfrowy świat, który kradnie dopaminę nam; nadopiekuńczość, przez co dzieci potrzebują stymulacji, a nie są wsparciem; powiadomienia w telefonach; oczekiwanie, że zawsze będziemy dostępni; samotność i izolacja społeczna; brak naturalnych powodów do ruchu; nieodpowiednie systemy

emerytalne, które powodują obawy przed starością; kultura skupiająca się na negatywnych wiadomościach.

Wybacz, jeśli czujesz się zestresowany już od samego patrzenia na tę listę. Jednak, jeśli przeczytasz ją ponownie, zrozumiesz, że 25 tys. lat temu nie istniało praktycznie nic z tego wykazu. Oczywiście ludzie mogli być zestresowani z powodu obawy przed chorobą lub kontuzją, nieurodzaju lub wojny, ale ogólnie ich „spis czynników stresu” był niewielki w porównaniu z zestawieniem, które nasze społeczeństwo funduje nam obecnie. Istnieje nowoczesne powiedzenie, które brzmi: „Jak to możliwe, że mamy tak dobrze, a mimo to

czujemy się tak źle?”. Stałe podsyca-
nie kortyzolem i kuszenie dopaminą
jest oczywiście częściową odpowie-
dzią na to pytanie.

Chciałbym to wyjaśnić. Stres
w ograniczonej ilości jest przyjemny,
fantastyczny! Pozwala nam czuć, że
żywemy, że nasze serca biją. Cóż jest
w życiu lepsze niż poczucie napięcia
i ekscytacji? Skupienie zapewniane
przez hormon stresu noradrenalinę
daje nam czasem poczucie, że je-
steśmy niezwykcie, a adrenalina
podczas ciężkiego ćwiczenia na si-
łowni sprawia, że czujemy się silni
i pełni życia. Wystarczy spytać przy-
padkowego skoczka spadochrono-
wego z doświadczeniem – stres to
coś, do czego świadomie dąży, żyje
dla adrenaliny kopa i dlatego
podejmuje coraz to nowsze wyzwania
w postaci mniejszych spadochro-
nów i niebezpieczniejszych skoków.
Stres w małych ilościach to energia
życia, eliksir życia.

Uwielbiam morsowanie, a niewie-
le rzeczy wywołuje tak intensywny
stres jak kąpiel w zimnej wodzie; to
samo dotyczy postu, który również
wywołuje stres w ciele i mózgu. Nie,
nigdy nie zdecydowałbym się na
bezz stresowe życie. Nie postawiłbym
też jednak na trwanie w przewlekłym
– a więc dużym i długotrwałym lub
małym, lecz stałym – stresie. Nieste-
ty, chociaż większość ludzi nie chce
tego przyznać – a być może bardziej
prawdopodobne, że nie zdają sobie
z tego sprawy – większość z nas żyje
w niezdrowym, długotrwałym stre-
sie. A to może mieć dość destruk-
cyjnych skutków dla naszego zdro-
wia psychicznego i fizycznego. Oto
przykłady: przewlekły ból, problemy
żołądkowe, choroby sercowo-na-
czyniowe, gorsza pamięć, mniejsza
radość z życia, nadwaga, problemy
ze snem, brak energii, nawracające
przeziębienia, osłabiona odporność.

Jasne, napisałem, że kortyzol po-
prawia funkcjonowanie układu odpor-
nościowego, ale tylko na krótką metę.
Jeśli stres jest przewlekły, skutki będą
odwrotne i jego działanie stanie się
szkodliwe. (...)

Kiedy się zranimy, powstaje stan
zapalny, co prowadzi do zaczerwienie-
nia i obrzęku w miejscu urazu. Chyba
wszyscy o tym wiedzą. Białe krwinki

pobudzają się do działania oraz przez
aktywowany układ odpornościowy
tworzą się nowe, a prozapalne cyto-
kiny (rodzaj cząsteczek sygnalizacyj-
nych umożliwiających komunikację
międzykomórkową w organizmie)
są produkowane przez wyżej wspo-
mniany układ immunologiczny. Jed-
ną z ról cytokin jest stymulowanie
innych komórek w tym układzie, aby
pobierały one aminokwas tryptofan
(tak, ten sam, którego potrzebuje
serotonina) i przekształcały go w kyn-
ureninę. Kynurenina może z kolei
zostać przekształcona w substancje
o neurotoksycznych właściwościach
(trujących dla mózgu), kwas kinoliny
i kwas kynurenionowy, i przyczyniać
się do długotrwałego obniżenia na-
stroju. Ale teraz ważna wiadomość!
Stan zapalny nie jest wywołany
wyłącznie przez fizyczne uszkodze-
nia; może być również efektem stre-
su psychicznego. Stres psychiczny

Stres w małych ilościach to energia życia.

wpływa na układ odpornościowy
w taki sam sposób jak stres fizyczny
i może prowadzić do stanów zapal-
nych w organizmie.

Długotrwały stres psychiczny
może prowadzić do łagodnego, dłu-
gotrwałego stanu zapalnego w orga-
nizmie (mechanizm wciąż pozostaje
niezbadaany), co wpływa na obniżenie
poziomu serotoniny.

Jeśli dotychczas czytałeś uważnie,
rozumiesz pewnie, że stres ma ne-
gatywny wpływ na serotoninę i zdrowie
psychiczne. Stan zapalny nie tylko
„okrada cię” z tryptofanu, który jest
potrzebny do produkcji serotoniny,
ale także przekazuje go do procesu
neurotoksycznego. Dlaczego jednak
organizm wybiera tryptofan do wy-
tworzenia procesu zapalnego, a nie
serotoniny? To proste. Twoje prze-
trwanie jest ważniejsze
niż stabilny i pozytywny
nastrój. Wiesz już zatem,
dlaczego nie chcę żyć
w długotrwałym stresie;
chcę zachować równowa-
gę serotoninową!

Czym właściwie jest
stres – albo dokładniej
– „długotrwały stres”?

Można go zdefiniować jako stan,
w którym stres powoduje, że nie-
ustannie jest się pobudzonym, i zwy-
kły odpoczynek nie bardzo pomaga
w odprężeniu. Trwa to od jednego do
czterech miesięcy (w zależności od
badań). Innymi słowy, jeśli od czte-
rech miesięcy czujesz się, jakby ści-
gał cię tygrys szablozębny, na pewno
cierpisz na przewlekły stres i powin-
neś coś z tym zrobić.

Można usłyszeć argument, że ktoś
bez problemu żyje w stałym stresie
już od wielu lat. Istnieje jednak znacz-
ne prawdopodobieństwo, że chro-
niczny stres będzie się przyczyniać
do problemów zdrowotnych w przy-
szłości, nawet jeśli teraz ta osoba te-
go nie odczuwa. (...)

Wiesz, jakie są najczęstsze roz-
wiązania, na które decydują się lu-
dzie, aby poczuć się lepiej? Zakupy,
podróże, wychodzenie do drogich
restauracji, do kina, przemeblowy-
wanie i remontowa-
nie domu. Ale stres
lub negatywne myśli
szybko powracają,

a oni znowu czują się przeciętnie. (...)
Jedyne, co naprawdę pomaga na
dłuższą metę, to zmniejszenie ilości
negatywnego, przewlekłego stresu
w życiu. Skutek podjętej decyzji jest
wprost oszałamiający.

(...) Często spotykam osoby, któ-
re borykają się z problematycznym
samopoczuciem, mówią, że poziom
wyjściowy ich radości jest zaniżo-
ny, a czasem nawet stoją o krok od
depresji. Wówczas moją pierwszą
rekomendacją jest zmniejszenie ne-
gatywnego stresu i systematyczne
zmniejszanie go, aż stanie się on
znośny lub – najlepiej – zniknie całko-
wicie. Niektórzy podejmują dość ra-
dykalne decyzje, jak na przykład wy-
prowadzka z dużego miasta, inni zaś
radzą sobie z mniejszymi czynnikami
stresującymi, takimi jak dawne kon-
flikty, które noszą w sercu od
dłuższego czasu. Czy kiedy-
kolwiek przyszło ci do głowy,
że negatywny stres w rzeczy-
wistości nie istnieje i to tylko
twoja percepcja?

Fragmenty książki Davida JP Phillipsa
Hormonalna rewolucja, przetł. Justyna
Högström, Filia, Poznań 2024



Życie na piachu

Nad Bugiem nie jest lekko.
Ptaki muszą się zмагаć
ze skrajnościami, jak fala powodziowa
czy lejący się z nieba żar.



Maciej Cmoch

Jak na polskiego pająka był całkiem spory i dosyć egzotycznie ubarwiony. Owszem, w odcieniach brązu, ale długie masywne odnóża miały wyraziście paskowane, a nieco wypłowiała tonacja dodawała mu pustynnego charakteru. Dlatego, gdy wdrapał się na namiot, od razu rzucił nam się w oczy. Egzotyczne wrażenie potęgował bezmiar piachu, jaki otaczał nasz kajakowy biwak. Dopiero po spływie, będąc już w domu, znalazłem informację, że był to wymyk szarawy, czyli stosunkowo rzadki przedstawiciel pogońcowatych zamieszkujący plaże i piaszczyska. W sykim podłożu pająk ten wykopuje norki, które ścieli swoim oprzędem. Z tak wykonanych kryjówek przeprowadza nagłe ataki na przechodzące obok owady. Wymyk zasiedla bardzo nieprzyjazne środowisko. Nadrzeczne piachy często są przecież zalewane i znacznie trudniej tam o ofiary niż

choćby na bujnej łące. Panuje tam jednak mniejsza konkurencja, a wymyk potrafi przetrwać nagły przybór wody. Zamyka wtedy wejście do norki klapką z pajęczyny i w tak stworzonej kieszeni może bytować nawet przez kilka tygodni – do czasu, aż rzeka się cofnie.

Wymyka spotkaliśmy latem nad Wisłą podczas kilkudniowego spływu kajakowego na odcinku Bochotnica – Góra Kalwaria. Fragment ten obfituje w mielizny, ławice (czyli niskie piaszczyste wyspy) i odsypiska. Rzeka płynie kilkoma odnogami i można sobie dowolnie wybierać trasę, lawirując między wyspami. (...)

Na jednej z wysp znalazłem odciśnięte tropy łosia. Idąc przez taki pejzaż, musiał przypominać wielbłąda na pustyni. Zapewne nie zabawił długo na tej niegościnnej ziemi. Niegościnnej dla niego, bo wiele zwierząt jest ściśle związanych z tym ubogim i niestabilnym środowiskiem. Od maleńkich żyłtek bytujących w wilgotnym piachu,

Gniazdo rybitwy białoczołki
to płytki dółek w sykim piasku,
często bez żadnej wyściółki.

przez wymyki, a skończywszy na rybitwach i mewach gniazdujących często w ogromnych koloniach złożonych z setek bądź nawet tysięcy (w wypadku śmieszki) osobników.

Szeroko rozlana i pełna piachu Wisła jest świetnym poligonem do obserwacji tych różnorodnych stworzeń. Ale i węższy Bug obfituje w takie miejsca. Tutaj także, choć oczywiście na mniejszą skalę, formują się odsypiska i ławice. Gniazdują na nich m.in. sieweczki: rzeczna i obrożna. Z daleka łudząco do siebie podobne, z bliska różnią się szczegółami w upierzeniu, wielkością i kształtem. Nieco większe sieweczki obrożne są krępe i wyglądają jak kuleczki osadzone na cienkich nóżkach. Rzeczne są zaś ciut smuklejsze, bardziej optywowe.

Nad Bugiem znacznie częściej możemy spotkać sieweczkę rzeczną. Podczas badań prowadzonych w 2021 r. naliczyliśmy 124 pary tego gatunku, podczas gdy par sieweczek obrożnych zaobserwowaliśmy zaledwie pięć. Ale nie zawsze tak było. W latach 80. okolice Bugu zamieszkiwało nawet 100 par sieweczek obrożnych. Dekadę później wciąż obserwowano ich całkiem sporo – 90 par. Co prawda, w 2021 r. sprawdzaliśmy koryto dopiero od okolic Terespolu, ale informacje pochodzące z całego odcinka granicznego nie wniosłyby wiele więcej. Bug graniczny jest wąski, a wyspy oraz odsypiska, które tam formuje, są przeważnie zbyt małe, by mogły się stać siedliskiem dla sieweczek. Na meandrach wijących się między Polską, Białorusią i Ukrainą znalazłoby się pewnie jeszcze kilka czy kilkanaście par sieweczek rzecznych, bo tolerują one nawet stosunkowo małe połacie piasku – ale dla sieweczek obrożnych nie widzę tam miejsca. Wolą one rozleglejsze piachy.

Dowodem szerokiego spektrum wyboru siedlisk u sieweczek rzecznej niech będzie fakt, że zamieszkuje ona żwirownie, tereny ruderalne czy nawet pola obsiane kukurydzą, która jeszcze nie wykiełkowała. Oby tylko było coś do jedzenia.

W poszukiwaniu bezkręgowców sieweczki prędko drobiazgi nogami, co raz przystają i wybierają z wilgotnego piasku przeróżne organizmy: owadzie larwy, pająki, skorupiaki, nicienie i pierścienice. Do polowania wykorzystują czasem specyficzną metodę – tzw. foot-trembling, czyli drżenie stopek. Polega to na tym, że ptak staje na jednej nodze, a palcami drugiej wibruje po powierzchni mokrego piasku bądź błotka. Wymusza to na płytko ukrytym żyjątku poruszenie się – w konsekwencji jego lokalizacja zostaje zdradzona. (...)

Nadrzeczne piaski to dla sieweczek nie tylko stołówka, lecz także lęgowisko, a wygrzebywanie w nich dołków gniazdowych ma charakter rytuału godowego. U obu gatunków wygląda on bardzo podobnie. Samiec drapie nóżkami sypkie podłoże i mości się w nim, formując płytką nieckę. Wykonuje

kilka takich załączków gniazd, a cały spektakl bacznie obserwuje samica, która następnie wybiera najlepsze dzieło, gdzie niedługo złoży cztery małe nakrapiane jajeczka. Gniazdo, będące tak naprawdę płytkim dołkiem w piasku, jest narażone na zasypianie, dlatego sieweczki nierzadko lokują je za jakimś porzuconym przez rzekę patykiem, który stanowi swego rodzaju parawan chroniący przed wiatrem. Gniazda nie mają wyściółki bądź jest ona bardzo skromna i ogranicza się do kilku kamyczków czy muszelek.

Oba gatunki sieweczek stosują ciekawą strategię ochrony lęgu. Otóż rodzic stara się skupić na sobie uwagę intruza, by ten, zamiast myśzkować w poszukiwaniu jaj bądź piskląt, podążył za dorosłym. Sieweczka może więc udawać, że wysiaduje jaja w innym miejscu, symulować drzemkę, a nawet kontuzję. Wszystko po to, by drapieżnik dostał komunikat: „Jestem łatwą zdobyczą, możesz mnie złapać bez większego wysiłku”. Kolejnym sposobem ochrony lęgu przed zrabowaniem jest korzystanie z parasola ochronnego innych ptaków.

Sieweczki chętnie gniazdują na obrzeżach kolonii lęgowych rybitw rzecznych i białoczelnych. Jeśli chodzi o obronę lęgów, rybitwy (zwłaszcza rzeczne) są bardzo bojowymi ptakami. Gdy jakiś intruz wleci w przestrzeń powietrzną kolonii, ptaki zbijają się w grupę i wspólnymi siłami atakują nieproszonego gościa. A jeżeli napastnik siądzie na ziemi, obrońcy są w stanie zadziobać go na śmierć. Ptaki nie unikają konfrontacji ze ssakami, nie przepuszczają nawet człowieka. Z krzykiem uderzają z góry, dziobią i bombardują niechcianego gościa odchodami. (...)

Jeżeli musiałbym wybrać ulubionego ptaka, to obok dudka byłaby to pewnie rybitwa białoczelna. Mała i zwinna. Z żółtym dziobem jak sztyllecik, czarną czapczką i białym czołem. Oczu prawie nie widać – nikną na tle ciemnych piór głowy. A dlaczego akurat ta rybitwa? Może dlatego, że jest najbardziej „piaszczysta” ze wszystkich naszych ptaków. Owa „piaszczystość” białoczołki przejawia się skłonnością do odbywania lęgów

w bardzo ekstremalnych warunkach – na gołym piasku najniższych wysp. Jak na patelni. Nieco inaczej niż rybitwy rzeczne, które szukają miejsc choćby ze szczątkową roślinnością, by ta mogła stać się w przyszłości jakąkolwiek osłoną dla puchatych piskląt.

Gniazdo białoczołki to płytki dołek w sypkim piasku, często bez żadnej wyściółki. Wygląda tak, jakby ptaki miały spędzić tylko chwilę na niegościnniej ziemi, choć tkwią tam przecież znacznie dłużej, bo samo wysiadanie trwa do 23 dni, a jeszcze drugie tyle jest potrzebne, by młode osiągnęły zdolność lotu. Skąd ta bylejakosć i prowizoryczność? Rybitwy zasiedlają bardzo dynamiczne i zmienne środowisko. Piaszczyste wyspy i ławice są odsłonięte przy niskich stanach wody, ale po ulewach mogą ponownie zostać przykryte gwałtownym wezbraniem. Ptkom zapewne nie opłaca się inwestować energii w coś trwałego w tak niepewnym otoczeniu. Do lęgów przystępują w pośpiechu, bo muszą zdążyć przed nawrotem wody. Nad brzegiem dzięki rzeki każdy dzień ma znaczenie.

Podczas inwentaryzacji ptaków nad Wisłą widziałem, jak rybitwy rzeczne i białoczelne siedziały na ostrogach i wystających z wody kłódach w oczekiwaniu, aż wiosenna woda opadnie i odsłonią się piachy. Podczas jednego sezonu przeprowadziliśmy kilka kontroli polegających na przepłynięciu kajakiem 55-kilometrowej trasy, mogliśmy więc obserwować poszczególne etapy życia tych ptaków. Od oczekiwania na pojawienie się łądu przez zaloty i formowanie się kolonii, na pisklętach kończąc. Badaliśmy ten fragment przez dwa lata. W pierwszym roku przez Wisłę przeszła wielka fala, która zmyła niemal wszystkie lęgi. Ostały się tylko te należące do śmieszek oraz mew białogłowych, posadowione na najwyższych punktach najbardziej wyniesionych wysp. Wszystko inne zabrała woda.

Gdy rzeka się skurczyła i wyłoniły się wyspy, rybitwy zabrały się do powtórnych lęgów. W takim środowisku to normalna rzecz. Zaloty rybitw odbywają się zarówno ▶

► w powietrzu, jak i na lądzie. Samce wykonują wymyślne ewolucje i gonitwy oraz kuszą partnerki podarkami w postaci ryb. Karmienie wybranek odbywa się nawet po właściwych godach, w czasie inkubacji jaj, i ma związek z dbaniem o relację z partnerką. U rybitw rzecznych odbywa się to czasem przy zmianie warty na gnieździe. Samiec przylatuje, wręcza prezent i przejmuje obowiązki rodzicielskie, podczas gdy samica leci rozprostować skrzydła i zapolować. Cóż za przykładowa relacja!

Leżąc tak na skraju ptasiej osady pod przykryciem z siatki maskującej, widziałem, jak troskliwe potrafią być rybitwy i sieweczki. Niedużą nadbużańską wyspę zamieszkiwała całkiem spora ptasia kolonia. Choć była oddzielona od prawego brzegu wąskim przesmykiem, to jednak głębia i wartki nurt stanowiły solidną barierę dla intruzów. Rzeka cisnęła się tym przesmykiem z dużą siłą, żłobiąc stromizny zarówno od strony sypkiej wyspy, jak i solidnego podlaskiego brzegu. Pewnie dlatego ptakom udało się tam odchowwać potomstwo. (...)

Kolonia, którą odwiedziłem, została założona przez uchodźców pochodzących z wyspy położonej 700 m w górę rzeki. Powodem przeprowadzki były straty w lęgach. Coś zniszczyło tamtą kolonię i rybitwy postanowiły spróbować szczęścia w innym miejscu. Nowo zasiedlona wyspa była niska i z rzadka usiana mikrymi roślinkami – powstała stosunkowo niedawno i zielsko jeszcze nie zdążyło się dobrze rozplenić. Trwała pierwsza faza zielonej ekspansji. Za to wyspa z pierwszą kolonią była już dosyć obficie porośnięta – nie na tyle, żeby znikły z niej rybitwy i sieweczki, ale jeszcze kilka lat z niskim stanem wody i pewnie w całości pokryje się roślinnością, a ptaki związane z piaszczystymi golinami będą zmuszone stamtąd się wyprowadzić. Niejedną wyspę w okolicy spotkał taki los. Najpierw niska łąwica, potem pionierska roślinność, a z czasem przybywa materii i wyspa staje się coraz wyższa, pojawia się coraz więcej roślin, wkraczają trawy, wierzbowy podrost – a po latach



Brodźca piskliwego nad Bugiem możemy spotkać niemal wszędzie.

mamy las. Chyba że nadejdzie wielka woda, która brutalnie zmyje rośliny, zanim te zdążą utrwalić swoje panowanie mocnymi korzeniami i wytrzymałymi łodygami.

Jest taki gatunek ptaka związane go z piachami, który całkiem dobrze znosi te zmiany i zasiedla wyspy oraz odsypiska będące w różnych stadiach sukcesji. Ta zdolność do adaptacji uczyniła go chyba jednym z najliczniejszych gatunków ptaków rzecznych koryta. To brodziec piskliwy. Nad Bugiem możemy go spotkać niemal wszędzie. Spód ma biały, wierzch brązowy i ciągle kiwa kuprem. Piskliwce często żerują na styku wody i lądu, na wyspach, błotnistych brzegach i pod skarpami. Widuję je również na wystających z rzeki kłodach. (...)

Pamiętam, jak pewnego lata – było to pod koniec lipca, gdy ptaki wysp wyprowadziły już swoje lęgi – znalazłem się w jakimś szczególnym dla piskliwców miejscu. Zbliżał się wieczór, a ja siedziałem na piaszczystej wyspie w maskującym namiocie czatowni. Zamiast ogólnego wyciszenia przed nocą nastąpiło nagłe

żywienie. Niespodziewanie zleciało się całkiem sporo piskliwców, które obsiadły moją wyspę, niewielką łąwicę naprzeciwko i zalegające przy nich wygładzone wodą kłody. Ptaki były ruchliwe i głośnie. Słyszałem je jeszcze długo po zachodzie słońca, gdy leżałem w śpiworze i czekałem na sen. (...)

O zmroku nad brzegiem pojawiły się tajemnicze ptasie sylwetki. Ledwo się wyróżniały na tle płynącej wody, tylko delikatnie podświetlonej bladym blaskiem księżyca. Wyglądały jak małe zgarbione czaple. I podobnie jak czaple polowały na ryby. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznałem w nich ślepowrony – przedstawicieli czaplówatych. To duża rzadkość nie tylko nad Bugiem, lecz w ogóle w Polsce. (...)

Świt był jaskrawy, a ptaki bardzo aktywne. Brodźce piskliwe dziarsko spacerowały po piasku, szukając czegoś do jedzenia. Głowy przy ziemi, a kupry w ciągłym kiwaniu. Czego tak szukały? Na przykład larw lub poczwerek ochotkowatych, koziołkowatych, bąkowatych, sygaczowatych albo chrzączek, czyli drobnych i powszechnie występujących owadów. Larwy należące do gatunków reprezentujących te rodziny potrzebują wody albo chociaż wilgoci, dlatego często zasiedlają okolice rzek. Łupem



Sieweczki do polowania wykorzystują tzw. drżenie stopek. Ptak staje na jednej nodze, a palcami drugiej wibruje po powierzchni mokrego piasku bądź błotka.

brodźców piskliwych padają też rureczniki (małe nitkowate stworzonka) i drobne skorupiaki należące do obunogów, przypominające mikroskopijne krewetki. To tylko niektóre składniki diety brodźców – różnorodność organizmów zasiedlających błotnisto-piaszczyste brzegi i wyspy jest ogromna. Wilgotne podłoże aż kipi życiem.

Ptaki żyjące w nurcie rzeki mają pod dostatkiem pokarmu. Piskliwce i sieweczki dosłownie depczą swoje jedzenie, a rybitwom nigdy go nie brakuje. Przybrzeżne życie nie jest jednak lekkie. Ptaki muszą się zmagać ze skrajnościami. Jak nie fala powodziowa, to lejący się z nieba żar, przed którym nie ma gdzie się schronić, albo wiatr powodujący małe burze piaszkowe. Małe dla nas, bo dla niedużych ptaków mogą one stanowić spore wyzwanie. Do tego dochodzą drapieżniki. Rybitwy, choć bojowe, nie zawsze potrafią przegonić agresora. W nocy są bez szans, a wtedy wizon amerykański lub lis mogą poczynić w kolonii istne spustoszenie. Wizon amerykański

– bardzo szkodliwy i obcy dla naszego kontynentu gatunek – potrafi świetnie pływać i regularnie dokonuje desantów na wyspy. Woda to jego żywioł. Lis też pływa, choć zdecydowanie mniej sprawnie. Woli penetrować stały ląd. Dużym zagrożeniem dla ptaków gniazdujących w nurcie jest łączenie się ich macierzystych ławic z lądem podczas bardzo niskich stanów wody. Z tak powstałych mostów mogą skorzystać lisy. Często używają ich też ludzie, których wabi dostępność malowniczo położonych plaż. Wczasowicze płoszą wtedy ptaki, a ich puszczone luzem psy niszczą jaja.

Ludzie nie zawsze stanowią dla ptaków zagrożenie. W kilku miejscach w Polsce (np. w dolinie Wisty), by chronić lęgi przed drapieżnikami naziemnymi, ornitolodzy grodzą kolonie siatkami pod napięciem elektrycznym. Lęgi siewczek zlokalizowane daleko od kolonii przykrywają zaś metalowymi koszami o dużych oczkach, które dodatkowo wkopują

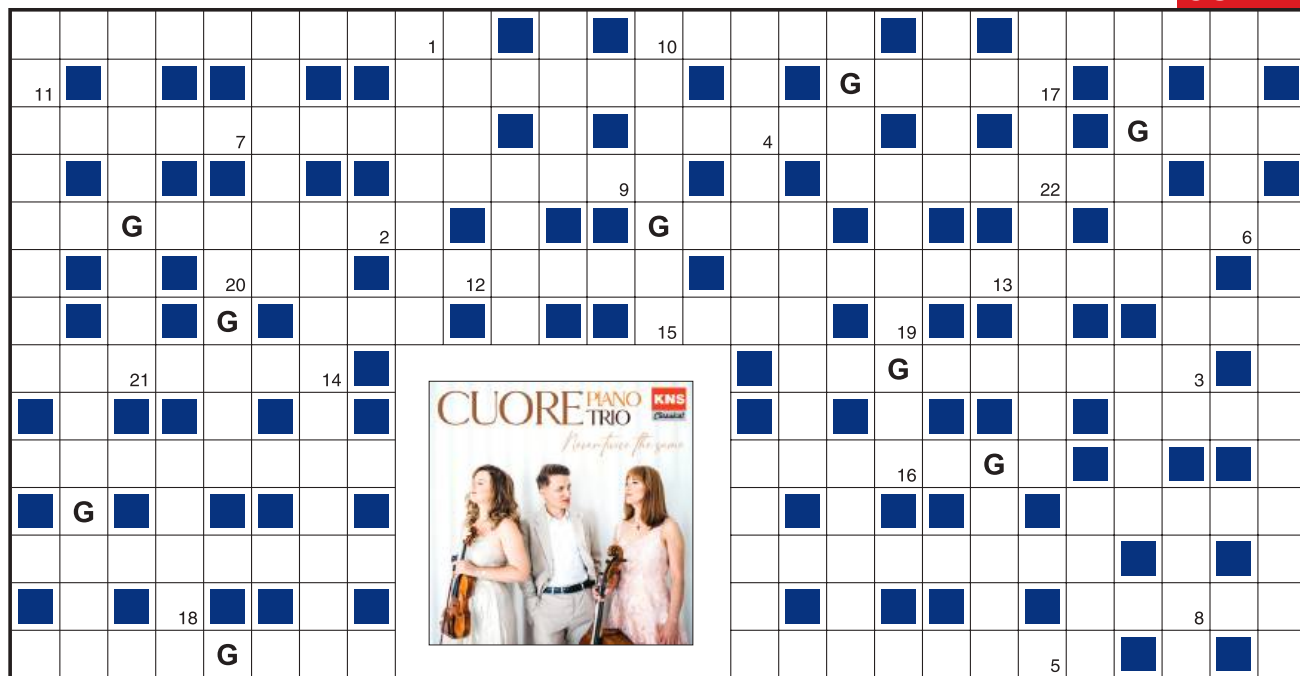
w ziemię. Tak zabezpieczonego lęgu nie obrabuje nawet sprytny ptak krukowaty, a lis może mieć poważny problem z podkopaniem się do gniazda. (...)

Rzeki uregulowane i poprzegradzane różnymi zaporami tracą zdolność formowania wysp. W niektórych miejscach (m.in. nad ujarzmioną dolną Wisłą) ptakom robi się wtedy prezenty w postaci wypełnionych piaskiem barek. Złom dostaje nowe życie – jednostki są zamieniane w sztuczne wyspy, które są nawet bezpieczniejsze od naturalnych, bo mają wysokie metalowe burty, więc ssaki drapieżne nie są w stanie się na nie wdrapać. Minusy to ich małe rozmiary oraz fakt, że nie wszystkim ptakom się podobają. Nie zasiedlają ich na przykład sieweczki, które potrzebują powierzchni rozległych, mulistych i stykających się z nurtem, po których drobiażki za bezkregowcami. Rybitwy białoczelne też niechętnie patrzą na takie industrialne wyspy. Zdecydowanie wolą miejsca naturalne. Nie bez znaczenia może być fakt, że przylatują z zimowisk nieco później niż rybitwy rzeczne, gdy duża część dogodnych i bezpiecznych siedlisk jest już zajęta przez ich większe kuzynki.

(...) Nad Bugiem nie ma potrzeby tworzenia sztucznych wysp. Rzeka pozostaje dzika i ma swobodę niszczycielskiej i twórczej działalności. Siedliska ptaków pojawiają się, zanikają, a potem znów się wynurzają. Wezbrania czyszczą wyspy z ekspansywnego zielska. Ławice co sezon zmieniają swoje położenie. Krajobraz jest dynamiczny i różnorodny. I jeżeli to się nie zmieni, ptaki rzeczno-nurtu wciąż będą go zasiedlać. Nawet jeżeli gwałtowne wezbranie zmyje lęgi, ptaki wrócą do doliny i znów zasiedlą wyłaniające się z nurtu piachy.



Fragmenty książki Macieja Cmocha, *Bug. Opowieści o rzecze, łęgach, piachach, łąkach, starorzeczach i mokradłach, a także o życiu zwierząt i ludzi w meandry dzikiej rzeki zapłątanych*, Państwowy Burial, Kielce 2024



1 2 3 4 5 6

7 8 9 10 11 12 13 14

15 16 17 18 19 20 21 22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery G ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- wydzielana w odpowiedzi na stres
- kamień ozdobny z barwnymi pasami
- mniejsze od lam
- karetka pogotowia
- bezczelny typ, zuchwalec
- umartwianie się dla zbawienia

- zawiadomienie pocztowe
- nieład, rozgardiasz
- gęsty, wiekowy las
- internat, akademik dawniej
- handlarz narkotyków z angielska
- i rodzaj literacki, i nieszczęście

- drobnutki, ostry odłamek
- płyta z cienkich warstw drewna
- Dr Irena lub bogini niezgody
- baskijska organizacja niepodległościowa
- odcinek rajdu samochodowego
- badacz kultur ludowych
- autor „Mai nagiej” i „Mai ubranej”
- z niej na pazurki
- opad niszczący uprawy
- sygnał parowozu
- o życiu pogodnym i beztroskim
- nabrzeże portowe do cumowania
- do strzyżenia trawnika

- okrągły, marszczony kołnierz
- zajęcie celebryty
- marszałkowska nie do podpierania się
- mości je sobie zwierzę
- nazywany iguaną
- rybia, słonecznika lub naboju
- wolne ze Świętem Pracy
- specjalistka od ugniatacia mięśni
- córka Tantala zamieniona w skałę
- brak ciekawych zajęć, szarzyzna
- wstręt, silna antypatia
- zbiera się w odstojniku
- domowy sposób na loki
- na Missisipi i w piosence Krawczyka
- przedstawiciel niskorosłego ludu z Afryki
- większa od mandarynki

- wprowadzenie w życie, urzeczywistnienie
- szkolny lub zakładowy zbiór przepisów
- przedmiot katechety
- skłonny do idealizowania, marzycielstwa
- imię aktora Pietruskiego
- Romulus jego założycielem
- o łatwej, zawsze okłaskiwanej roli, sztuce
- najbliższe otoczenie, okolica
- w tym... – główny szkopuł
- do przesiewania
- Tuwimowy Trąbalski
- duży sklep za PRL
- obóz warowny z wozów
- zdobycz myśliwska, nagroda sportowa
- flakonik na bukiet
- zapal twórczy, natchnienie
- kapitał, nagromadzona rezerwa

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1158”. Do rozlosowania CD „Never Twice the Same” ufundowane przez KNS Classical. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 marca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1155” z nr. 6: Pewna mina to czasem niewypał. Nagrody otrzymują: Teresa Citko z Elku, Maria Okoń z Kalisza, Radosław Woźny z Kozienic.

Konsul, która nie może

„Nie mogę już dłużej milczeć. Z miłości do własnej Ojczyzny. Nie mogę udawać, że nie widzę tych hańbiących Polskę działań na granicy polsko-ukraińskiej. Przepraszam Was, drodzy ukraińscy Przyjaciele. To, co się dzieje, nie może być dziełem moich Rodaków” – tak napisała w mediach społecznościowych o polskich rolnikach polska konsul we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz, reagując na blokadę granicy. „Nie wierzę, że to Polacy... Prawdziwy Polak nigdy nie zadałby ciosu w plecy walczącym o wolność sąsiadom – ciągnęła. – Nie chodzi o postulaty, chodzi o formę protestu. Hańba i wstyd. PRZEPRASZAM walczącą Ukrainę, przepraszam”.

No i odezwały się nożyce. Najmocniej Dzwonkiewicz zaatakowały media prawicowe, pisowskie. „Bulwersujące! Konsul RP we Lwowie gani polskich rolników!”, grzmiał portal wPolityce.pl. Jeszcze ciekawsze były komentarze czytelników, wymyślających pani konsul od platformerskich urzędników.

Rzecz w tym, że Eliza Dzwonkiewicz nie ma nic wspólnego z PO, a przy okazji – z MSZ. Wywodzi się z grupy tzw. harcerzy (ach, ten Dworczyk), którzy później porobili kariery w strukturach państwa PiS. Dzwonkiewicz w ZHR była podharcmistrzą. Potem pracowała w Ośrodku Karta i w Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie. A w latach 2010-2016 stała na czele zarządu Fundacji Banku Zachodniego WBK. Tak, tak, tego samego, którego prezesem był wówczas Mateusz Morawiecki.

I poszło... Najpierw była p.o. dyrektor w Narodowym Centrum Kultury, potem tworzyła Fundację Polskiej Grupy Zbrojeniowej, by w roku 2019 przeskoczyć do służby zagranicznej i wyjechać do Lwowa.

Jakim cudem na jedną z najtrudniejszych placówek wysłano absolutną dyletantkę, jeśli chodzi o sprawy konsularne i w ogóle pracę w MSZ? Cóż, PiS tak miało.

Humorystyczne było zresztą jej przesłuchanie w sejmowej Komisji ds. Łączności z Polakami za Granicą. Okazało się, że Dzwonkiewicz z wykształcenia jest magistrem filologii ukraińskiej. Pytano więc, dlaczego wybrała takie studia. Na co pani konsul (wówczas in spe) beztrudno odpowiedziała, że aplikowała na polonistykę. Ale zabrakło jej dwóch punktów. Na szczęście zabezpieczyła się na wypadek porażki, wpisując jako opcję rezerwową ukrajinistykę. Ale wcale nie chciała tego studiować.

A Lwów? Opowiadała, że przed wojną było to miasto wielokulturowe, z ludźmi o poczuciu humoru... I że będzie chciała zwrócić miastu pamięć o Herbercie. A poza tym konsulat dobrze działa, ma sto etatów, a ona w NCK też kierowała zespołem stuosobowym, więc da sobie radę.

O innych sprawach i ważniejszych zadaniach konsula we Lwowie musieli przypominać jej posłowie. Choć przede wszystkim ci pisowscy zachwycali się, jaką to Rzeczpospolita będzie miała konsul! Dlaczegoż więc teraz, ludu pisowski, narzekasz? Cóż ci się odmieniło?

Takie więc mamy wydarzenie, a w MSZ spekulują, co z tego wyniknie. Bo, jak już wiadomo, minister Sikorski przymierza się, by kadrowo mocno zamieszać na ukraińskich placówkach. Może gdyby pani Dzwonkiewicz cicho siedziała, nikt by jej nie zauważył? I byłaby sobie konsulem, mimo że jest nim od ponad czterech lat i powinna wracać. A może przeciwnie – po takiej deklaracji Sikorskiemu będzie trudniej ją odwołać i zostawi ją na dłużej, przynajmniej do wakacji?

Attaché

Reprezentant Chorwacji w piłce wodnej Josip Vrlčić po zwycięstwie nad Włochami w finale mistrzostw świata w pływaniu. Ad-Dauha, 17 lutego 2024 r.



PENETRACJE



Press JANUSZ DASZCZYŃSKI, BYŁY PREZES TVP

Absurdalna sugestia, że chciałem się dogadać z Kurskim i być u niego wiceprezesem, wręcz mnie obraża. Znałem Kurskiego od lat, jeszcze z czasów gdańskich. Wiedziałem, co to za ponura postać. Nie chciałem ani przez chwilę z nim pracować. Nigdzie. Pamiętam, jak 8 stycznia 2016 r., tuż po słynnej konferencji z Anną Popiek, Przemysławem Bąbierzem i Danutą Holecką, Jacek Kurski zapytał mnie na korytarzu: „Widziałeś moją konferencję? I jak wypadłem?”. To był szczyt wszystkiego. Jak mawiał mój ojciec: „W domu powieszono o sznurze się nie mówi”. (...) Nie spodziewałem się, że tak szybko zostanę wyrzucony. Nie mieściło mi się w głowie, że w ciągu 36 godzin można przeprowadzić taką medialną rewolucję.

KRAKÓW MAGDA HUZARSKA-SZUMIEC, PUBLICYSTKA

To niewiarygodne, ale przecież my w rozkwicie XXI w. w dalszym ciągu dyskutujemy o prawach kobiet, o których Boy pisał w okresie międzywojennym choćby w książce „Piekło kobiet”. Bez owijania w bawełnę propagował tam antykoncepcję i edukację seksualną, postulując przy tym legalizację aborcji i akceptację dla związków homoseksualnych. Jestem przekonana, że włączyłby się do popieranej przez nas akcji prof. Mikołaja Spodaryka, który proponuje, by kobiety zgłaszające się regularnie na badania profilaktyczne mogły otrzymywać za darmo recepty na środki umożliwiające kontrolę urodzeń. Pewnie stanąłby też na czele protestów „czarnych parasolek”, a słowa „nigdy nie będziesz szła sama” stałyby się jego mantrą.

Plus Minus JAN ŚPIEWAK, SOCJOLOG

Z doświadczenia w sądach wiem, że mówienie o władzy sądowniczej, iż jest apolityczna lub niezależna, to jest gigantyczne kłamstwo. Nie byłoby afery reprivatyzacyjnej, gdyby nie sędziowie. A brak rozliczeń sędziów za aferę reprivatyzacyjną to jest ogromny grzech PiS. Bo byli sędziowie, którzy wyrzucali ludzi na bruk, którzy ustanawiali kuratorów dla 130-letnich osób, którzy „klepali” kosmiczne decyzje reprivatyzacyjne i w ogóle za to nie odpowiedzieli. Sędzia, który zdecydował, że Jolanta Brzeska ma być eksmitowana na bruk na podstawie roszczeń kupionych za 2,5 tys. zł i że nie zasługuje na lokal komunalny, bo ma 2 tys. zł emerytury, też powinien odpowiedzieć dyscyplinarnie.

VIVA! DOROTA SUMIŃSKA, LEKARKA WETERYNARII

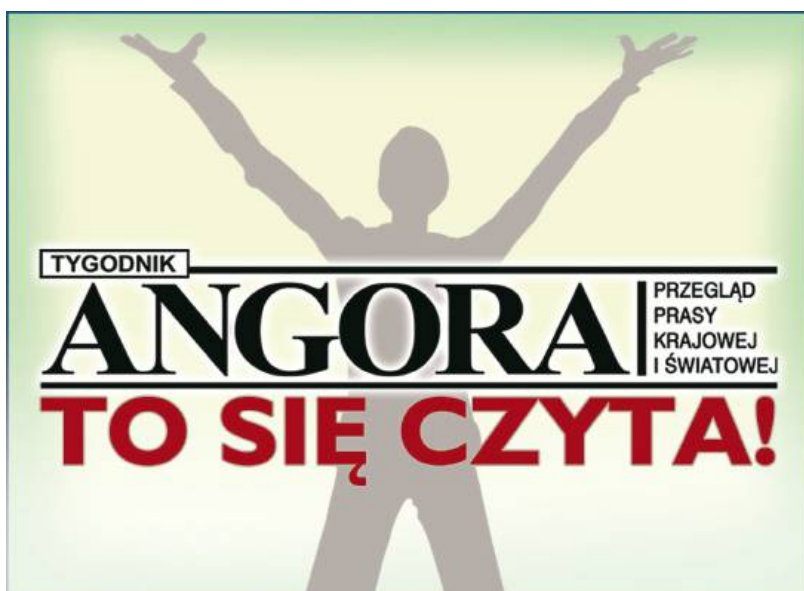
Poznałam Tomka w trzeciej klasie liceum, kiedy do nas dołączył, i staliśmy się szkolną parą. Ja go rzuciłam. Każde poszło w inną stronę i parę razy naprawdę żałowałam. On został lekarzem ludzi, ja – zwierząt. On miał syna, ja córkę. On jedną żonę, ja trzech mężów. I znów zostaliśmy parą. Po 30 latach Tomek znalazł mnie na portalu Nasza Klasa. Nie wiem, co poczuł, gdy zobaczył mnie po tylu latach. Ale ja poczułam ogromne wzruszenie. Gdy nagle człowiek spojrzy w twarz swojej dawnej miłości, coś łapie go za serce. Tym bardziej że w jego spojrzeniu zobaczyłam odbicie moich uczuć.

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Bertrand Russell.

TEGO SAMEGO GŁUPSTWA
NIE POWINNO SIĘ DWA
RAZY ROBILIĆ
BO WYBÓR JEST DOSTATECZNIE DUŻY
ROZWIĄZANIE: TEGO SAMEGO GŁUPSTWA NIE POWINNO SIĘ DWA RAZY ROBILIĆ.

BO WYBÓR JEST DOSTATECZNIE DUŻY
ROZWIĄZANIE: TEGO SAMEGO GŁUPSTWA NIE POWINNO SIĘ DWA RAZY ROBILIĆ.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Aby język giętki...

O. PAWEŁ GUŻYŃSKI O JANIE PAWLE II

Za szybko postawiliśmy zbyt dużo pomników.

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ O WOJSKU

Moim celem jest jasny rozdział munduru i garnituru. Nie chcę babrać wojskowych w politykę.

WOJCIECH CZUCHNOWSKI

O ZARZĄDZIE AGORY

Uważam, że zarzuty wobec zarządu Agory są całkowicie poważne. To historia o tym, jak coś, co miało służyć „Gazecie Wyborczej”, ją pochłonęło.

MARCIN ŚWIECICKI

O KOLEJACH REGIONALNYCH

Zdumienie budzi, że zabranie na potrzeby CPK środków na regionalne koleje, z których codziennie korzystają miliony pasażerów, zyskało entuzjastów nawet wśród członków partii Razem.

KATARZYNA HERMAN O INTUICJI

Bardzo lubię, że mnie to moje życie zaskakuje. Czuję, że mam nosa i intuicję, dzięki temu trafiaam w dobre miejsca.

MICHAŁ LEW-STAROWICZ

O ŻONIE PATRYCJI

Jest perfekcjonistką. Dzięki niej śpię spokojnie, mogę wracać do swojej nauki.

PATRYCJA LEW-STAROWICZ

O MĘŻU MICHALE

Jest oazą spokoju i człowiekiem... nieśmiałym. Ta nieśmiałość jest dla mnie intrygująca i zawsze zapraszająca do poznania zakamarków jego duszy.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Artur Sochan

Caravaggio – sztuka narodzin, umierania i trwania

Na 12 wielkoformatowych obrazach fotograficznych Artur Sochan odtwarza sceny z wybranych płócien Caravaggia. Włoski artysta, uważany za reformatora malarstwa przełomu XVI i XVII w., wyrzekł się idealizowania ciała ludzkiego na rzecz realizmu, co podkreślał zastosowaniem ostrego światłocienia.

Tworzył głównie dzieła o tematyce religijnej. U Sochana w postaciach z obrazów mistrza wcielają się mieszkanki warszawskiej Pragi. Autor próbuje odpowiedzieć na pytanie, czy dawna, wielka sztuka zachowała swój emocjonalny i ikonograficzny przekaz i czy utrwała się w świadomości współczesnego człowieka.

Galeria Gardzienice
Lublin, ul. Grodzka 5a
do 13 marca



Chłopiec ugryziony przez jaszczurkę



Zmartwychwstanie Łazarza



Pojmanie Chrystusa



Narcyz

• TEATR CAPITOL •

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

PREMIERA
LUTY 2024

ŁÓŻKO PEŁNE CUDZO- ZIEMCÓW

REŻYSERIA
JERZY BOŃCZAK

AUTOR
DAVE FREEMAN

PRZEKŁAD
ELŻBIETA
WOŹNIAK

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

• KUP

BILET

• www.teatrcapitol.pl •

JOANNA BALASZ JACEK BOŃCZYK MARTA BRYŁA ANNA GUZIK KACPER KUSZEWSKI
MICHAŁ MEYER IGOR OBŁOZA WALDEMAR OBŁOZA PAWEŁ ORLEAŃSKI RADOŚLAW PAZURA
KAROLINA PIWOSZ WOJCIECH SOLARZ ALEKSANDRA SZWED DARIA WIDAWSKA

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 515ef5dfcb

HotWheels
**MONSTER
TRUCKS**
LIVE
GLOW PARTY™

23-24.03.2024
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ



BILETY:
TICKETMASTER.PL
LIVENATION.PL

LIVE NATION

©2023 MATTEL